

Kto najbardziej zawinił w sprawie
nowelizacji ustawy o IPN – bada Warzecha



TYGODNIK LISICKIEGO

**DO
RZECZY**

NR 12/265 19-25 MARCA 2018
CENA 6,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

Jaruzelska szuka szczęścia
w polityce

**MOCNY WYWIAD
OKO W OKO
Z JANEM SZYSZKĄ**



Ekstremalna
Droga Krzyżowa



BUNT SĘDZIÓW

Czy PiS uda się naprawić wymiar sprawiedliwości

**Organizatorzy #PALS
zapraszają do udziału**

**Szczegóły na
wprost.pl/pals**



**SYMPOZJUM POŚWIĘCONE WYZWANIOM I MOŻLIWOŚCIOM
STWARZANYM PRZEZ INTERNET RZECZY, ELEKTROMOBILNOŚĆ
ORAZ PROGRAMY KOSMICZNE.**

PMPG POLSKIE MEDIA S.A. ZAPRASZA NA DEBATY:

- FINANSOWANIE I ZARZĄDZANIE INNOWACYJNYMI RZESIEBNIORSTAMI
- INTELIGENTNA ENERGIA I ELEKTROMOBILNOŚĆ
- AUTONOMIA NA LĄDZIE, WODZIE I W KOSMOSIE



PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

System zorganizowanej hipokryzji

Ile właściwie powinien zarabiać urzędnik państwowy? Nie mam wątpliwości, że większość Polaków odpowie, że jak najmniej.

A skoro wyborcy tak uważają, to cóż, trzeba ich słuchać. I dlatego od miesięcy, a właściwie od lat, trwa dosyć dziwaczny kabaret hipokryzji. Władze udają, że zarabiają mało, a opinia publiczna przy każdej okazji oburza się na zbyt kosztowne utrzymanie polityków.

Oczywiście teoretycznie powinno to wyglądać inaczej. Teoretycznie praca w administracji państwowej powinna przyciągać do siebie największych fachowców i specjalistów. Przecież to właśnie urzędnicy wyższego i średniego szczebla stanowią swoisty kościec każdej władzy. To oni podejmują masę kluczowych decyzji, to od ich sprawności zależy wydolność systemu państwa. Jednak skoro wyborcom mogłoby się to nie spodobać... to sprawy załatwia się inaczej.

Możliwości są różne. Jeśli pensja jest stosunkowo niska, to wymyśla się system nagród. Tyle że – jak wskazuje sama nazwa – nagroda powinna być za coś. Nagrodę dostaje się za szczególne osiągnięcia i z natury rzeczy powinna być ona czymś rzadkim. W przypadku administracji rządowej nagroda jest za nic

i stanowi coraz częściej zwykłą oraz stałą część pensji. I tak to, co miało stanowić formę naprawienia systemu – zbyt niskie zarobki w administracji odstraszały młodych i zdolnych, dlatego wymyślono system nagród – jeszcze go w oczach opinii publicznej pogorszyło.

Innym sposobem dorobienia się jest przeskoczenie z administracji rządowej do zarządów lub rad nadzorczych spółek kontrolowanych przez Skarb Państwa. Doskonałym przykładem jest kariera Małgorzaty Sadurskiej, która przechodząc ze stanowiska szefowej Kancelarii Prezydenta do zarządu PZU, zaczęła zarabiać miesięcznie kilka razy więcej. Jak doniosły media, w pół roku zarobiła niemal pół miliona złotych. Prosty obserwator musi zauważyć, że coś się tu nie zgadza. W jaki sposób wycena czyichś kompetencji może z dnia na dzień wzrosnąć dziesięciokrotnie? I jak to możliwe, żeby członek zarządu spółki Skarbu Państwa zarabiał kilka razy więcej, a może nawet kilkanaście razy, niż desygnujący go na to stanowisko premier czy minister? Ba, wielokrotnie więcej niż prezydent, który jest głową państwa. Jak to ma się do kom-

petencji? Nie wiadomo. Tych dziwnych proporcji nie zmienia fakt dodatkowych przywilejów związanych z władzą.

Zmiany, awanse, kariery czy degradacje są efektem walki o wpływy różnych mniej i bardziej sformalizowanych frakcji politycznych. W ten sposób wytwarza się swoisty system powiązań, przypominający nieco starożytny Rzym, gdzie każdy patron gromadzi wokół siebie grupę klientów. On idzie w górę, idą i oni. On spada, tracą stanowiska i oni.

Wszystko to jest dość niejasne i nieczytelne. Pewne jest natomiast, że cały system jest postawiony na głowie. I nic nie wskazuje na to, żeby miało się to zmienić. Opinia publiczna na wszelki wypadek jest przeciw każdej podwyżce dla urzędników, a ci starają się, jak mogą, obejść różne formalne ograniczenia. Trwa więc nieustanna zabawa w ciuciubabkę. Szkoda, że do tej pory nikt nie potrafił tego systemu naprawdę zmienić.

PS *Nie chciałem pisać osobnego tekstu o wyczynach muzeum POLIN, które to wśród przykładów współczesnego antysemityzmu umieściło m.in. wpis Rafała A. Ziemkiewicza i fragment artykułu „Do Rzeczy” o Zygmuncie Baumanie. Później, w czasie jednego z wygłoszonych tam wykładów, okazało się, że antysemicką retoryką posługuje się też Jarosław Kaczyński. Obsesja, jak widać, ma się w Polsce doskonale. Zastanawiam się jedynie, jak to możliwe, żeby za pieniądze polskiego podatnika utrzymywać instytucję, która coraz śmielej propaguje holokaustianizm w stanie czystym. Kto nie z nami, ten jest antysemitą, i basta. Rozumiem, że to kolejny przykład dialektycznej walki o polską pamięć, toczony przez obecne władze: wspieramy tych, którzy nam szkodzą. Oby tak dalej! ©©*

RYSUNEK TYGODNIA



TEMAT TYGODNIA

16 WOJCIECH WYBRANOWSKI

KASTA KONTRATAKUJE

Sędziowie kontra państwo

19 PIOTR WŁOCZYK

IRLANDZKA AKTYWISTKA

20 ROZMOWA Z ŁUKASZEM PIEBIAKIEM

SĘDZIOWSKI ELITARYZM PRZEGRĄŁ



KRAJ

22 PIOTR SEMKA

CIERPKA STUDNIÓWKA

Styl Morawieckiego a stara gwardia PiS

26 ROZMOWA Z JANEM SZYSZKĄ

JESTEM EKOLOGIEM

30 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

ZAKAZ ZASTĘPCZY

32 KAMILA BARANOWSKA

CZY PIŚ ZATRZYMA ABORCJĘ?

34 AGNIESZKA NIEWIŃSKA

JARUZELSKA UCZY SIĘ POLITYKI

36 RADOSŁAW WOJTAS

UCHYLONE OKNO JAROSZEWICZÓW

38 ŁUKASZ ZBORALSKI

IDŹ I CIERP

KULTURA

42 PIOTR GOCIEK

SNY OCALONYCH

Intrygujący koktajl w powieści „Fuck America”

44 KRZYSZTOF MASŁOŃ

CZYTA POLSKA, ALE CZY TA

47 ANDRZEJ HORUBAŁA

WYJŚCIE Z DOMU NIEWOLI?

55 KRZYSZTOF MASŁOŃ

ZGNIŁE JAJA

NIE PRZEGAP

50 NASZ PRZEWODNIK

FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

56 ŁUKASZ WARZECHA

BICZ NA WŁASNE PLECY

Zamieszanie z ustawą o IPN

59 MARIAN PIŁKA

PODZIAŁ CESARSTWA

62 TOMASZ P. TERLIKOWSKI

JEDNA POLSKA, DWA MORALIZMY

65 SZEWACH WEISS

BYĆ AMBASADOREM IZRAELA

HISTORIA

66 KAZIMIERZ KRAJEWSKI,

TOMASZ ŁABUSZEWSKI, PIOTR NIWIŃSKI

SKAZY NA KSIĄŻKACH

Polemika z książką „Skazy na pancerzach”

Piotra Zychowicza



ŚWIAT

72 TOMASZ WRÓBLEWSKI Z SEULU

AZJATYCKA PUŁAPKA

Czy tak się skończy amerykańska epoka?

75 JACEK PRZYBYLSKI

JASTRZĄB Z CIA NOWYM SZEFEM DYPLMACJI

76 JACEK PRZYBYLSKI

ZATRUTA LEKCJA

80 TERESA STYLIŃSKA

LIGA JUŻ NIE PÓŁNOCNA

EKONOMIA

82 STEFAN SĘKOWSKI

CHIŃSKIE PRZEJĘCIE

Mercedes-Benz a Państwo Środka

ŻYCIE I NAUKA

86 PIOTR WŁOCZYK

WŁADCA CZARNYCH DZIUR

Stephen Hawking 1942–2018

STYL

88 JOANNA BOJAŃCZYK

TWARZ POD NÓŻ

Polacy poprawiają naturę

O ZDROWIU

90 KATARZYNA PINKOSZ

ODZYSKAĆ WZROK

FELIETONY: SEMKA (8), ZIEMKIEWICZ (10), WARZECHA (11), GMYZ, GOCIEK (14), POSPIESZALSKI (54), ZALEWSKI, WOLSKI (64), ZYCHOWICZ, KOPER (70), KOWALCZUK (79), GABRYEL, RYBIŃSKI (84), KOMUDA (92), TYRMAND (96), KATARYNA (98), ŁYSIAK (99)

YACHT PARK



YACHT PARK - NOWE OBLCZE GDYNI

Ekskluzywna i unikatowa w skali Polski i Europy inwestycja została usytuowana w malowniczej, morskiej scenerii z widokiem na marinę i cumujące jachty. Luksusowy kompleks apartamentów wraz z nowoczesną przystanią jachtową oraz aleją spacerową z butikami i restauracjami stworzą miejsce, gdzie warto zamieszkać. Yacht Park zmieni krajobraz miasta. To nowe oblicze Gdyni.

YACHT PARK - THE NEW FACE OF GDYNIA

This unique development project in Poland and Europe will be situated in the beautiful scenery overlooking the marina and mooring yachts. A luxurious residential complex with a modern marina and a promenade with boutiques and restaurants will be a great place to live. Yacht Park will change the cityscape, and become the new face of Gdynia.

BIURO SPRZEDAŻY | SALES OFFICE

+48 785 88 55 88

www.yachtpark.pl



Drodzy Czytelnicy,

W tym tygodniu odgłosy naszych ostatnich publikacji i dyskusji.

„Antysemityzm – problem praktyczny”

Dziękuję Panu Redaktorowi Rafałowi A. Ziemiakiewiczowi za przekonujący wywód („Do Rzeczy” 11/2018), ale szczególnie za przypomnienie w nim postaci Jana Słomki, autora „Pamiętników włościanina od pańszczyzny do dni dzisiejszych”.

Jeśli dodam, że jestem jego – po kądzieli i w prostej linii – prawnukiem, to ta moja wdzięczność dla Pana Redaktora może wydać się jakoś niefajna. Pozwolę sobie oświadczyć, że nie dbam o to, bo jako człek dokształcony, ogólnie rozwinięty, a i wiekowy, w tej sprawie potrafię na dzieło pradziadka patrzeć obiektywnie. I jeśli Pan Redaktor nazywa go „nieocenionym”, to i za to Bóg zapłać. Bo to prawda!

Jednak prawdą jest też, że jak na wartość jego unikatowego dokonania pamiętnikarskiego w zbiorowej rodaków pamięci Jan Słomka praktycznie nie istnieje. No, może poza Tarnobrzegiem i okolicami...

Podejmowałem próby, aby Janem Słomką – nie tylko jako pamiętnikarzem, lecz także chłopskim pozytywistą, wybitnym samorządowcem, wzorem republikańskiego obywatelstwa, „apo- stołem trzeźwości” etc. – zainteresować „pierwszoliczowe” redakcje, ale bez powodzenia. Zwłaszcza stosowną po temu chwilę wydał mi się rok 2012, czyli jubileuszowy, setny rok od pierwszego wydania „Pamiętników włościanina...”

Przywołując dziś postać „Wójta z Dzikowa”, i to w tak ważkim oraz aktualnym kontekście relacji polsko-żydowskich, dał Pan nam, jego potomkom, sporo satysfakcji. Na koniec, żeby nie było za słodko – wnoszę krytyczną uwagę: Jan Słomka był wójtem, ale nie Tarnobrzega, lecz graniczącej na styk z tym miastem (wtedy miasteczkiem) gminy Dzików.

Łączę serdeczne pozdrowienia
Jacek Jakubiec, Jelenia Góra

„Boję się, że Polska przegra”

Refleksja na temat doskonałego artykułu Pani Elżbiety Morawiec („Do Rzeczy” 10/2018), ukazującego sedno rozpętanego w ostatnim czasie izraelskiego antypolonizmu. Wobec wielu afrontów ze strony rządu Izraela oraz jego przedstawicielki ambasador Anny Azari, która po swoich skandalicznych wypowiedziach w Dniu Pamięci o Ofiarach Holokaustu oraz Marca '68 powinna natychmiast zostać wezwana „na dywanik” Ministerstwa Spraw Zagranicznych i zrugana za obsesyjny wręcz antypolonizm, który nie ma nic wspólnego z faktami historycznymi, polski rząd woli stosować „politykę strusia”. Jeżeli polska dyplomacja jest zbyt słaba bądź zbyt lekka, aby podjąć skuteczną kontrofensywę przeciwko kłamstwom historycznym i antypolonizmowi przejawianemu przez Izrael, w imię wygaszania konfliktu, to należy zastosować inne sposoby edukacji historycznej skierowane do ignorantów, np. tłumaczenie na język angielski artykułów ukazujących prawdę historyczną i wysyłanie ich do Izraela oraz wpływowych gazet. Efekt może nie być natychmiastowy, ale kropla drąży skałę.

Pozdrawiam
dr Witold Kędziarski, Rzeszów



ADRES: Tygodnik DO RZECZY
Batony Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.pl

REDAKCJA:
Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępcy redaktora naczelnego: **Andrzej Horubała, Piotr Zychowicz**
ZESPÓŁEM:
Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji),
Łukasz Zboralski (II sekretarz redakcji), **Andrzej Dziekan, Radosław Wojtas**
Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Waldemar Łysiak, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemiakiewicz
Stali współpracownicy i korekciści:
Kamila Baranowska, Olivier Bault, Robert Bogdański, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Sławomir Cenciekiewicz, Wiesław Chelminiak, Dominika Coś (Bruksela), Krzysztof Czabański, Roman Graczyk, Piotr Gursztyn, Katarzyna, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczyk (Rzym), Jakub Kowalski, Tomasz Lenczowski, Ewa Łosińska, Łukasz Majchrzyk, Marcin Makowski, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Gabriel Michalik, Filip Memches, Agnieszka Niewińska, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Anna Piotrowska, Jan Pospieszalski, Witold Repetowicz, Agnieszka Rybak, Krzysztof Rybiński, Stefan Sękowski, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Tomasz P. Terlikowski, Błażej Torzański, Matthew Tyrmand, Paweł Wawrzynski, Szewach Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Tomasz Wróblewski, Wojciech Wybranowski, Igor Zalewski
DoRzeczy.pl redaguje **Antoni Trzmiel** (także dziennikarz Telewizji Polskiej) z zespołem: **Zofia Magdziak** (zastępca), **Anna M. Piotrowska, Małgorzata Puzyr, Damian Cygan, Karol Gac, Mateusz Maranowski** (także Polskie Radio), **Jan Fiedorczuk**
Współpraca: **Mikołaj A. Łodowski**
Studio graficzne: **Mariusz Daruk-Skarbek** (szef studia), **Wojciech Niedziello** (grafik prowadzący), **Jacek Nadratowski, Anna Sobieska-Wójtczyk, Włodzimierz Zakrzewski**
Fotoredakcja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska, Marzena Dobosz, Agnieszka Wasilewska**
Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa, Mirosław Owczarek**
Okładka: **Jacek Smarz/POLSKA PRESS/EAST NEWS;**
Zbyszek Kaczmarek/Gazeta Polska/FORUM; oprac. graf. JAN WYDAWCA: Orle Pióro sp. z o.o.

Batony Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW



Prezes Zarządu PMPG SA: **Michał M. Lisiecki**
Zarząd Spółki Orle Pióro:

Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel. 503 016 998

PUBLIC RELATIONS
(PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:

Adam Borzęcki (kolportaż):

Aneta Suchta (prenumerata wydawnicza),
prenumerata@pmpg.pl, tel.: +48 22 529 12 10

ISSN 2299-8500

Nr indeksu 288829

Nakład 96 tys. egzemplarzy

DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:

Prenumerata realizowana przez RUCH SA:

Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Eventualne pytania prosimy kierować na adres

e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7-17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyrażnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.

© © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

Naszej drogiej koleżance

Eli Statkiewicz

wyraży głębokiego współczucia z powodu śmierci Męża

SP

 **Pawła**

składają przyjaciele
z tygodnika „Do Rzeczy”

Wielka Brytania przeciw Nord Stream 2

Jak ustalił tygodnik „Do Rzeczy”, 12 marca na ręce Borisa Johnsona, ministra spraw zagranicznych w gabinecie Theresa May, wpłynął ważny dla polskich interesów list otwarty. Widnieją pod nim podpisy 20 brytyjskich członków Izby Gmin oraz Izby Lordów, w tym Iana Duncana Smitha – byłego przewodniczącego Partii Konserwatywnej. W jego treści, dotyczącej zagrożeń wynikających z budowy gazociągu Nord Stream 2, czytamy m.in., że Wielka Brytania od zawsze stanowiła element tożsamości obronnej Europy i nie uchyliła się od tego obowiązku, podobnie jak polscy piloci w bitwie o Anglię. I pomimo tego, że kraj wycofuje się z UE, nie może opuszczać swoich kontynentalnych sojuszników.

Sygnatariusze listu podkreślają strategiczne znaczenie krajów Europy Środkowej oraz państw bałtyckich, których bezpieczeństwo zostanie naruszone poprzez budowę gazociągu Nord Stream 2. Instalacja łącząca Rosję i Niemcy poprzez Bałtyk wystawi wspomniane kraje na szantaż energetyczny ze strony Moskwy oraz obniży ogólny poziom bezpieczeństwa w regionie.

„Jesteśmy przekonani, że doceni pan – szczególnie w okresie rosnącego napięcia w relacjach z Rosją – absolutną



Theresa May FOT. JACK TAYLOR/GETTY IMAGES

konieczność zaangażowania się Wielkiej Brytanii w zapewnienie gwarancji bezpieczeństwa i suwerenności naszym partnerom z NATO na flance wschodniej” – argumentują w liście, który w niedzielę jako pierwsi opublikowaliśmy na portalu DoRzeczy.pl.

W liście możemy również przeczytać, że Nord Stream 2 już wywołał tarcie pomiędzy Radą Europejską a Komisją Europejską, równocześnie idea budowy gazociągu potępiana jest przez Departament Stanu USA.

Sygnatariusze wyliczają straty, szczególnie dla Ukrainy, które spowoduje

budowa gazociągu, oraz zapowiadają parlamentarną debatę na temat bezpieczeństwa energetycznego Polski oraz Europy Środkowej.

– Problem budowy Nord Stream 2 to nie tylko Rosja. Niemcy, zmierzając do jego budowy, zapominają o solidarności ze swoimi unijnymi oraz NATO-wskimi sojusznikami. Tym samym podważają bezpieczeństwo energetyczne Polski. Wielka Brytania nie zapomni o swoich partnerach w NATO” – mówi „Do Rzeczy” Daniel Kawczynski, członek Izby Gmin, szef parlamentarnej grupy roboczej ds. Polski (All-Party Parliamentary Group on Poland) oraz autor listu.

Zapowiada, że to nie ostatnia inicjatywa tego typu. Następne w kolejce czekają listy otwarte oraz debaty parlamentarne na temat ulokowania stałych baz NATO w Polsce oraz wsparcia naszego kraju w dyplomatycznej walce o uzyskanie reparacji wojennych ze strony RFN.

Jak dowiaduje się „Do Rzeczy”, pierwsza z debat – dotycząca zagrożenia wynikającego z budowy gazociągu Nord Stream 2 – odbędzie się za ok. dwa tygodnie w brytyjskiej Izbie Gmin. ©©

Marcin Makowski

Fake newsy nawet w Watykanie

Pięciolecie pontyfikatu Franciszka ukazuje, że Kościół coraz mocniej popada w papieski kult jednostki. PR-owcy papieża przekonują już nie tylko, że jest on niezwykłym duszpasterzem, że kochają go media, że proponuje nowy styl (co akurat dałoby się obronić), lecz także próbują budować wrażenie, iż jest on doskonały w każdym calu. A jako że wśród katolików krąży opinia, iż Franciszek nie jest świetnym teologiem, postanowili z nią zawalczyć, wykorzystując do tego cytaty z papieża emeryta Benedykta XVI. I tak na konferencji na temat wydawnictwa prezentującego książki o „teologii Franciszka” zaprezentowano list Benedykta XVI, w którym ten miał przekonywać, że jego następcą

kontynuuje jego linię myślenia i jest wielkim teologiem. Okazało się jednak, że pominięto kilka kluczowych informacji i jeden akapit tekstu. Wynikało z nich bowiem, że Benedykt XVI nie czytał owych tomików Franciszka, a sam list był nie tyle recenzją książek, ile uprzejmą odmową

zajmowania się nimi. Nie wróży to dobrze mediom i realnej debacie w Kościele, jeśli tak istotne instytucje Kościoła uciekają się do fake newsów (tak przecież potępianych przez samego Franciszka), byle tylko budować marketingowy przekaz. ©©

Tomasz P. Terlikowski

*Składam z głębi serca płynące podziękowania całemu personelowi Fundacji Hospicjum Onkologicznego św. Krzysztofa w Warszawie przy ul. Pileckiego 105 za serdeczną, pełną miłości troskę, jaką otaczają pacjentów, czego doświadczył mój mąż **śp. Janusz Żabowski**.*

Barbara Macierewicz-Żabowska



PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Słowacja bez własnego PiS

Zabójstwo odważnego dziennikarza, podejrzenia o mafijną korupcję rządu, tłumy Słowaków demonstrujących na ulicach i dramatyczne apele publicystów o ozdrowieńczy wstrząs w słowackiej polityce. To wszystko budzi sympatię i poparcie Polaków, ale mało kto nad Wisłą rozumie do końca logikę sytuacji politycznej naszych sąsiadów.

Lubię Słowaków i co pewien czas zaglądam do Bratysławy. A że czynię to od ponad 20 lat, miałem okazję wielokrotnie porównywać ten kraj z naszą ukochaną Polską. W największym skrócie, o ile w III RP spór polityczny toczył się do 2015 r. w trójkącie Unia Wolności (potem Platforma)-Sojusz Lewicy Demokratycznej-PiS (wcześniej różne partie prawicy), o tyle na Słowacji scena polityczna była uboższa. Najpierw w latach 90. dominował Vladimír Mečiar w sojuszu z narodowcami, czyli coś na kształt naszego PSL w aliansie z dawną Ligą Polskich Rodzin Romana Giertycha. Potem władzę odzyskali liberałowie z chadeckim szyldem, czyli partia SDKU Mikuláša Dzurindy, która skompromitowała się licznymi aferami. I wtedy w 2006 r. doszedł do władzy Robert Fico ze swoją lewicową partią SMER, czyli

ktos w stylu Leszka Millera, tyle że młodszy. Fico wyszedł naprzeciw opiekuńczym przyzwyczajeniom Słowaków, puszczał oko do nacjonalistów, a jednocześnie był posłuszny wobec Brukseli i Berlina, co dało mu zagraniczny parasol, pod którym oplótł kraj siecią korupcji i kolesiostwa. Fico rządził aż do minionego tygodnia. Dwanaście lat!

W 2011 r. po raz pierwszy wyszła na jaw skala skrupowania ekipy Fico. Kanadyjski dziennikarz żyjący w Bratysławie ujawnił taśmy z policyjnej operacji „Gorilla” pokazujące korupcyjne układy ludzi z otoczenia Fico z szemranymi biznesmenami. Wtedy po raz pierwszy Słowacy wyszli na ulice. Fico ugasił pożar. Do dymisji podał się szef MSW. W nowych wyborach znów wygrał Fico. A ruch protestu Anti-Gorilla nie wyłonił żadnej nowej siły. I znów Fico rządził, jak chciał, Bruksela chwaliła go jako nowego lidera regionu. A ukryty mechanizm siucht rozkręcał się na nowo.

Aż doszło do morderstwa dziennikarza Jana Kuciaka i jego partnerki Martiny Kuznirovej. I znów zaczęły się demonstracje, znów do dymisji podał się kolejny szef MSW Robert Kaliňák, ale tym

razem to nie uspokoiło tłumów na ulicach. Wtedy Fico ustąpił.

Cóż z tego jednak, skoro nowym premierem będzie Peter Pellegrini, zastępca Fico w partii SMER? To tak, jakby zmuszonego do dymisji Leszka Millera zastąpiłby dziś Włodzimierz Czarzasty.

Jaki jest morał z całej tej opowieści? Otóż na Słowacji nie ma prawicy środka w stylu PiS. Nie ma silnego ugrupowania, które by jednocześnie miało program przebudowy państwa i nie wspominałoby z łezką w oku wojennej, kolaboracyjnej republiki ks. Josefa Tiso. Dlatego niewiele dały demonstracje oburzonych zarówno po aferze Gorilli w 2011 r., jak i teraz. A partia SMER będzie rządzona z tylnego siedzenia przez starego cwaniaka Roberta Fico.

Gdy wszystko się uspokoi, aparatczyki SMER zapewne wrócą do dawnych, korupcyjnych nawyków, tyle że będą bardziej uważać. Aż znów zdarzy się coś, co zburzy ten sztuczny spokój. Czarnowidztwo – powiecie? Brak wiary w Słowaków? Chciałbym wierzyć, że w końcu ktoś zechce namieszać w słowackiej polityce. Jednak kandydatów do przeprowadzenia radykalnych zmian nie widzę.

To ja jednak wolę już Polskę. ©

18 LAT WIĘZIENIA ZA NIEWINNOŚĆ

W czwartek po 18 latach za kratami Tomasz Komenda – skazany na 25 lat więzienia za gwałt ze szczególnym okrucieństwem i zabójstwo 15-letniej dziewczyny – wyszedł na wolność w trybie pilnym. Sąd zwolnił go z odbywania kary, bo według prokuratury 42-letni dziś mężczyzna jest niewinny. Koszmar był tym większy, że podczas odbywania kary znęcali się nad nim inni więźniowie. Mężczyzna czeka jeszcze na formalne uniewinnienie. (jap) ©



FOT. MAŁEJ KULCZYŃSKIEJ/PAP



Potęga smaku Jakuba Karpińskiego (1940–2003)

Odszedł 15 lat temu. Wiele osób nie zauważyło wtedy jego śmierci. Mimo że był jednym z najbardziej przenikliwych analityków komunizmu w Polsce, to Krzyż Komandorski z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski otrzymał dopiero trzy lata po śmierci – we wrześniu 2006 r., nadany przez prezydenta Lecha Kaczyńskiego. Nigdy nie narzucał się ze swoją obecnością. Nigdy nie podnosił głosu. Jeśli mówił o rzeczach dramatycznych, to z umiarem i dbając o jasność wykładu, a nie epatowanie emocjami. Jeśli z czegoś kpił – to z subtelnym półśmiechem i ironią.

Był jednym z bohaterów Marca '68 – dziś można już użyć takiego mocnego określenia, które on sam zapewne uznałby za przesadę. To w jego mieszkaniu podjęto decyzję o zorganizowaniu wiecu w dniu 8 marca 1968 r. na dziedzińcu Uniwersytetu Warszawskiego w obronie Adama Michnika i Henryka Szlajfera.

Jednak nie został, tak jak inni komandosi, aresztowany już w pierwszym dniu rewolty. Tym samym mógł stać się wybijającą się postacią drugiej fazy protestu, która objęła warszawskie uczelnie w kolejnych dwóch tygodniach marca.

I jeśli szukać liderów intelektualnych tego spontanicznego przeciwieństwa ruchu, to trzeba wskazać na troje autorów „Deklaracji ruchu studenckiego” ogłoszonej 28 marca 1968 r. – Jakuba Karpińskiego, Jadwigę Staniszkis i Andrzeja Mencwela.

Irena Lasota wspomina, że Karpiński, do którego sływały rezolucje różnych wydziałów warszawskich uczelni, formułując komunikaty strajkowe, odrzucał, jak mógł, solenne zapewnienia typu: „Nie jesteśmy przeciw socjalizmowi, ale...”. Uważał, że studenci muszą mówić swoim własnym głosem, a nie zabezpieczać się deklaracjami akceptacji socja-

lizmu, które władze PRL i tak miały gdzieś.

W „Deklaracji ruchu studenckiego” znalazło się w końcu zdanie: „Akceptacja idei socjalizmu nie zwalnia, ale zobowiązuje do dyskusji”. Zbyt mocne były psychiczne blokady i niełatwo było zerwać ze starymi lękami. Jednak tekst „Deklaracji...” zawierał postulat powołania „legalnej organizacji młodzieżowej, w której będą mogły znaleźć wyraz rzeczywiste dążenia polityczne młodzieży studenckiej”, już bez ideologicznych przymiotników. Na 12 lat przed sierpniem 1980 r. autorzy manifestu stawiali postulat stworzenia instytucji wolnych od komunistycznego monopolu ideologicznego.

To dlatego postać Karpińskiego powinna być dzisiaj wspominana na pierwszym

planie w kontekście obchodów Marca '68, obok Ireny Lasoty, Józefa Dajczgewanda, Adama Michnika czy Seweryna Blumsztajna.

Pośród trojga autorów Andrzej Mencwel odsunął się od polityki po Marcu, ale już dla Jakuba Karpińskiego i Jadwigi Staniszkis studencka rewolta była wstępem do aktywnego udziału w ruchu opozycyjnym lat 70.

Karpiński był przykładem badacza, który miał świadomość, że gromadzenie prawdy o systemie jest czymś, czym można najboleśniej ugodzić w system oparty na kłamstwie. We wrześniu 1968 r., po zwolnieniu z aresztu, natychmiast zaczął gromadzić relacje z procesów uczestników Marca. Na ich podstawie napisał potem „Krótkie spięcie” – błyskotli-

wą analizę antysystemowego zrywu. 31 maja 1969 r. został zatrzymany za współpracę z paryską „Kulturą” i w śledztwie powiązany z tzw. sprawą taterników, czyli grupą przemycającą do kraju egzemplarze paryskiej „Kultury”.

Jego wystąpienia na sali sądowej, z których szczęśliwie zachowały się nagrania, pokazują wolnego człowieka, który z otwartą przyłbicą odpowiadał sędziom reprezentującym system PRL. 4 lutego 1970 r. usłyszał wyrok czterech lat więzienia. Wyszedł na mocy amnestii w czerwcu 1971 r. Nowy szef PZPR Edward Gierek chciał po cichu zamknąć sprawę Marca.

Stąd wziął się w naturalny sposób jego akces do opozycji parę lat potem. Podpis Jakuba Karpińskiego widnieje pod Listem 59 przeciwko zmianom w Konstytucji PRL i Listem 14 w obronie robotników Radomia i Ursusa w 1976 r. Od października 1977 r. należał do redakcji pisma „Głos” i był jednym z założycieli Towarzystwa Kursów Naukowych.

W 1979 r. wyjechał na emigrację, która trwała w jego przypadku aż do końca XX w. Tam powstały jego analizy socjologiczne PRL, które powinny przynieść mu pozycję jednego z najbardziej cenionych i poszukiwanych przez polskie uczelnie socjologów po 1989 r. Tak się nie stało. W Polsce lat 90. nie witano z otwartymi ramionami kogoś, kto był zbyt przenikliwy, by nie widzieć, jak III RP unika zerwania pępowniny ze swoją komunistyczną poprzedniczką. Za tę przenikliwość odpłacano mu cichą niechęcią i zakulisowymi utraceniami.

Obok Zbigniewa Herberta i Gustawa Herlinga-Grudzińskiego należał do trójki wielkich Polaków, którzy w latach 90. przestrzegali przed skutkami moralnej amnestii dla komunistycznych władców.

Requiescat in pace. ©©

Piotr Semka



RAFAŁ A.
ZIEMIAKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Być jak Sebastian

Zachęciła mnie do tej lektury „Gazeta Wyborcza”, udostępniając dziennikarski portret Sebastiana Słowińskiego, studenta filozofii na Kolegium Międzyobszarowych Indywidualnych Studiów Humanistycznych i Społecznych, za darmo. Skoro czerska redakcja uznała, że upowszechnienie sylwetki działacza Studenckiego Komitetu Antyfaszystowskiego warto jest uchylene wszem wobec paywalla – to skorzystam, pomyślałem. Przyznam też, że po zapoznaniu się z tekstem i ze zdobiącą go wystylizowaną, upozowaną fotografią Sebastiana w pierwszej chwili miałem wrażenie, że obcuję z parodią, z jakimś fejkkiem przygotowanym przez prawicowych zgrywusów, na takiej zasadzie, jak Fronda robiła kiedyś śmieszne wywiady ze zmyślonymi działaczkami feministycznymi czy młodymi pisarzami.

Jednak nie, sprawdziłem – to jest prawdziwa strona „Wyborczej”, a więc zapewne i prawdziwy bohater, którego ona chwali i podaje za wzór.

Może zresztą słowo „bohater” nie jest najwłaściwsze. Sebastian jest trendsetterem, benczmakiem lajfstajlu. Sebastian imponuje, zachwyca i każdy powinien chcieć być jak Sebastian. Sebastian zaczyna dzień od Mozarta, którego słucha pod prysznicem. Czego słucha podczas załatwiania innych porannych spraw w łazience, nie mówi (ja obstawiałbym „Also sprach Zarathustra” Ryszarda Straussa, koniecznie Filharmonii Berlińskiej pod batutą Herberta von Karajana). Potem odrobina nudy, semiotyka logiczna, ale „potem będzie już bardziej interesująco. Historia filozofii i fakultet figury wyzwolenia”. Potem „pójdę się czegoś napić,

bo w ostatnim czasie nie miałem na to czasu. W poprzednim tygodniu blokada narodowców, w niedzielę Manifa, kilka dni temu konferencja prasowa. Wszystko wymagało czasu i wysiłku”. Jednak wysiłek się opłacił – pod „antyfaszystowskim” apelem Sebastian z komitetem zebrali aż 150 (jejku, jejku!) podpisów w całej Polsce oraz na Sorbonie i Yale.

Dłatego wieczorem Sebastian nagrodzi samego siebie wyjściem do klubu Glam. Oczywiście po tym, jak pochodzi po Łazienkach, „bo pięknie wyglądają o tej porze roku”, poczyta „Idiotę” Dostojewskiego i pobawi się z kotem, którego nazwał Azazello, bo Sebastian ma sentyment do literatury rosyjskiej. Tak w codziennym glamurze upływa dzień „antyfaszysty”.

A wy co? ©©



WOJCIECH
WYBRANOWSKI

CZERWONE I CZARNE

Lwy i strusie

Dobra wiadomość. Polscy politycy potrafią walczyć. Jak wilki, jak orły, ba, wicepremier Jarosław Gowin przekonuje nawet, że będzie walczył jak lew. Lance do boju, szable w dłoń, bolszewika... A nie, zaraz... Z kim i o co chce się bić prezes partii Porozumienie? Chodzi o imperium. O całkiem spore, prywatne imperium wpływów, czyli – krótko mówiąc – ministerialne gabinety polityczne. Jeszcze krócej – o kasę i wpływy dla zaufanych ludzi.

Szef koalicyjnego ugrupowania zbiesił się, bo premier Morawiecki zapowiedział przygotowanie ustawy, która właśnie ma zlikwidować

gabinety polityczne ministrów; postawił więc medialnie kosę na sztorc i patetycznie zagrział, że likwidacja gabinetów (czytaj: odcięcie od publicznej kasy partyjniaków) to „ograniczenie skuteczności działania państwa”. Miało być dramatycznie, jednak w ustach człowieka, który w rządzie Donalda Tuska likwidował aparat państwa w Polsce powiatowej, zabrzmiało to cokolwiek groteskowo.

Wcieniu Gowinowego potrząsania szabelką, bez większego echa przeszła gorzka wiadomość podana przez Radio RMF FM, że polski rząd wycofuje się z zaplanowanego na

ten rok, niezwykle potrzebnego remontu cmentarza Orląt we Lwowie. Pieniądze na ten cel są, ale polscy politycy rezygnują z zadbania o miejsca pochówku polskich bohaterów w obawie przed pogorszeniem stosunków polsko-ukraińskich. Że to niby zły moment jest. A przecież miało być inaczej. Bardziej honorowo. „Powinniśmy prowadzić twardą, zdecydowaną politykę historyczną. Politykę prawdy” – mówił prezydent Andrzej Duda. Teraz przekonuje, że ustawa o IPN to zły moment był. Zamiast polityki prawdy jest polityka strusiów. No, chyba że dotyczy to własnych interesów... ©©



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

8 groszy na szklane domy Morawieckiego

Pamiętają państwo opłatę drogową? To pomysł PiS z lata ubiegłego roku na sfinansowanie remontów dróg lokalnych. Opłata miała wynosić 20 gr od litra paliwa, a jej nałożenie uzasadniał w Sejmie w niezwykle bełkotliwy sposób poseł Zbigniew Dolata. Potem Naczelnik zdecydował, że opłaty jednak nie będzie, a poseł Dolata pogrzyżył się na powrót w odmętach sejmowego niebytu.

Tymczasem opłata wraca – co prawda na inny cel i niższa, bo tym razem ma to być 8 gr, ale jednak. Pierwotna opłata paliwowa była pomysłem fatalnym, ale miała być wydawana, przynajmniej w teorii, na coś jednak namacalnego i konkretnego, czyli wspomniane drogi lokalne. Nowa

Ministerstwo Energii twierdzi, że opłata nie powinna spowodować wzrostu cen paliw dla konsumentów. Nie wiem, jakiej magicznej ekonomii uczyli się urzędnicy ME, ale w tej naszej, ziemskiej, realnej każde dodatkowe obciążenie, nakładane na producenta czy dystrybutora, skutkuje wzrostem cen detalicznych.

Nie trzeba być profetą, żeby wiedzieć, że z ambitnych planów nic nie będzie, choćby dlatego, że polska infrastruktura energetyczna nie wytrzymałaby masowego obciążenia ładowaniem elektrycznych aut. Ba, problematyczna może być nawet zamiana samych autobusów ze spalinowych na elektryczne. Pomijam już taki drobiazg, jak spadek wpływów z akcyzy na paliwo, który przecież jakoś trzeba by wyrównać.

Mrzonki o polskiej elektromobilności to premiera Morawieckiego wersja opowieści Seweryna Baryki o szklanych domach. Tak jak ojciec głównego bohatera „Przedwiośnia” serwował synowi swoje majaki, tak premier i jego współpracownicy serwują nam fantazmaty, którymi są elektryczne auta. Problem w tym, że o ile Cezary Baryka od nikogo nie ściągał kasy na realizację marzeń swojego taty, o tyle Mateusz Morawiecki ma możliwości, żeby na swoje rojenia wyciągać kasę z naszych portfeli. ©

Nie wiem, jakiej magicznej ekonomii uczyli się urzędnicy Ministerstwa Energii

danina, zaszyta w projekcie ustawy autorstwa Ministerstwa Energii, ma nosić nazwę opłaty emisyjnej i finansować naczelną rządową fantasmagorię, czyli „transport alternatywny” – autka elektryczne. Jak wiadomo, koszt zmuszenia Polaków do przesiadania się na elektryki ma wynieść do 2020 r. bagatelne 19 mld zł.



MIĘDZY TWEETAMI

Marcin Makowski

Horror vacui

Będę z państwem szczery – pięć Trybunałów Konstytucyjnych nie wywołało takiej debaty na Twitterze jak zamknięcie na 24 godziny Biedronki i Lidle. Jeśli ktoś sądził, że ustawa uda się spacyfikować przekorność Polaków, to srogo się pomylił. „Wiosna. Podobno są bardzo fajne mokasyny na Orlenie, spoko wiatrówki na BP, koszule na Lotosie i pulowery na Łukoilu. Trzeba się ruszyć w niedzielę” – radził Michał Majewski.

Nie wszyscy jednak mają blisko na stację.

„Miałem rytuał dużych tygodniowych zakupów robionych w niedzielę. W inne dni tygodnia nie było na to czasu. Odbieram to tak – rządzący zmniejszają moją produktywność w dni powszednie. Moją, czyli przedsiębiorcy zatrudniającego kilkadziesiąt osób” – ubolewał Przemysław Pająk, szef portalu technologicznego. I teraz Kaczor będzie miał na sumieniu nie tylko polityków opozycji, twierdzących, że „komuna zakazywała chodzenia do kościoła, a PiS do galerii”, lecz także jedną recenzję smartfona tygodniowo mniej.

Nastrój pesymizmu udzielił się również Piotrowi Witwickiemu. „Przetrawiliśmy zaborów, wojny, okupację i komunę. Sądząc jednak po głosach z Twittera, to jutrzejszej wolnej niedzieli nie przetrawimy” – napisał dziennikarz Polsatu.

Im bliżej było godziny zero, tym szybciej gęstniały emocje. „Zostało jeszcze 3,5 h na zakupy. Jutro proszę o informację, jak i gdzie obchodzony jest zakaz handlu” – pytał poddenerwowany Ryszard Petru.

Z rozważań teoretycznych przenieśmy się na plac boju. „Dzisiaj w sklepie przed godziną. Facet pcha do kasy wózek załadowany zgrzewkami wody mineralnej i pyta kasjerkę: – Jutro sklep czynny czy zamknięty? – Pan sobie kupi jeszcze jeden wózek tej wody, bo do poniedziałku panu nie starczy – odpowiada kasjerka” – donosił jeden z internautów Marek Markowski.

A gdy już zamknęli na klucz ostatnią „plazę”, nastąpiła przerażająca cisza. „Pustki jak z horrorów. Tak wyglądają warszawskie galerie w pierwszą niedzielę wolną od handlu” – relacjonował portal NaTemat. Również za tydzień bądźmy myślami z tymi, którzy wobec braku alternatywy zostaną w domu albo wybiorą się na spacer. Lekko mieć nie będą. ©

TALENT KUPIĘ

Celebryta Mateusz Maga po występie w programie „Top Model” wciąż nie może się zdecydować, w którą stronę chce iść – czy chce być modelem, a może aktorem, a może jednak pójść w muzykę. Bo talentów ma oczywiście całą masę. Przynajmniej tak twierdzi. Niestety, jego muzyczny debiut nie spotkał się ze zrozumieniem, a mówiąc brutalnie, został zjechany od góry do dołu. Maga wziął krytykę do siebie i w ramach protestu wycofał się z walki o występ na Eurowizji. Niestety, planów muzycznych nie porzucił i wciąż marzy o podbiciu rynku muzycznego. „Aktualnie jestem w LA, gdzie rozwijam swój warsztat wokalny i tworzę teksty do moich utworów” – poinformował ostatnio. „Spełniam się i robię to, co kocham! Chcę nadal spełniać się w modelingu i zacząć w śpiewie – ten rok będzie dla mnie ogromnie ważny!” – dodał. Zapowiedział też, że wkrótce wraca do Polski. – Już wkrótce przylatuję do PL, gdzie rozpocznę realizację nagrań utworów! Wierzę w to, że jeżeli czegoś się pragnie, to można to osiągnąć! – stwierdził. W sumie skoro śpiewać mogą siostry Godlewskie, to czemu nie jakiś tam model Maga? A może nagrają kiedyś coś we troje? To dopiero byłby tercet. Egzotyczny!

GŁĘBIA EDYTY

Edyta Górniak marzy o drugim dziecku. W telewizji śniadaniowej marzy. – Dzisiaj niby się przesunął próg biologiczny dla kobiet i jest wiele przykładów, chociażby Janet Jackson, która w wieku 50 lat urodziła dziecko. Ale znam też dużo historii kobiet, które przez lata się zmagaly. Nie wiem, czy biologicznie mój organizm by mi na to pozwolił. Gdybym jeszcze miała urodzić dziecko, to jest to proces złożonych, różnych wydarzeń, które raczej nie mają szansy się wydarzyć. Chociaż życie potrafi zaskakiwać – wyznała Edyta. – Tak, bardzo chciałabym być mamą po raz drugi. „The Voice Kids” jeszcze bardziej obudził mój instynkt macierzyński. To jest bardzo głęboki temat dla mnie – stwierdziła. Tak głęboki, że postanowiła opowiedzieć o nim w „Pytaniu na śniadanie”. Gdzieś między jajecznicą a drugą kawą.

NIGDY, PRZENIGDY W ŻYCIU!

Renata Kaczoruk, dziewczyna Kubę Wojewódzkiego, próbuje ocieplić swój

wizerunek popsutym udziałem w programie TVN „Azja Express” występem w kolejnym programie, tym razem w Polsacie. Chodzi o „Taniec z gwiazdami”, w którym Kaczoruk podobno całkiem nieźle sobie radzi. Celebrytka jest zadowolona, że idąc do Polsatu, mogła zmanifestować swoją niezależność od „króla TVN”, jak mówi o sobie Wojewódzki. – Zanim poznałam Kubę, nie żyłam w blasku fleszy. Byłam względnie anonimową modelką, nikt nie interesował się moim życiem prywatnym – mówi w magazynie „Show”. – „Taniec z gwiazdami” odbudowuje mnie jako człowieka oraz kobietę – wyznaje. Odbudowana Renata mówi też, że chronią z Kubą swoją prywatność. – To, co dzieje się u nas w domu, zachowamy wyłącznie dla siebie. Obiecuję, że nigdy nie wystąpimy wspólnie na okładce, gdzie będziemy opowiadać o swojej miłości, trzymając się za ręce – zapewnia. A my wierzymy w jej zapewnienia. Kiedyś np. zapewniała, że nie zależy jej na karierze w show-biznesie i udziale w jakichś tam programach. To kiedy ta okładka?

PRYWATNOŚĆ W TELEWIZJI

Młoda aktorka Julia Wieniawa jest znana dzięki roli w serialu „Rodzinka.pl” oraz dzięki swojemu związkowi z aktorem Antkiem Królikowskim. 19-latką postanowiła opowiedzieć o swoich doświadczeniach życiowych. – Wychodzę z założenia, że co miałam przeżyć, to już przeżyłam – mówi w rozmowie z portalem Plejada. – W związku z tym, że miałam starszych znajomych i szybko zaczęłam pracować, wcześniej wpadłam w imprezowe towarzystwo. Przeszłam więc przyspieszony kurs dojrzewania, ale dziś jestem już spokojniejsza. To był najbardziej przełomowy rok w moim życiu. Sporo zmieniło się u mnie zarówno zawodowo, jak i prywatnie. Uspokoiłam się i zmieniłam priorytety. Najważniejsze są dla mnie rodzina i praca. Skończyłam z bezstreskim, sielankowym życiem pełnym imprez. Stawiam teraz na rozwój – mówi w wywiadzie 19-latką. Narzeka też na zainteresowanie swoim życiem prywatnym i twierdzi, że chce je chronić. – Nie chcemy epatować naszą miłością, bo wiemy, że może się to odwrócić przeciwko nam. Zauważyłam, że im więcej mówi się o związku, tym na gorsze to wychodzi. Dlatego chronię naszą prywatność – wyznaje. Oj, chroni, chroni. Ostatnio chroniła ją np. w telewizyjnym programie Polsatu, który polega na tym, że pary przychodzą i opowiadają o swojej miłości. ©©



FOT. RADOŚLAW NAWROCKI/FOTOK

FOT. PAMEL GROMADA

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW



Kochani, jak podają media w jednym z małych ośrodków, gang 12-letnich dziewczynek napadał na sklepy i kradł słodycze, wódkę i pieniądze. Tak wyglądają konsekwencje wprowadzania przez pis inżynierii społecznej w postaci programu „500+”. Taki ten kraj szykuje dla was rząd.

Jesteśmy bowiem dziwnie spokojni, iż te dziewczynki to pokrzywdzone pierwsze dzieci, na które ich osobom płodzącym nie przysługuje świadczenie w ramach „500+”. Osobodzieci, widząc, jak ich młodsze rodzeństwo otrzymuje to, czego im samym brakuje, nie miały innego wyjścia, niż wejść na rozpaczliwą drogę włamań. To społeczeństwo je do tego zmusiło i nie możemy je za to winić.

Dlatego też, iż – pamiętając of kors, że rozdawnictwo jest złe i demoralizuje – chcemy stanowczo potępić rozdawnictwo na jedno dziecko i zaapelować, iżby nie wykluczać z rozdawnictwa dzieci urodzonych jako pierwsze. Inaczej będziemy świadkami kolejnych podobnych dramatów.

Iż zbliżają się Spring Holidays, zostaniecie zmuszeni, aby w rodzinnych domach w małych ośrodkach zasiąść wraz z osobami płodzącymi przy wspólnym stole i zjeść tradycyjne śniadanie. Of kors nie będzie mowy o panekkach, wegańskiej jajecznicy i tofurniku do fair trade kawy z mlekiem ryżowym.

W związku z tym zapraszamy Was do udziału w krótkiej psychozabawie pt. „Którą potrawą springholidajową jesteś?”.

1) Jak najchętniej spędziłbyś Spring Holidays?

- a) na churchingu
- b) na crossficie
- c) w korpo
- d) na zakupach
- e) w internecie

2) Jeśli miałbyś wskazać swojego ulubionego lidera opozycji, byłby to:

- a) Paweł Kukiz
- b) Ryszard Petru
- c) Kamila Gasiuk-Pihowicz
- d) Grzegorz Schetyna
- e) Korwin Krul

3) O czym skrycie marzysz?
a) o dużej rodzinie, „500+” i żeby monopolowy był pod blokiem

- b) o weekendowym resecie
- c) żeby ktoś w haerze korpo wreszcie mnie zauważył
- d) o grillu, kiełbasce, ciepłej wodzie w kranie
- e) o dumnej i bogatej Polsce



Odbierz, Andrzeju,
bo mnie Trump
z roboty wywali...

Cezary Zryzto PD

4) Które ze słów wywołuje w Tobie najcieplejsze uczucia:

- a) tradycja
- b) demokracja
- c) trybunał
- d) konstytucja
- e) wolność

5) Które z dań podałybyś swoim bliskim na springholidajowe śniadanie?

- a) żur z kiełbasą
- b) chipsy z jarmużu
- c) ramen
- d) sałatkę z soczewicy i ciecierzycy
- e) dania podają kobiety

ODPOWIEDZI

Większość a: Sorry, ale wyszedłeś na buraka. Nie ma tu o czym więcej pisać, powinieneś

się wstydzić. Jesteś właśnie tarym buraczkiem, w dodatku bez chrzanu.

Większość b: Starasz się być młody, dynamiczny, postępowy, ale kiedy nikt nie widzi, oglądasz „Samych swoich” i płaczesz w poduszkę, tęskniąc za rodzinnymi Kielcami. Większość życia udajesz: jesteś więc wegańskim pasztetem.

Większość c: Lubisz o sobie myśleć, że jesteś feministką, i masz egzotyczne wzorce oraz upodobania. W rzeczywistości jesteś egzotyczna jak październik

w Tczewie. Jesteś więc pospolitym polskim jajkiem.

Większość d: Nie chcesz się niczym przejmować, a twoim celem w życiu jest świecki spokój. Lubisz proste rozwiązania i podziały, dlatego nie przeczytałeś w życiu więcej niż okładki „Newsweeka”. Jako osoba prosta i nieskomplikowana jesteś zwykłą babką wielkanocną, bez rodzynek.

Większość e: Okropny z ciebie fashysta. Siedzisz przed kompem i czekasz, aż waginoosoby zrobią wszystko za ciebie. Nienawidzisz mniejszości. Jesteś żurem z kiełbasą. Białą. ©©

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU:
[FB.COM/MWIZWO](https://fb.com/mwizwo)

To, co najpiękniejsze nad Szprewą. Kanclerz Angela czwartą kadencję zaczyna od podróży do Paryża i Warszawy. Podobnie nowy szef niemieckiej dyplomacji. Szkoda, że nie słyszyście, co w związku z tym o pani kanclerz mówią berlińskie lemingi.

Krótkie résumé. W czasie pierwszej kadencji Angeli Polska była piątym krajem, który odwiedziła, spotykając się z PiS-owskim naonczas premierem, czyli Kaziem Marcinkiewiczem. Po objęciu władzy po raz drugi czas na wizytę w Warszawie znalazła dopiero w drugim roku rządów. Była to jej dopiero 52. wizyta zagraniczna, choć przez cały ten czas rządili już euroentuzjaści PO-PSL. Kiedy obejmowała władzę po raz trzeci, było już znacznie lepiej. Warszawa była ósmym celem jej podróży.



Apropos takich różnych wizyt. Do Angeli z kolei często przyjeżdża cesarz Europy Donald Tusk. W ciągu ostatniego roku – dwa razy. Chociaż formalnie według protokołu dyplomatycznego ma status równy głowom państwa, to w Berlinie przyjmowany jest cichaczem. Żadne tam czerwone dywany, żadna tam kompania honorowa. Biuro prasowe rządu federalnego jedynie informuje, że Donald przyjechał, ale na briefing albo przynajmniej fotkę już brakuje mocy przerobowych. Na pocieszenie dodamy, że taki sam ceremoniał (a raczej jego brak) towarzyszy wizytom Junckera, któremu Tusk podaje płaszcz.

Ważne wieści z rządu premiera Mateusza. Po cichu podpisano umowy z trzema poważnymi amerykańskimi kancelariami prawniczymi, które będą pracować dla polskiego

rządu. Jedna ma zajmować się lobbieniem, a pozostałe dwie innymi istotnymi sprawami. Z uznaniem przyjmujemy fakt, że ktoś zrozumiał: nie da się prowadzić polityki wizerunkowej jedynie za pomocą ustawy o IPN.

Zapowiadaliśmy. No i zmiany stały się faktem. Centrum Informacyjne Rządu zreorganizowano, a do roboty wrócił duet Anna Plakwicz i Piotr Matczuk, który wcześniej pracował dla premier Bełaty. Teraz CIR ma działać sobie, a departament komunikacji medialnej – sobie. Biorąc pod uwagę największe dzieło wspomnianego duetu, jakim była kampania „Sprawiedliwe sądy” dla Polskiej Fundacji Narodowej, powiedzielibyśmy nawet – tak sobie.

Trwa odchudzanie rządu. Oczywiście kibicujemy wyrzucaniu wiceministrów, bo lubimy ruch w interesie. Jako państwownicy zauważamy jednak pewien problem. Nie można wyrzucić zbyt wielu, bo nie będzie miał kto chodzić na Stały Komitet Rady Ministrów. Z drugiej strony – może to i dobrze. Jeśli komitet nie będzie opiniował nowych ustaw, to i samych ustaw nie będzie. Tak, wiedzą państwo, do której ustawy pijemy.

Zaciekawieniem przyjęliśmy inicjatywę posła Andruszkiewicza, który za fake newsa roku chce przyznawać specjalną nagrodę: Lisa Roku. Po pierwsze, pomysł nam się podoba, bo dzięki temu z racji samego nazwiska Tomek Lis będzie laureatem całorocznym, a przecież należy mu się jak mało komu. Po drugie, żądamy stworzenia osobnej kategorii dla polityków. Może się nazywać Szczerba Roku.

Apropos Tomka Lisa. Po mieście chodzą źli ludzie i opowiadają, że niemieccy chlebobdawcy ze szczytów koncernu Ringier Springer jakiś czas temu kazali mu się trochę uspokoić, to znaczy ograniczyć w „Lisweeku” działalność pismożerczą. Dotychczasową linię pisma określono zaś jako „miscalculated”.

Normalnie byśmy nie wierzyli, ale powyższa plotka dziwnie się składa z faktem, że relacje z Polską stały się ważnym elementem nowej koalicyjnej umowy rządowej w Niemczech. A jak wiadomo, wydawnicze koncerny działa-

**Armia Jagiełły
podczas swego sprytnego
manewru,
podobnie jak dziś PiS,
znajdowała się w lesie**

jące w tym kraju popierają niezależność i docieklivość dziennikarską – tak długo oczywiście, jak jest ona w zgodzie z interesem niemieckiego rządu.

Thriller w sprawie poszukiwań kandydata na prezydenta Warszawy trwa. Napięcie rośnie. RMF FM podaje, że Michał Dworczyk w miniony poniedziałek spotkał się z Kaczorem Dyktatorem. Włączamy się w budowa-

**dwaj
panowie** **g**



FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

nie nastroju grozy: do spotkania doszło o godz. 13.

Trochę nas bawi ekscytacja tym, że Kaczor Dyktator osobiście rozmawia z kandydatami na kandydata i osobiście się sprawą wyboru interesuje. Czy są w Polsce jakieś sprawy, którymi nie interesuje się on osobiście? Natomiast tak serio, to prawdą jest, że w zlecanych właśnie przez PiS sondażach bada się już tylko Jakiego i Dworczyka.

Apropos boju o Warszawę. Zostaliśmy doradcami PO. Tak jakoś wyszło. A było tak: gadamy sobie pewnego razu z pewnym ważnym platformersem o Rafciu Trzaskowskim i dziwimy się, że nic nie robi w sprawie niejakiego Dzięby i jego oskarżeń: że Rafcio brał kasę od lobbysty na kampanię, że brał różne dziwne substancje i że brał niejaką Klau-dię w Brukseli. No bo jak Rafcio niewinny, to powinien od razu pomaszerować do sądu, a nie rżnąć głupa. Tego samego dnia, tylko trochę później: tadaaam! Cud! Rafcio poszedł do sądu pozwać Dziębę. Opowiadamy tę historię nie żeby się chwalić, lecz żeby raz jeszcze podkreślić legendarną sprawność PR-owską PeŁo.

Dalej o Warszawie. „My jesteśmy teraz jak armia Jagiełły pod Grunwaldem” – usłyszeliśmy od pewnego ministra z PiS. „Krzyżacy stoją już na polu bitwy i się męczą w słońcu, a my spokojnie czekamy w cieniu”. Skomentował w ten sposób fakt, że PO już promuje Rafcia Trzaskowskiego, a PiS jeszcze nie zdradził, kogo wystawi. Podobna nam się to porównanie. Po pierwsze, partia Róży Gräfin von Thun und Hohenstein faktycznie pasuje do roli Krzyżaków. Po drugie, armia Jagiełły podczas swego sprytnego manewru, podobnie jak dziś PiS, znajdowała się w lesie.

Tymczasem w Poznaniu. Po długim okresie posuchy wśród kukistów pojawiła się koncepcja, żeby do boju o fotel prezydenta Poznania wystawić własnego kandydata i żeby nazywał się on Piotr Barełkowski. Ów biznesmen znany jest jako jeden z założycieli telewizji Republika, a ostatnio z programów w internetowej telewizji tygodnika rybackiego. Biorąc pod uwagę, jaką miłością darzy się Kukiza i kukistów u naszych braci rybaków, może być gorąco.



Szefowa Nowoczesnej Kropki cytuje arcybiskupa. Na szczęście nie Marka Jędraszewskiego, tylko Ignacego Krasickiego

Zkolei poznańscy działacze PeŁo chodzą po mieście i straszą. Opowiadają o strasznym sondażu, który miał ponoć zrobić PiS i z którego wynika, że na Jacka Jaśkowiaka chce głosować 40 proc. poznaniaków. A na kandydata PiS, wydawcę Tadeusza Zyska – 30 proc. Nie tak miało być, zwłaszcza że kampania jeszcze nawet nie ruszyła. Jest tylko jeden problem: nikt z lokalnego PiS tego sondażu nie widział.

Dzieje się. Kaśka Lubnauer, szefowa Nowoczesnej Kropki, cytuje arcybiskupa. Na szczęście nie Marka Jędraszewskiego, tylko Ignacego Krasickiego. „Święci próżniacy”, termin zaczerpnięty z „Monachomachii”, oddaje jej zdaniem charakter i pracowitość

obecnych członków rządu. Z tej okazji i my sięgnęliśmy do tego szacownego utworu. „Niechaj występek jęczy i boleje! / Winien odwołać, kto zmyśla zuchwale”.

Niestety, media nie poznały się na nerudycji Kaśki, więc musiała spróbować ostrzej i oświadczyła w następnym wywiadzie, że premier Mateusz to taki nowy towarzysz Moczar. I na taką okazję znajdziemy coś w „Monachomachii” dla polityków Eine Totalopposition, szczególnie funkcyjnych: „Z góry zły przykład idzie w każdej stronie, / z góry naszego nieszczęścia przyczyna”.

Amoże to wszystko jest straszliwym nieporozumieniem? Mało kto wie, że Kaśka Lubnauer co rano korzysta z aplikacji, która zamienia jej monologi na zapiski w tablecie. Streszcza sobie w ten sposób poranną prasówkę i szykuje zapiski z co celniejszych bon motami do wywiadów. Może więc po prostu zachwycona działaniami rządu mruknęła pod nosem: „Morawiecki to Mozart”, a aplikacja źle to zapisała i wyszło, że Moczar. ©©

Po przyjęciu przez Sejm i podpisaniu przez prezydenta ustaw reformujących polskie sądownictwo wydawało się, że wojna, którą w tej sprawie wypowiedziała władza część sędziów, będzie wygasać. Jednak po wyborze nowej Krajowej Rady Sądownictwa sędziowie przystąpili właśnie do kolejnej ofensywy. Ich broń to zastraszanie, naciski, pikiety, dymisje oraz międzynarodowe akcje.

Efekty tego konfliktu zdają się potwierdzać, dlaczego – jak wynika z marcowego sondażu CBOS – regularnie spada zaufanie do polskich sądów i dziś nie ufa im już blisko połowa Polaków.

– Przykro jest oglądać ten teatr z udziałem polityków i niektórych sędziów. Trudno połapać się nawet, kto jest kim – mówi „Do Rzeczy” prawnik Marcin Wątrobiński. – Wszyscy emocjonują się kadrami, kto odwołany, kto powołany, wszyscy dostrzegają w tym łamanie konstytucji, tymczasem od 1997 r. łamana jest codziennie konstytucja w zakresie zwykłych praw i wolności zwykłych ludzi. I jakoś politycy czy sędziowie nie protestują – zauważa. I przypomina o głośnych aferach, które miały miejsce przed reformą wymiaru sprawiedliwości, m.in. o ponadtrzyletnim areszcie Macieja Dobrowolskiego zasądzonym na podstawie zeznań jednej osoby, niezbyt wiarygodnego handlarza narkotyków, aferze repywatyzacyjnej, aresztach wydobywczych wobec przedsiębiorców czy skandalach z udziałem sędziów. – Nie słyszałem wtedy protestów sędziów i polityków. Czas więc wołać o opamiętanie – mówi Wątrobiński.

W STRONĘ GROTESKI

Zamiast opamiętania są jednak coraz większa awantura i kolejne próby wykorzystywania sądów w grze politycznej. W ubiegłym tygodniu irlandzka sędzia Aileen Donnelly, badająca sprawę polskiego obywatela Artura C., poszukiwanego przez polskich śledczych za udział w przemyśle narkotyków i aresztowanego w maju 2017 r. w Irlandii, odmówiła wydania zgody na jego ekstradycję do Polski po tym, jak jego obrońcy wskazali na rzekome zagrożenie brakiem praworządności w naszym kraju związanym z reformą sądownictwa. Donnelly skierowała pytanie prejudycjalne do Trybunału Sprawiedliwości UE o to, czy w Polsce Artur C. może liczyć na sprawiedliwy proces. Prawdopodobnie sędzia

Kasta kontratakuję



Wojciech Wybranowski

Część środowiska sędziowskiego bliska opozycji zaostrza konflikt z rządem. Chce zablokować zmiany, które w sądownictwie wprowadziły ustawy PiS

Donnelly, irlandzka gwiazda lewicowych środowisk, która ze swojej orientacji homoseksualnej uczyniła element PR, nie zna szczegółowych przepisów ustaw dotyczących polskiego wymiaru sprawiedliwości. Nie przeszkodziło jej to jednak w medialnym nagłośnieniu całej sprawy i stwierdzeniu, że „skala zmian w polskim prawie była tak istotna, iż praworządność w Polsce uległa systemowemu uszkodzeniu”. Jako dowód wskazywała przy tym na zagwarantowaną ustawowo w Polsce możliwość wcześniejszego niż mężczyzna przejścia na emeryturę

kobiety sędziego oraz niedawno wprowadzone zmiany w Krajowej Radzie Sądownictwa. – Sąd w Irlandii zmartwiony jest faktem, że sędziów do KRS powołał w Polsce Sejm w sytuacji, gdy w Irlandii sędziów SN powołuje prezydent na wiążący wniosek rządu – wytykał wiceminister Sebastian Kaleta.

Tymczasem to funkcjonowanie poprzedniej Krajowej Rady Sądownictwa budziło wiele zastrzeżeń i wątpliwości. Tygodnik „Do Rzeczy” ujawnił w kwietniu, że wiceprezes KRS, sędzia płk Piotr Raczkowski, były działacz PZPR, miał problemy





FOT. FOTOLIA

stawiciele Sędziów okręgu Sądu Okręgowego w Warszawie.

KAMPANIA SĘDZI GERSDORF

– Trzymam kciuki za pierwszą prezes Sądu Najwyższego, by nie uległa presji i nie zwołała organu, w którego składzie 15 osób zostało wybranych niezgodnie z konstytucją – wzywał w ubiegłym tygodniu poseł PO Borys Budka, były minister sprawiedliwości. A bliskie relacje i zależności między politykami opozycji oraz częścią środowiska sędziowskiego wskazują, że batalia, jaka toczy się właśnie w wymiarze sprawiedliwości, niewiele ma wspólnego z sędziowską niezależnością, konstytucją i dobrem polskiego sądownictwa, a zdecydowanie więcej z brutalną walką polityczną między opozycją a rządzącym PiS.

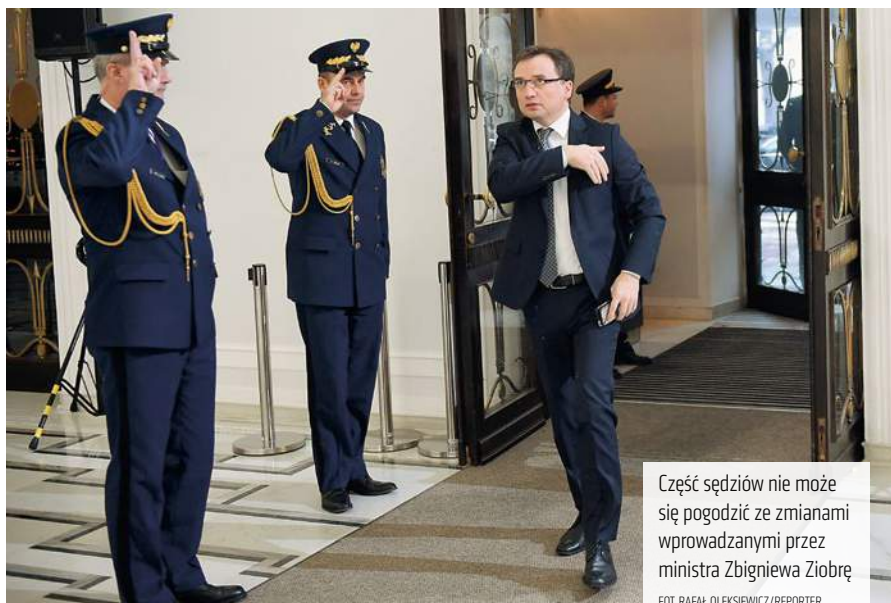
Na początku marca Sejm wybrał 15 nowych członków Krajowej Rady Sądownictwa, na co pozwoliła znówelizowana ustawa o KRS. Głosowanie, w którym udział wzięli parlamentarzyści PiS i Kukiz'15, opozycja zbojkotowała. Jej przedstawiciele ogłosili, że nową radę wybrano niezgodnie z konstytucją, w związku z czym jej funkcjonowanie będzie niezgodne z prawem. Podobnego zdania jest część środowiska sędziowskiego, która kwestionuje to, że kandydatów do KRS wybrał parlament, a nie sami sędziowie. Profesorowie Adam Strzembosz i Andrzej Zoll wydali oświadczenie, w którym stwierdzili m.in.: „Powoływanie do KRS sędziów przez sędziów było oczywistością, gdyż jedynie przewaga reprezentacji sędziowskiej w KRS zabezpiecza niezależność sądownictwa od władz ustawodawczej i wykonawczej”.

Mimo wybrania nowej Krajowej Rady Sądownictwa nie zaczęła ona jeszcze prac. Z kierowania pracami rady zrezygnowała bowiem prof. Małgorzata Gersdorf, pierwsza prezes Sądu Najwyższego, a zgodnie z przepisami to właśnie prezes SN jest jedyną osobą, która może zwołać pierwsze posiedzenie KRS. W praktyce oznacza to blokadę prac Krajowej Rady Sądownictwa przynajmniej przez miesiąc.

– Pani prezes Gersdorf powinna zastanowić się do obowiązującej ustawy, ma obowiązek prawny zwołać KRS, ale ma też obowiązek wynikający ze zwyczaju i z kultury prawnej. Od osób na najwyższych stanowiskach w państwie, zwłaszcza od sędziów, oczekiwałbym wypełniania swoich ustawowych obowiązków

z prawem, a prokuratura w czasach, kiedy resortem sprawiedliwości kierował prof. Zbigniew Cwiągalski, chciała stawiać mu zarzuty karne. Chodziło o wykorzystanie przez Raczkowskiego jako prezesa Wojskowego Sądu Garnizonowego w Warszawie samochodów służbowych do celów prywatnych. Cwiągalski i ówczesny szef MON Bogdan Klich pisali wówczas do KRS, że piastowanie przez niego tego stanowiska „nie da się pogodzić z dobrem wymiaru sprawiedliwości”, jednak Krajowa Rada Sądownictwa nie zgodziła się na uchylenie immunitetu Raczkowskiemu.

Pisaliśmy też o kulisach bulwersujących nominacji sędziowskich, wskazując m.in. na to, co się stało w 2015 r. w Sądzie Rejonowym Warszawa-Mokotów, kiedy to KRS zdecydowała się na jedno wakuujące w nim stanowisko sędziego spośród 94 kandydatów – adwokatów, notariuszy, asystentów sędziowskich – wybrać Joannę Raczkowską, żonę wiceprezesa KRS. Koledzy Raczkowskiego z Krajowej Rady Sądownictwa zadecydowali tak, mimo że przeciw kandydaturze żony wiceprezesa KRS opowiedziało się Zgromadzenie Przed-



Część sędziów nie może się pogodzić ze zmianami wprowadzanymi przez ministra Zbigniewa Ziobrę

FOT. RAFAŁ OLEKSIWICZ/REPORTER

Di unikania angażowania się w politykę – mówi w rozmowie z „Do Rzeczy” dr Adam Tomczyński, były sędzia.

Dlaczego sędzia Gersdorf nie zwołuje posiedzeń rady? Oficjalnie nie wiadomo. Pytana w poniedziałek przez PAP prof. Gersdorf powiedziała tylko, że „posiedzenie KRS zwoła »zgodnie z przepisami«, a informacja o terminie posiedzenia rady pojawi się w „stosownym czasie”.

Nieoficjalnie jednak mówi się, że prezes SN zamierza zwlekać z tym tak długo, jak to będzie możliwe, i że jest to jej forma protestu przeciwko działaniom rządu. Uważa bowiem nowelizację ustawy o KRS za niezgodną z konstytucją, a także ma wielki żal do PiS za nowelizację ustawy o SN, zgodnie z którą w kwietniu, po ukończeniu 65. roku życia, będzie musiała przejść w stan spoczynku.

W ubiegłym roku sędzia Gersdorf uczestniczyła w zorganizowanej przez opozycję manifestacji przeciwko reformie wymiaru sprawiedliwości. Kiedy kilka miesięcy później uczestniczenie w „Łańcuchu Światła” wytknęła jej Zofia Romaszewska, zaprzeczała. – Sędziowie Sądu Najwyższego nie chodzili z żadnymi świeczkami i ja też. Nigdy nie byłam politykiem. Bronię niezależności sądów i sądownictwa – mówiła. A kiedy internauci ujawnili zdjęcia, na których widać ją na manifestacji opozycji trzymającą w ręku świeczkę, tłumaczyła: – Było ciemno, to ją wzięłam.

– Wszystkie wypowiedzi kwestionujące obowiązujący porządek prawny, podważające pozycje KRS czy TK nie

służą polskiemu państwu i świadczą o upolitycznieniu oraz przypisywaniu sobie roli nieprzewidzianej w ustawie, tzn. interpretatorów konstytucji – mówi dr Tomczyński. – Ani prezes Gersdorf, ani nikt inny nie może samodzielnie decydować, czy jakaś ustawa jest zgodna z konstytucją. Jest to wyłączne uprawnienie TK, ewentualnie sądów, ale tylko w ramach orzekania, a nie poszczególnych sędziów w ramach dyskusji politycznej – podkreśla.

PiS znalazł już sposób, by opór sędzi Gersdorf po prostu obejść. Do Sejmu wpłynął już projekt nowelizacji właśnie znowelizowanej ustawy o KRS, zgodnie z którym to nie prezes SN zwołuje pierwsze posiedzenie KRS, ale prezes Trybunału Konstytucyjnego. Co ciekawe – ustawa ma wejść w życie już dzień po jej uchwaleniu, a do wyboru przewodniczącego KRS jej obradom ma przewodniczyć osoba wskazana przez prezes TK.

NACISKI I POGRÓŻKI

Polityczna walka wokół polskich sądów i w polskich sądach przybiera coraz bardziej niepokojące formy. Jeszcze przed wyborem nowej Krajowej Rady Sądownictwa na sędziów, którzy zgodzili się ubiegać o nominację do niej, wywierano bezprecedensowe naciski. Kandydujący do KRS otrzymywali e-maile i telefony z pogrózkami. Straszono ich „rozliczeniami, które w przyszłości nastąpią”. Na początku marca zarząd Stowarzyszenia Sędziów Polskich „Iustitia”, największej organizacji skupiającej

sędziów, przyjął uchwałę wzywającą do wykluczenia z organizacji tych osób, które zgłosiły swoje kandydatury do KRS. Wcześniej z Iustitii wyrzucono sędziego Łukasza Piebiaka – za współpracę z ministrem Zbigniewem Ziobrą przy reformie wymiaru sprawiedliwości (rozmowa z wiceministrem na str. 20). Powiązana z opozycją organizacja Akcja Demokracja przygotowała też billboardy, które imiennie atakując sędziów, wzywały do ich rezygnacji z kandydowania do KRS.

Kilka dni temu do dymisji ze stanowiska prezesa Sądu Okręgowego w Łodzi został zmuszony powołany niedawno na nie Dariusz Limiera. Wcześniej część zbuntowanych łódzkich sędziów przyjęła uchwałę, w której napisała, że nie zgadza się na powołanie Limiera w miejsce odwołanego wcześniej Krzysztofa Kacprzaka. Sędzia Limiera w oświadczeniu uzasadnił swoją rezygnację tym, że chciałby zapobiec „dalszym podziałom środowiskowym”.

– Jest bardzo poważny konflikt w środowisku sędziowskim. Na różnych aspektach, politycznych, ale też pokoleniowych, młodzi sędziowie kontra starsze zasiedziały pokolenie, rejonowi kontra okręgowi. W to wszystko weszła teraz sytuacja ze zmianami w sądach i podgrzała nastroje – mówi nam jeden ze znanych poznańskich sędziów. – Zachowania niektórych sędziów wobec ich kolegów nie licują z powagą wykonywanego zawodu – zauważa. W Poznaniu również grono skupionych w stowarzyszeniu Iustitia domagało się usunięcia z niego kolegi, który kandydował do KRS.

Buntuje się też część sędziów w Warszawie i Krakowie. W stolicy grupa sędziów przyjęła uchwałę negatywnie oceniającą zmiany prezesów dwóch sądów rejonowych. W Krakowie sędziowie sądu okręgowego w ramach protestu przeciw powołanej przez Ziobrę prezes sądu Dagmarze Pawełczyk-Woickiej zablokowali jej kandydatów do kolegium sądu.

Resort sprawiedliwości też nie przestaje walczyć. Od maja ubiegłego roku Ziobro odwołał prezesów i wiceprezesów wielu sądów rejonowych oraz okręgowych, m.in. w Szczecinie, Kielcach, Poznaniu, Myślenicach, Lublinie, Warszawie, Krakowie, Dąbrowie Górniczej, Jeleniej Górze, Radomiu, Radomsku, Słupsku, Wałbrzychu i we Wrocławiu, a także 49 dyrektorów i dwóch wicedyrektorów.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

W mojej opinii tam, gdzie fundamentalne wartości, takie jak niezawisłość wymiaru sprawiedliwości oraz przestrzeganie konstytucji, nie są szanowane, takie systemowe naruszenia rządów prawa są z natury rzeczy fundamentalnymi problemami systemu sprawiedliwości w Polsce – ogłosiła w zeszłym tygodniu irlandzka sędzia Aileen Donnelly, blokując tym samym ekstradycję Artura C.

Polak ścigany jest przez naszą prokuraturę pod zarzutem m.in. handlu narkotykami. Mieszka na Zielonej Wyspie od 10 lat, został zatrzymany przez irlandzką policję w maju zeszłego roku.

Sędzia Wysokiego Trybunału w Dublinie przesłała tym samym jego sprawę do Trybunału Sprawiedliwości UE, by ten orzekł, czy po wydaniu Polsce Artur C. może liczyć na sprawiedliwy proces.

Donnelly przychyliła się do opinii prawników Polaka, którzy przekonali, że polski wymiar sprawiedliwości znalazł się w sytuacji „bez precedensu”.

Sędzia, w 54-stronicowej decyzji, wskazywała m.in., że „wygląda to na celowe, przemyslane i prowokacyjne rozmontowywanie przez Polskę pod względem prawnym niezależnego systemu sprawiedliwości, kluczowego komponentu państwa prawa”. Oceniała również, że o ile Komisja Europejska starała się prowadzić z Polską konstruktywny dialog, o tyle polska strona miała jej zdaniem nie wykazywać właściwego zaangażowania.

Donnelly skrytykowała zmiany w polskim TK, KRS i argumentowała, że Artur C. wracałby do kraju, gdzie minister sprawiedliwości jest również prokuratorem generalnym i może wywierać wpływ na prezesów sądów.



Aileen Donnelly
z prezydentem
Irlandii Michaeliem
D. Higginsem FOT. TONY
MAXWELL/PRESIDENTIE

Irlandzka aktywistka



Piotr Włoczyk

Sędzia Aileen Donnelly, która zablokowała ekstradycję Polaka oskarżanego o handel narkotykami, wcześniej nie zgodziła się na wydanie USA podejrzanego o związki z Al-Kaidą

Bardzo poruszyły ją też kwestie emerytalne. Jej zdaniem w polskim sądownictwie będzie dochodzić do „dyskryminacji sędziów z uwagi na płeć”. Donnelly nie omieszczała również przy tej okazji wytknąć Polakom, że w Europie trzeba dbać o „prawa mniejszości”. A te prawa leżą jej na sercu od lat. Zanim na dobre rozpoczęła karierę sędziowską, w latach 1996–2002 była w zarządzie Irlandzkiej Rady

na rzecz Wolności Obywatelskich, lewicowej organizacji pozarządowej zajmującej się m.in. walką o prawa kobiet. Dzisiaj organizacja ta zabiega o legalizację aborcji w Irlandii.

Irlandzkie media, opisując reakcje polskiej prawicy na decyzję sędzi Wysokiego Trybunału, zwracały uwagę, że Polacy „wyciągają” jej homoseksualizm. Tymczasem jednym z pierwszych materiałów na temat sędzi,

jakie wyrzuca przeglądarka, jest film, w którym Donnelly zachwyca się swoim coming outem. Film, w którym sędzia zachęcała inne osoby homoseksualne do pójścia w jej ślady, był nakręcony przez znaną irlandzką organizację UCC LGBT. Donnelly nazywana jest w irlandzkich mediach pierwszą otwarcie homoseksualną sędzią Wysokiego Trybunału, a rzecznik tej instytucji, gdy tylko ogłoszona została wiadomość o orientacji seksualnej sędzi, powiedział mediom: „Sędzia Donnelly jest w bardzo szczęśliwym związku ze swoją partnerką Susan”. Nie da się nie zauważyć, że to sama zainteresowana na pierwszy plan wysuwa swoją orientację seksualną i wspiera lewicowe organizacje.

Decyzję irlandzkiej sędzi bardzo pochwalił m.in. były prezes TK Jerzy Stępień, mówiąc na portalu NaTemat.pl, że była to „fantastyczna sędziowska robota, chapeau bas”. – Z ubolewaniem przyjmujemy fakt, że sąd w Irlandii opóźnia ukaranie groźnego przestępcy z mafii narkotykowej – powiedział z kolei wiceminister sprawiedliwości Marcin Warchoń.

Co ciekawe, to nie pierwsza bardzo kontrowersyjna decyzja Donnelly. W 2015 r. odmówiła ona ekstradycji Alego Charafa Damachego, Algierczyka z irlandzkim paszportem. USA ściagały go pod zarzutem przynależności do Al-Kaidy. Groziło mu za to 45 lat więzienia. Sędzia Donnelly nie zgodziła się na ekstradycję, wytykając w 333-stronicowej decyzji m.in. złe warunki, w jakich oskarżony potencjalnie mógłby być przetrzymywany w USA. Damache wyszedł na wolność. Szybko wyjechał do Hiszpanii, gdzie został jednak ponownie aresztowany, a w zeszłym roku trafił stamtąd w końcu do USA.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



**Z wiceministrem sprawiedliwości,
sędzią Łukaszem Piebiakiem**
rozmawia Wojciech Wybranowski

Sędziowski elitaryzm przegrał

WOJCIECH WYBRANOWSKI: Wygląda na to, że mamy impas – wybrano nowych członków Krajowej Rady Sądownictwa, ale po tym, jak prof. Gersdorf zrezygnowała z funkcji przewodniczącej KRS, nie ma szans, by Rada szybko zaczęła funkcjonować.

ŁUKASZ PIEBIAK: Nie ma możliwości, by nie zafunkcjonowała. Bez Rady większość procesów kadrowych w wymiarze sprawiedliwości nie może być prowadzona, a są one niezbędne, gdyż niemalże codziennie sędziowie odchodzą w stan spoczynku i powstające braki trzeba uzupełniać, a w tym obszarze KRS ma wyłączność – nie da się powołać nowych sędziów czy awansować dotychczasowych bez decyzji Rady. Przedłużający się stan, w którym KRS nie funkcjonuje, to realne uderzenie nie w interesy ministra sprawiedliwości czy środowiska sędziowskiego, ale w obywateli. To powinno skłonić I prezesa SN do zwołania posiedzenia, i to niezwłocznie. Opinia publiczna poznała już projekt nowelizacji ustawy o KRS w tym zakresie. Jeżeli prezes sądu nie wykona swojego obowiązku do momentu wejścia w życie zmian w ustawie, to po ich wejściu posiedzenie KRS zwoła inny organ.

„Jeśli KRS spełni oczekiwania Ziobry, to będzie katastrofa i paraliż polskiego wymiaru sprawiedliwości” – mówił prof. Strzembosz. Stwierdził też, że „przyszedł czas na sprawdzenie kwalifikacji” członków KRS powołanych na podstawie „kulawego dekretu”...

Oceniam to jednoznacznie negatywnie. Można bowiem się nie zgadzać z okre-

ślonymi rozwiązaniami ustrojowymi, krytykować je od strony merytorycznej, ale uderzenie w konkretne osoby i używanie groźb wobec nich tylko dlatego, że wzięły udział w legalnym procesie wyborczym prowadzonym na podstawie ustawy i zostali w jego ramach wybrani, trudno doprawdy skomentować. Być może znowu to kwestia temperamentu politycznego, który należałoby okiełznać. Mam wrażenie, że ta wypowiedź jest reprezentatywna dla określonej części elit prawniczych, którym – mówiąc kolokwialnie – nie mieści się w głowie, że utracili wpływ na rzeczywistość. Stąd oburzenie i pogrozki, bo przecież to oni zawsze wiedzą lepiej, to oni ustalają, co jest dozwolone, zgodne z konstytucją, demokratyczne, dobre dla państwa itp., itd. Tymczasem okazuje się, że są prawnicy, sędziowie, którzy są od nich niezależni, nie boją się ich i nie boją się pracować w Radzie, by stworzyć w przyszłości, o czym jestem głęboko przekonany, inny, lepszy obraz funkcjonowania tego niebywale istotnego ciała. Zresztą porównanie doświadczenia sędziowskiego czy kwalifikacji wydaje się przemawiać właśnie na korzyść nowo wybranych członków Rady – w końcu wśród tej nowej piętnastki mamy czterech doktorów nauk prawnych. Wśród tych, którzy zakończyli swoją misję, takiego potencjału nie było, a to nowych niekiedy usiłuje się przedstawić jako niedoświadczonych sędziów bez dorobku. To, że dominują wśród nich sędziowie sądów rejonowych, to pochodna



FOT. STEFAN WASZEWSKI/REPORTER

także tego, że sędziowie z wyżyn sędziowskich nie byli kandydowaniem zainteresowani, i tego, że po prostu sędziowie tego szczebla to znakomita większość polskiego sądownictwa. Zatem ta Rada jest bardziej reprezentatywna niż poprzednia, co należy uznać za jej zaletę. Elitaryzm części środowiska sędziowskiego przegrał i można się z tego tylko cieszyć.

Spotkał się pan z przypadkami nacisków, zastraszania sędziów, którzy np. chcieli kandydować do Rady lub ubiegać się o fotele funkcyjnych w sądach i zostali zmuszeni do rezygnacji ze swoich ambicji zawodowych?

Widziałem anonimowe pogróżki, a także ordynarne wyzwiska kierowane do niektórych nowo powołanych osób, które przyjęły nominacje prezesowskie. Wszyscy mieliśmy również wątpliwą przyjemność obserwowania występów sędziów Żurka czy Markiewicza, którzy również – choć nie w tak obrzydliwej formie – grozili wszystkim, których podejrzewali o sprzyjanie reformom wymiaru sprawiedliwości i chęć uczestnictwa w nich choćby przez przyjęcie propozycji objęcia stanowiska funkcyjnego czy kandydowania do KRS. Większość sędziów wytrzymała te naciski i wytrzymuje je nadal, za co możemy im wszyscy podziękować, ale mocno odbija się to na nich i ich bliskich. Niektórzy niestety nie byli w stanie znieść tej nagonki, jak np. prezes Sądu Okręgowego w Łodzi. Inni z kolei nie zdecydowali się np. na kandydowanie do KRS, stąd stosunkowo niewielka liczba kandydatów. Obserwuję to ze smutkiem, ale tego rodzaju działania tylko wzmacniają mnie i moich współpracowników w dążeniu do głębokiej reformy wymiaru sprawiedliwości.

Ta „głęboka reforma”, a także sposób jej wprowadzenia budzą gorące sprzeciwy w środowisku sędziowskim. Wygląda na to, że zamiast naprawy wymiaru sprawiedliwości Zbigniewowi Ziobrze udało się doprowadzić do ostrego konfliktu wśród samych sędziów. W Krakowie i Warszawie przyjęli nawet uchwały przeciw „przejmowaniu sądów” przez PiS. Przeciwno odwołaniu prezesów w trakcie kadencji zaprotestowali też w uchwałach sędziowie z Łodzi, Olsztyna i Poznania.

To działanie stosunkowo niewielkiej, ale zdeterminowanej części środowiska, która chce, by było tak, jak było. Aby prezesi sądów zajmowali się spełnianiem ich ocze-

kiwań, nie wymagali rzetelnej pracy oraz etycznej postawy od wszystkich. Według tej części środowiska sądy i ich organy są po to, by spełniać ich oczekiwania, a to świadczy o fundamentalnym niezrozumieniu roli wymiaru sprawiedliwości. Fakt, że ta stosunkowo niewielka liczebnie grupa sędziów jest w stanie przekonać sporą liczbę członków zgromadzeń, czego efektem są te uchwały, wynika po części z psychologii tłumu – niestety, nawet sędziowie nie są od tego wolni. Przede wszystkim jednak istotne jest to, że zgromadzenia sędziowskie nie są reprezentatywne. Sędziowie sądów rejonowych są mocno niedoreprezentowani, a to wśród nich najwięcej jest zwolenników zmian. W ten sposób do opinii publicznej dociera zafałszowany obraz rzeczywistości, jakoby gremialnie sędziowie sprzeciwiali się reformom.

Opinia publiczna może też jednak odnieść wrażenie większego chaosu i bałaganu w sądownictwie, niż był do tej pory. Konflikty w środowisku, ustawy „sądowe” poprawiane pod naciskiem różnych środowisk politycznych. Przeciętnemu Polakowi trudno zauważyć dobrą zmianę...

Likwidujemy patologie narosłe od lat i to wywołuje naturalny w tych warunkach opór. Zwłaszcza tych, którzy byli beneficjentami systemu przechodzącego na szczęście do historii. Dość przypomnieć głosy pochodzące z samego środowiska sędziowskiego krytykujące transparentność decyzji personalnych KRS, np. uchwały zgromadzenia okręgu przemyskiego czy apelacji wrocławskiej, praktyczny brak reprezentacji sędziów sądów rejonowych w Radzie, zasiadanie w Sądzie Najwyższym sędziów o niechlubnej przeszłości, nepotyzm, niezrozumiałe często orzecznictwo dyscyplinarne, opisywane przez media historie jak ta płk. Raczkowskiego. Badania opinii publicznej wskazują, że Polacy oczekiwali głębokich zmian w wymiarze sprawiedliwości i my te zmiany wprowadzamy.

Obywatele owej „naprawy” wymiaru sprawiedliwości nie odczują. Znowelizowane ustawy sądowe nie dadzą nam ani szybszych rozpraw, ani lepiej przygotowanych sędziów. Sam system losowania sędziów do rozpraw też okazał się nieprzygotowany.

Tezy postawione w tym pytaniu uważam za nieprawdziwe. Obywatele już odczuwają pozytywne skutki reformy. A to dopiero początek. Mówimy w końcu o bardzo skomplikowanym

mechanizmie w strukturze o dużej bezwładności, więc tu nie ma cudownych i natychmiastowych rozwiązań. Proces legislacyjny musi trwać, zmiany organizacyjne również. Wstrzymajmy się z oceną jeszcze chwilę. Odnośnie do systemu losowego przydziału spraw w sądach już możemy stwierdzić, że okazał się on sukcesem. To nie znaczy, że nie ma wad. Ma, ale jest wciąż udoskonalany. Zaufanie obywatela do wymiaru sprawiedliwości to wielka wartość, a system losowy bardzo jej wzmacnia. Obywatel musi mieć pewność, że nikt nie może manipulować jego sprawą, np. przydzielając ją konkretnemu sędziemu. Ten system to gwarantuje.

Może zamiast zabierać się za personalne zmiany w sądach, należało zacząć od zmiany systemu szkoleń sędziów? Nauczyć ich szacunku dla stron postępowania w sądach – bo często im go brakuje, wythumaczyć, jak powinno wyglądać transparentne orzecznictwo...

Sędziowie są w tym zakresie szkoleni, ale to nie wystarcza. Z reguły ci, którzy mają problem z kulturą urzędowania czy innymi elementami pracy sędziowskiej, są najbardziej niechętni doskonaleniu się. Poza ofertą szkoleniową muszą być też czynniki motywujące do pracy nad sobą i swoim warsztatem. Ostateczne jest postępowanie dyscyplinarne. Powstanie Izby Dyscyplinarnej w SN i reforma postępowania dyscyplinarnego mają szansę pomóc, ponieważ nie można tolerować braku kultury i szacunku dla podsądnego. Taki sędzia musi zmienić swoje postępowanie albo zawód. Najczęściej problemy z kulturą czy jakością orzecznictwa mają starsi sędziowie, co zapewne w jakiejś części jest pokłosiem szkolenia i nabierania pierwszych doświadczeń w PRL. Oni są zastępowani przez młodszych, którzy tego bagażu za sobą nie mają.

Co dalej będzie się działo w reformowaniu wymiaru sprawiedliwości?

Z pewnością trzeba będzie jeszcze znowelizować ustawę o ustroju sądów powszechnych i ustawę o Krajowej Szkole Sądownictwa i Prokuratury, choćby w zakresie tak oczekiwanej skróconej aplikacji dla referendarzy i asystentów sędziów. Przed nami również niezmiernie ważne reformy procedur sądowych, Kodeksu karnego i Kodeksu karnego skarbowego oraz innych ustaw.

Najświeższym tematem dyskusji są oczywiście dymisje wiceministrów zarządzane przez Mateusza Morawieckiego. Swoje funkcje utraciło właśnie dwunastu wiceszefów resortów, do których doliczyć można pięć dodatkowych dymisji, o których premier zdecydował wcześniej.

Pierwszym zarzutem stawianym tej czystce jest jej nagły tryb i wrażenie zbyt gwałtownej próby przykrycia źle odebranego w mediach przyznania premii członkom rządu. „Sprawa wyskoczyła nagle i pokazała ten rys Morawieckiego, który najbardziej irytuje »stary PiS« – autorytarny styl zarządzania menedżerskiego, w którym podejmuje się decyzje jak w korporacji – szybko, bez dyskusji i bez żadnych tłumaczeń” – mówi jeden z polityków zbliżonych do Nowogrodzkiej.

Obrońcy szefa rządu odpowiadają, że dobrze się stało, że premier zaprezentował nowy styl. Zupełnie inny od praktyki Beaty Szydło, gdy miesiącami bez efektu debatowano o rekonstrukcji gabinetu. „Korpus wiceministrów za czasów poprzedniczki Morawieckiego został zanadto rozdęty. Wielu wiceministrów było pamiątką po jej epoce. Czy Rafał Bochenek, który nie jest już rzecznikiem rządu, miał mieć stanowisko sekretarza stanu na wieki? Rząd musi być sprawny, a cięcia stanowisk kojarzące się z obcinaniem kosztów są dobrze widziane przez opinię publiczną” – wyjaśnia jeden z urzędników Morawieckiego.

Idea była racjonalna, ale jej wykonanie wypadło już gorzej. Oto po ledwie dwóch miesiącach odwołany zostaje Piotr Woźny, podsekretarz stanu w Ministerstwie Przedsiębiorczości i Technologii. Tę nominację wykreował przecież sam Morawiecki, demonstrując, że jest wrażliwy na nośny dla elit miejskich temat smogu. Tym bardziej że od razu ogłoszono, że Woźny ma zostać pełnomocnikiem do spraw walki ze smogiem.

Jeszcze bardziej zaskakujące były dwie dymisje w Ministerstwie Cyfryzacji. Morawiecki utrzymał istnienie tego resortu, ale od dwóch miesięcy nie znalazł odpowiedniego kandydata na następcę Anny Streżyńskiej. Jakby tego było mało, że fotel ministra jest wciąż pusty, to właśnie zwolniono dwóch wiceszefów tego resortu – Krzysztofa Szyburtę odpowiedzialnego za kontakty międzynarodowe i Krzysztofa Silickiego zajmującego się problemami cyberbezpieczeństwa. Jeden z ekspertów z tej branży nie kryje

Cierpka studniówka



Piotr Semka

PiS przestał narzucać polityczną narrację i skupił się na gaszeniu pożarów. Mateusz Morawiecki nie ma zbyt wielu powodów do radości z okazji studniówki swego premierostwa. Wielu polityków obozu PiS w wewnętrznych rozmowach coraz częściej pyta: Z czyjej winy aż tyle rzeczy idzie nie tak?

poczucia dezorientacji: „To wygląda na chęć likwidacji tego resortu. A przecież cyfryzacja była mocną stroną Polski. W tej dziedzinie byliśmy w europejskiej czołówce wraz z Estonią, Łotwą i krajami skandynawskimi, wyprzedzając stare kraje Unii, jak np. RFN. Niemcy mają gospodarkę, która dobrze działa bez rewolucji cyfrowej, więc im do zmian się nie spieszy. Dla nas czy Estończyków wprowadzanie nowych standardów w cyfryzacji to szansa na ekonomiczny skok do przodu. Cyfryzacja powinna być czołowym resortem, a nie kopciuszkiem na dworze »Króla Mateusza«”.

Źłe wrażenie wywołało też technokratyczne uzasadnienie dymisji. Minister Michał Dworczyk w TVN24 tak przedstawił logikę dymisji: „Na decyzję o zmia-

nach liczby wiceministrów miał wpływ m.in. pewien algorytm, pewien model. Wyliczając liczbę osób, która powinna być w kierownictwie każdego ministerstwa, model brał pod uwagę wysokość budżetu, liczbę zatrudnionych w resorcie i liczbę zadań”. Ten słynny „algorytm Morawieckiego” kwaśno komentowany jest wśród polityków PiS jako symbol jego technokratycznego podejścia do pracy rządu.

Dla zwalnianych wiceministrów opowieści o cięciu stanowisk na podstawie zimnego algorytmu budzą rozgoryczenie. Przyjmując propozycje wejścia do ministerstw, dostawali konkretne projekty, wymagające myślenia w kategorii paru lat. Wchodząc do rządu, często zawieszali na kołku własne kariery biznesowe, nie



Zaniepokojenie zbytними cięciami kadr wyraził nawet Jarosław Gowin, uważany za sojusznika Morawieckiego. „Mam pięć osób w gabinecie politycznym i będę walczył o gabinet polityczny jak lew. [...] Likwidacja gabinetów politycznych to ograniczenie skuteczności państwa” – mówił Gowin w „Sygnałach dnia”.

Na siłę kontrowersji wokół obcinania kadr rządu wpłynęły też różnice w rozdziale dymisji. Z cięć wyłączone zostały „premierowskie” resorty finansów i rozwoju. Krytycy Morawieckiego wskazują, że w Ministerstwie Finansów jest aż ośmiu wiceministrów, ale żaden nie „poszedł pod nóż”. Z redukcji zostały też wyłączone MON, MSWiA oraz Ministerstwo Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej, które są pod „ochroną” Jarosława Kaczyńskiego.

Z kolei resort sprawiedliwości kierowany przez Zbigniewa Ziobrę – postrzegany krytycznie przez otoczenie Morawieckiego jako rozsądnik kłopotów, m.in. od sporów o ustawy sądowe po nowelizację Ustawy o IPN – miał stracić aż trzech z pięciu wiceministrów, ale ludzi Ziobry wybronić miał ponoć prezes PiS, więc skończyło się tylko na jednej dymisji – Michała Wosia.

Polityków PiS niepokoi też wycinanie wiceszefów resortów kojarzonych z reformami z epoki Beaty Szydło, takich jak wiceministrowie zdrowia – Marek Tombariewicz czy Piotr Gryza. Za symboliczne obniżenie pozycji Beaty Szydło w nowym gabinecie uznaje się usunięcie byłego rzecznika rządu Rafała Bochenka i utożsamianego z Szydło Jarosława Pinkasa, sekretarza stanu w kancelarii premiera.

Jeden z posłów PiS mówi: „Gdy powstał rząd Morawieckiego, powtarzałem, że stosunek do byłej pani premier będzie testem na zdolność Morawieckiego do dbania o »ludzką twarz« gabinetu. Wycinanie ludzi Szydło nie polepszy ich relacji”.

W TRÓJKĄCIE WŁADZY

„Jestem pewien, że premier nie miał intencji urażenia kogokolwiek. Dlatego jego wypowiedź oceniam jako niezręczną. [...] Bardzo trzeba ważyć słowa i oceny, także my się tego domagamy jako Polacy” – tych słów z wywiadu prezydenta Andrzeja Dudy dla „Dziennika Gazety Prawnej” trudno nie odebrać jako subtelnej krytyki wypowiedzi Mateusza Morawieckiego z Monachium. W kolejnych akapitach wywiadu prezydent mówił: „Jestem politykiem i mówię: źle się stało, że ta ustawa [o IPN – przyp. aut.] zosta-

wspominając już o decyzji wiązania się z ekipą znajdującą się pod ostrym ostrzałem politycznym. Teraz dowiadują się, że o ich losie zadecydował algorytm premiera. Na dodatek atmosfera niepewności trwa. Mateusz Morawiecki zapowiedział przed ostatnimi dymisjami, że liczbę 126 wiceministrów, którą zastał po objęciu premierostwa, chce ściąć o 20–25 proc., czyli o ok. 30 wiceszefów resortów. A jak dotąd zdymisjonowano tylko 17. Kiedy posypią się kolejne głowy?

Krytykowany jest też brak systemowego załatwienia kwestii uposażeń ministrów poprzez podwyżki płac. „Owszem, można ciąć wszystkie premie i nagrody, ale w zamian potrzebna jest jakaś wizja polepszenia oferty finansowej dla członków rządu. Inaczej najlepsi nie zechcą

opuszczać swoich posad biznesowych” – tłumaczy jeden z polityków rządu.

KRUCHA RÓWNOWAGA

Jeszcze inne kontrowersje wywołały zapowiedzi Morawieckiego, że wiceministrami winni być docelowo urzędnicy służby cywilnej, którzy nie mogą być członkami partii. „Brać tylko wiceministrów apolitycznych? To typowe myślenie kogoś z korporacji – denerwuje się jedna z posłanek PiS. A kto będzie w Sejmie bronił projektów rządowych na komisjach? Tylko pełnokrwisty polityk, szczególnie przy agresji obecnej totalnej opozycji, jest w stanie wziąć ataki na siebie. Rząd bez wiceministrów polityków to pomysł technokraty oderwanego od politycznych realiów”.

■ ła przyjęta w tym właśnie momencie i w takiej formie. [...] Chcąc prowadzić sprawy kraju w sposób profesjonalny, trzeba te czynniki uwzględnić”.

Do kogo skierowane były te słowa? Do premiera Morawieckiego, do Zbigniewa Ziobro czy do Jarosława Kaczyńskiego? To zależy od tego, kto w opinii Andrzeja Dudy zdecydował o krótkiej ścieżce nagłego przeprowadzenia przez Sejm w styczniu nowelizacji Ustawy o IPN.

Jednak już przytyk do wypowiedzi z Monachium zaskakuje. Prezydent dotąd był neutralny wobec Morawieckiego, którego podwładny – nowy szef MON – załagodził wszystkie zatargi na linii BBN – resort obrony z epoki Antoniego Macierewicza.

Podobny zgrzyt zabrzmiał 8 marca w przemówieniu głowy państwa na dziedzińcu UW: „Za ludzi pomordowanych przez komunistów obecna Polska, moje pokolenie, nie ponosi odpowiedzialności i nie musi za to przeproszać. Wypędzonym i tym, którzy wówczas zginęli, chcę powiedzieć – wybaczenie ówczesnej Polsce”.

Jeden z posłów PiS wskazuje: „Morawieckiego dzieli od Andrzeja Dudy tylko cztery lata, ale okazuje się, że to duża różnica. Premier zdążył jeszcze aktywnie walczyć z komuną, podczas gdy Duda był jedynie harcerzem w końcu lat 80. Dla Morawieckiego PRL to nie była Polska, a prezydent nie omieszkiał zaznaczyć, że jego pokolenie nic z PRL nie miało wspólnego. To wyraźne odcięcie się od tez premiera, że za komuny nie było Polski. Subtelna różnica, ale różnica”.

Zawsze jak coś pójdzie źle, rozpoczyna się spór o to, kto zawinił. Coś podobnego dzieje się teraz w obozie PiS. Gdy Andrzej Duda wypomina Morawieckiemu kiks w Monachium – otoczenie premiera w roli twórców zamieszania obsadza Zbigniewa Ziobrę i jego zastępcę, Patryka Jakiego. W opinii ludzi premiera to oni wpuścili prezesa PiS i rząd na minę, chcąc „przykryć” aferę z wafelkowymi nazistami. Ziobryści odbijają piłeczkę i wskazują, że projekt nowelizacji Ustawy o IPN wyjął z sejmowej zamrażarki sam marszałek Marek Kuchciński, a ważną notatkę o spotkaniu z 14 stycznia w MSZ z dyplomatą z USA Thomasem K. Yazdgerdim, ostrzegającym przed efektami nowelizacji – ministerstwo Ziobry dostało dopiero 30 stycznia, czyli po wybuchu awantury z Izraelem.

Tak czy inaczej Morawiecki patrzy na „ziobrystów” kuso. Ci z kolei wskazują, że po wypchnięciu z rządu Antoniego Ma-

cierewicza im jako jedynym obok Mariusza Kamińskiego zależy na dokonywaniu realnych zmian, które powinny być istotą wypełniania mandatu wyborów PiS.

„Technokraci od premiera patrzą na naszą reformę sądownictwa czy rozmaite nasze śledztwa jako problem dla biznesu i czynnik pogarszający naszą pozycję na Zachodzie” – skarży się jeden z „ziobrystów”. „Ktoś, kto chce zajmować się tylko biznesem, zawsze patrzy na walkę o silne państwo jak na kłopot, bo walka z ukrytymi patologiami zawsze wywołuje konflikty”. „Ziobryści”, czując się po cichu atakowani przez otoczenie Morawieckiego, szukają wsparcia u Jarosława Kaczyńskiego i ludzi prezesa w rządzie, takich jak Mariusz Błaszczak czy Marek Suski.

Wrażenie szybkiego zużywania się rządu Mateusza Morawieckiego niepokoi wielu polityków PiS. Są wśród nich zwolennicy epoki Beaty Szydło

Można więc zaryzykować tezę, że wewnątrz rząd dzieli się na dwa szczepy – team Morawieckiego w sojuszu z ludźmi Gowina oraz „ziobrystów” i „zakon prezesa”, nad którymi w ramach równowagi sił trzyma ochronny parasol naczelnik z Nowogrodzkiej.

Swoistą próbą sił między obozem premiera a „ziobrystami” będzie wybór, kto zawałczy w imieniu tej partii o stanowisko prezydenta Warszawy. Po wycofaniu się marszałka senatu Stanisława Karczewskiego na placu boju zostali Michał Dworczyk i Patryk Jaki. Jeden jest politykiem stojącym blisko premiera, drugi zastępcą Zbigniewa Ziobry. Bardzo symboliczna rywalizacja. Decyzję podejmie prezes Kaczyński.

JAK WYJŚĆ NA PROSTĄ?

Nie wiadomo, jak liczyć „studniówkę” premiera Mateusza Morawieckiego. Jeśli przyjąć za start dzień 11 grudnia, gdy został powołany wraz ze starym rządem – to już sto dni minęło. Jeśli liczyć od 17 stycznia, kiedy przemodelował swój gabinet – to do stu dni czekać wypada jeszcze miesiąc. Jednak faktem jest, że wrażenie szybkiego zużywania się jego rządu niepokoi wielu polityków PiS. Są wśród nich nostalgiczni zwolennicy epoki Beaty Szydło, ale są też

i tacy, którzy premierostwo Morawieckiego przyjęli z dużymi nadziejami.

Nie jest winą nowego szefa rządu, że dwa tygodnie po rekonstrukcji gabinetu na głowę spadł mu niełatwy kryzys polsko-izraelsko-amerykański. Polityka rządzi się okrutnymi prawami – gdy wszystko idzie jak z płatka, wszyscy szefa rządu chwala. Gdy dzieje się źle – nawet bez winy premiera – kłopoty skupiają się na jego głowie.

Na pewno na Morawieckim mści się brak zespołu medialnego, który potrafiłby poruszać się w świecie odniesień do historii. Owszem, wokół szefa rządu jest wielu PR-owców, ale powstaje wrażenie, jakby myśleli oni wciąż kategoriami wyniesionymi ze świata biznesu, gdzie dominują inne problemy i inne kody zachowań. Jakąś część winy ponosi sam premier, który zbyt często był pewny, że da sobie radę w każdej sytuacji. I że zna angielski na tyle, by wdawać się w skomplikowane dywagacje. W Monachium okazało się to iluzją.

Team premiera nie ma zbyt wielu ludzi umiędzących rozmawiać z dziennikarzami politycznymi. Ci narzekają, że w epoce Beaty Szydło wiedzieli, z kim z otoczenia pani premier można porozmawiać o sytuacji politycznej. W wypadku Morawieckiego takich osób jest znacznie mniej. Powrót do kancelarii premiera duetu PR-owców w „starym stylu” – Anny Plakwicz i Piotra Matczuka – odpowiadających za wizerunek Beaty Szydło, może znaczyć, że pojawiła się już jakaś refleksja na temat opłakanych skutków wcześniejszej wszechpotęgi doradców ze świata biznesu. Tyle że dwójce Plakwicz – Matczuk opozycja nie pozwoli zapomnieć akcji „sprawiedliwe sądy”. A to też nie przysłuży się najlepiej rządowi.

Zmiękczenie wizerunku premiera częściowo się udaje, ale to jeszcze długi proces. Morawiecki odbudowuje też z wolna swoją pozycję międzynarodową, mocno nadszarpniętą przez występ w Monachium. Ocieplenie relacji z Brukselą w sprawie odsunięcia wizji procedury z art. 7 i udany wyjazd do Wilna to zasługa Morawieckiego. Tak samo dość dobrze odnalazł się on w tematyce Marca 1968 r. Wbrew obawom stosunkowo dobrze zostały przyjęte w społeczeństwie niedziele bez handlu.

Jednak dla swojej partii premier pozostaje ciałem obcym. Mimo że sonduje są wciąż całkiem niezłe – wrażenie defensywy rządu jest wyraźne. A kampania samorządowa już niedługo.

STRAŻNIK PAMIĘCI 2018

*Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości,
ten nie jest godzien szacunku, teraźniejszości
ani prawa do przyszłości.*

Józef Piłsudski

VI EDYCJA

NIEZWYKŁEJ NAGRODY



PARTNER STRATEGICZNY



PATRONAT HONOROWY



niepodległa

POLSKA
SZKOLNIE ODZYWKANIA
NIEPODLEGŁOŚCI



Z Janem Szyszką, byłym ministrem środowiska
rozmawia Marcin Makowski

MARCIN MAKOWSKI: Miał pan być nieusuwalnym ministrem, za którym murem stoi o. Rydzyk, a jednak premier się nie zawahał.

PROF. JAN SZYSZKA: (Śmiech) O decyzje personalne proszę pytać premiera, to on ustala skład rządu. Nie mam wątpliwości, że wie, co robi.

zapowiedział również, że: „Europejskie wyroki w sprawie Białowieży będzie szanować”.

Zacznijmy od tego, że wszystkich po równo musi obowiązywać prawo europejskie, szczególnie w zakresie programu Natura 2000, który w Polsce i na terenie Białowieży przestrzegany jest w 100 proc. Obowiązkiem Polski jest ochrona istniejącego stanu siedlisk i gatunków, wyznaczonych w momencie włączenia do programu. W przypadku Puszczy Białowieskiej mowa o roku 2008. Gdy osiem lat później

Jestem

A może chodziło o to, aby Ministerstwo Środowiska zmieniło kurs?

Kurs ministerstwa wyznacza program Prawa i Sprawiedliwości, nic mi nie wiadomo, aby ktoś napisał go na nowo. Resort pod moim kierownictwem realizował politykę zrównoważonego rozwoju i mam nadzieję, że taką będzie realizować nadal. Chodzi o czynienie sobie ziemi poddaną, czyli o wykorzystywanie zasobów przyrodniczych do rozwoju gospodarczego, a więc dla dobra człowieka, bez szkody dla przyrody.

Mówi pan, jakby nic się nie stało, ale harwestery w puszczy zamilkły. Pana następcą, Henryk Kowalczyk,

przeprowadziliśmy inwentaryzację, okazało się, że na tym samym obszarze zamarły miliony drzew o masie 5,7 tys. m sześć. i wartości ponad 250 mln euro.

Jak mogło dojść do takiej sytuacji?

Z pogwałceniem prawa, z powodu presji różnego rodzaju organizacji, wspieranych także przez Komisję Europejską, w roku 2012 na terenie nadleśnictw gospodarczych ponad trzykrotnie zmniejszono pozyskanie drewna. Z poziomu 150 tys. m sześć. rocznie do 46 tys. rocznie w okresie 2012–2021. Spowodowało to, że względu na rozprzestrzeniające się choroby, lawinowe zamieranie starzejących się drzewostanów, w szczególności świerkowych oraz grądów. Naruszone zostało więc prawo UE w zakresie ochrony istniejącego stanu siedlisk i gatunków. My, jako ministerstwo, rozpoczęliśmy proces przywracania stanu siedlisk z 2008 r., ustalając pozyskanie drewna na terenie lasów gospodarczych do poziomu ok. 59 tys. m sześć. rocznie w latach 2017–2022. Takie pozyskanie drewna spowodowane było koniecznością usunięcia drzew chorych i martwych, zagrażających bezpieczeństwu przebywających w lasach ludzi. Napisałem w tej sprawie list otwarty do komisarza ds. środowiska, gospodarki morskiej i rybołówstwa Unii Europejskiej Karmenu Velli, tłumacząc, że dokonano przestępstwa, zmieniając sposób zagospodarowania. Zakładam, że stronnictwo Komisji mogła wynikać z niewiedzy.

FOT. RAPHAËL OLBERTS/NIC J. REPPERTER

I jest pan w pełni przekonany, że minister Kowalczyk podziela tę argumentację?

Polska jest państwem prawa, więc trudno, żebyśmy je sami łamali. Jestem przekonany, że obecny pan minister to dostrzega i musi podobne argumenty respektować.

„Ogromna radość, bardzo się cieszymy z dymisji ministra i liczymy na zmiany” – mówi Marta Tarnowska z Obozu dla Puszczy. Greenpeace z optymizmem przyjął odwołanie „najgorszego ministra środowiska w historii”. Może jednak nie będzie tak różowo?

kowanie prowadzonej zgodnie z prawem wycinki chorych drzew oraz zagrażających bezpieczeństwu odwiedzających puszcę ludzi ma być wyższą koniecznością?

Podczas swojego urzędowania wielokrotnie podkreślał pan, jak pilne i konieczne jest usuwanie drzew zainfekowanych kornikiem drukarzem. Prace jednak z dnia na dzień wstrzymano. Problem zniknął?

Nie zniknął. Myślę, że dalej będą trwały prace zmierzające do pozbycia się patogenów. Jak starałem się na początku roz-

powinien coś takiego w sobie mieć” – powiedział prezes PiS w wideo nagrany dla fundacji „Viva!”.

Panie redaktorze, przecież ja jestem tym, który przestrzega prawa, a nie tym, który śledzi, co piszą różne media. Jest demokracja i każdy ma prawo pisać oraz mówić, co chce.

Czy na tym tle dochodziło między panami do polemik? Były różnice zdań?

Muszę powiedzieć, że nigdy nie miałem konfliktu z panem premierem.

ekologiem

Nie znam tych opinii, ale wiem, że choć mało liczne, są to środowiska głośne ze względu na otrzymywane dofinansowywanie. Skąd te pieniądze mają, powinny już zbadać odpowiednie służby. Trudno jednak mówić, aby to byli ekolodzy, bo ekolodzy zajmują się użytkowaniem zasobów przyrodniczych dla dobra przyrody oraz dobra człowieka. Ja osobiście jestem ekologiem, populacjonistą i zajmuję się nie tylko teorią, lecz także praktyką w zakresie sterowania dynamiką liczebności populacji.

A jak by pan nazwał tych, którzy się przykuwają do maszyn wycinających drzewa?

To są ludzie, którzy być może mają wielkie serca, ale raz jeszcze podkreślę – nie reprezentują całego środowiska. Poza tym, jeśli bez zgody przykuwają się do sprzętu, tamując ruch na drogach i utrudniając prace leśnikom, a więc łamią prawo, to powinna ich za to spotkać kara. Nie przypominam sobie, żeby np. rolnicy spontanicznie wyszli w proteście na drogi, przykuwali się do samochodów, blokowali drogi i nie byli za to karani. Równość wobec prawa chyba obowiązuje.

Tymczasem sąd w Hajnówce uznał, że grupa aktywistów blokująca 8 czerwca 2017 r. wycinkę w puszczy nie może zostać skazana, ponieważ „działała w stanie wyższej konieczności”.

To jest jedna z interpretacji wydarzeń, ale co do szczegółów muszą wypowiedzieć się prawnicy. Widocznie sąd miał jakieś uzasadnienie, ale trudno mi je zrozumieć. Blo-

kowy wytłumaczyć, do tego zobowiązuje nas w końcu prawo unijne. Tylko trzeba je czytać w całości, a nie wrywkowo.

Zmienimy nieco temat. Czy stopniowe wycofywanie się rządu z ustawy o hodowli zwierząt futerkowych to pana zasługa? Radio Maryja od początku ostro walczyło o utracenie tego projektu.

Nie wiem, kto tak mówi, ale nie ulega najmniejszej wątpliwości, że człowiek ma nie tylko prawo, lecz także i obowiązek użytkować zasoby przyrodnicze, w tym rośliny i zwierzęta. Trzeba to robić zgodnie z etyką, a w jej przestrzeganiu w przypadku hodowli zwierząt nie widzę żadnego problemu. Jeśli natomiast ktoś standardów etycznych nie pilnuje, to powinien być dyscyplinowany.

Problem widzi jednak Jarosław Kaczyński, który osobiście zaangażował się w walkę przeciwko hodowli zwierząt na futra. Twierdzi, że podobne praktyki są nieludzkie i w cywilizowanym świecie powinny odejść do lamusa.

Proszę o to pytać osobiście pana premiera. Jestem przekonany, że w tej kwestii dochodzi do wielu przekłamań.

Nie rozumiem. Kto te przekłamania formuluje? Nie wiem, bo osobiście nie słyszałem, co mówi premier Kaczyński na ten temat.

„Jeśli chodzi o zakaz hodowli zwierząt futerkowych w Polsce, to jest to przede wszystkim kwestia stosunku do zwierząt. Kwestia serca dla zwierząt, litości dla zwierząt. Każdy porządny człowiek

To wyśmienity polityk i na pewno dobrze działa w interesie Polski. W końcu byłem ministrem środowiska również w rządzie Jarosława Kaczyńskiego.

Pan mówi: zwierzęta można hodować na futra. Prezes twierdzi, że to barbarzyństwo. I żadnego spięcia? Nie wierzę.

Raz jeszcze powtarzam – nigdy nie było jakiegokolwiek różnicy zdań pod tym względem, że zasoby przyrodnicze są stworzone przez Pana Boga dla człowieka, a on ma prawo i obowiązek je roztropnie użytkować. Jak ktoś to rozumie i co wkłada w usta polityków prasa, za to nie mogę odpowiadać. Naprawdę, o więcej proszę się pytać u źródeł, bo gdybym ja zaczął czytać to, co podobno powiedziałem, pewnie też bym się wielu ciekawych rzeczy o sobie dowiedział.

Tylko ja nie mówię o słowach, które w usta Jarosława Kaczyńskiego włożyła prasa, tylko o jego autentycznym i nagrany stanowisku.

Ja tego nie widziałem i nie słyszałem.

Rozumiem, że mi pan nie odpowie. W takim razie inne pytanie. Wiadomo, że pana następcą interesuje się rolnictwem, ale na temat jego kompetencji w zakresie ochrony środowiska zbyt wiele nie słychać. Właściwy człowiek na właściwym miejscu?

Myślę, że każdy minister Prawa i Sprawiedliwości jest dobrym ministrem i jest na właściwym miejscu.

■ Bardzo dyplomatyczna odpowiedź.

Nie dyplomatyczna, tylko prawdziwa, panie redaktorze.

Każdy jeden? Ktokolwiek by przyszedł, będzie dobrze realizował program partii?

Niech pan zauważy, że jeśli partia stawa na miejsce ministra innego człowieka, to na pewno wie, co robi.

Na pewno. Partia się nie myli.
(Cisza)

Czym się pan teraz zajmuje?

Właśnie piszę artykuł naukowy, obserwuję, co się dzieje w Sejmie. Mam mnóstwo zajęć, przygotowuję się również do następnego sezonu obserwacyjnego w Tucznie.

Czyli trochę nauki, trochę polityki z pozamini-sterialnym dystansem.

Nauka zawsze, ale z polityki się nie wycofuję. W końcu jestem posłem, członkiem Komisji Ochrony Środowiska, Zasobów Naturalnych i Leśnictwa. Swoje obowiązki będę sumiennie wypełniać. Rząd trwa, zostały zmienione konie, a ja tak samo, gdy kierowałem ministerstwem, chcę osiągnąć cele programowe PiS, założone na dwie kadencje.

Jako aktywny poseł na pewno przygląda się pan również polityce poza ochroną środowiska. Jakie myśli kłębią się w głowie, kiedy słucha pan o kolejnych odsłonach kryzysu dyplomatycznego z Izraelem i USA?

Nie widzę żadnego kryzysu, widzę zaś wymianę poglądów. Taki dialog, nawet trudny, jeśli jest racjonalny i oparty na faktach, ostatecznie prowadzi do porozumienia. My musimy twardo reprezentować interesy Polski i przytaczać fakty, a one obronią się same.

A może się nie obronią, skoro Kneset zagroził, że wprowadzenie nowelizacji ustawy o IPN w obecnym kształcie będzie oznaczało „negowanie przez Polskę Holokaustu”?

Jeżeli ktoś wytnie drzewo, to ono jest wycięte, i to jest faktem. Nie można dyskutować, czy może jest, a może nie jest. Pod tym względem fakty i prawda bronią się same, bo istnieją obiektywnie. Mogę panu powiedzieć, że w polityce wiele już przeszedłem. Jestem doświadczony, sześć razy mnie powoływano i odwoływano ze stanowisk ministerialnych. Mam swoją pozycję i dorobek rozpoznawany w Polsce oraz na świecie. Zawsze gdy szedłem do

debaty uzbrojony w argumenty i przekonany o ich prawdziwości, nie można mi było niczego zarzucić. Polska musi je na tym obszarze położyć na stół, bo one są naszą najlepszą bronią. Możemy dyskutować co do przyszłości, ale przeszłość pozostaje niezmienna. Brak odpowiedzialności państwa polskiego za zbrodnie niemieckiej III Rzeszy jest oczywisty.

Nie mam wątpliwości, że historii Polska nie musi się wstydić, ale może problem polega na nieskutecznej komunikacji naszych argumentów?

O ile nie potrafimy dobrze i obiektywnie przedstawić własnych argumentów i prawdy, o tyle to nasza wina.

Pozostając przy faktach. Przyjmował pan nagrody za swoją pracę?

Proszę się spytać tego, kto mi dawał nagrody, bo ja nie przypominam sobie osobiście, żebym coś brał. Ale zaraz, coś dostałem! W 2007 r. otrzymałem Nagrodę dla Pokoju, przyznaną m.in. przez Papieską Akademię Nauk. Za 50 tys. euro,

Z polityki się nie wycofuję. Zmieniono konie, a ja tak samo jak wtedy, gdy kierowałem ministerstwem, chcę osiągnąć cele programowe PiS

które wtedy otrzymałem, wybudowałem salę wykładową w Tucznie, w słynnej „luksusowej stodole” (śmiech). Otrzymałem też odznaczenie „Zasłużony dla Elektrowni Turów”. Podobno miałem mieć dzięki temu 50 proc. zniżki w domach wypoczynkowych elektrowni, ale te domy zlikwidowali i nie mogę z tego skorzystać.

No to jest pan do tyłu o dom wypoczynkowy w Turowie, ale proszę o konkretną odpowiedź. Czy jest pan do przodu o nagrody przyznawane przez premiera?

Mogę panu powiedzieć, że wykonuję pracę i za tę pracę pewnie otrzymuję wynagrodzenie. Wszystko odbywa się zgodnie z prawem. Nie mam żadnych dokumentów potwierdzających, żebym coś dodatkowego otrzymał.

Zlikwidowanie nagród dla ministrów to jeden z nowych pomysłów premiera Morawieckiego, który zamierza również odchudzić rząd o 20 proc. wiceministrów. Zmiany dotknęły też Ministerstwo

Środowiska. Z resortem pożegnał się Paweł Sałek, odpowiedzialny za politykę klimatyczną.

Nie jestem od oceny decyzji premiera, ale mogę powiedzieć, że minister Sałek bardzo dobrze wykonywał swoje zadanie, jest świetnie wykształcony w zakresie polityki klimatycznej, odegrał pozytywną rolę w negocjacjach „porozumienia paryskiego”. To się wszystko wpisywało również w realizację zapisów papieskiej encykliki „Laudato si’”, mówiącej o konieczności zrównoważonego rozwoju świata. Zorganizowałem na ten temat dużą konferencję w Sejmie, była książka...

I skoro minister Sałek był tak uzdolniony, dlaczego musiał odejść kilka miesięcy przed szczytem klimatycznym ONZ w Katowicach?

Widocznie jest jakaś inna strategia działania, która zmierza do osiągnięcia tego samego celu. A cel jest prosty: mamy być liderem w zakresie polityki klimatycznej i należy wykorzystać do tego i wszystkich Polaków znanych na świecie, i wszelkie atuty Polski, a są one ogromne, co niekoniecznie chcą dostrzec niektóre państwa UE.

Na koniec prawo łowieckie. Senator Józef Łyczak zapowiada wprowadzenie poprawek zezwalających na udział nastolatków w polowaniach oraz karanie ludzi, którzy będą je zakłócać. Dobry kierunek?

Bardzo dobry. Nie można wchodzić w prawo naturalne z prawem stanowionym ani ograniczać prawa rodziców do wychowania dzieci. Niestety, w tym sporze, który trwa już kilka lat, a wynika z postanowień Trybunału Konstytucyjnego, dawno na drugi plan odeszły kwestie konstytucyjne, a na pierwszy trafiły zagadnienia światopoglądowe. Tymczasem polska gospodarka łowiecka to ogromne zagrożenie, które wymaga kompleksowego, a nie ideologicznego uregulowania. Co roku myśliwi za własne pieniądze pozyskują ok. 300 tys. dzików. Regulują także populację innych zwierząt łownych na terytorium kraju, wyręczając w tym państwo. O tym się nie mówi, natomiast oskarża się ich w niektórych mediach o same najgorsze rzeczy. Myśliwi pozyskują co roku również ponad 15 tys. ton niezwykle cenionego na Zachodzie surowca, jakim jest mięso dzikich zwierząt. Jest ono wyprzedawane za bezcen, a potem wraca do kraju w niewielkiej ilości za wielkie pieniądze. Pora spojrzeć na to środowisko obiektywnie, bo nam się porządki pomieszały, a traci na tym Polska.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

VINCENT
ELBAZ

LAURENCE
ARNE

JEAN-FRANÇOIS
CAYREY

GRÉGORY
FITOUSSI

W KINACH
OD 23 MARCA

DADDY COOL

REŻYSERIA
MAXIME GOVARE

#DaddyCoolFilm



eprasa.pl a020a897d1



Rafał A. Ziemkiewicz

PiS ucieka w politykę zastępczą i wygląda to na początek równi pochyłej

Uważny czytelnik wie już, jaki mam stosunek do ustawy zakazującej dużym sklepom działalności w niedzielę. W największym skrócie: uważam ją za głupią i szkodliwą, podobnie jak „aptekę dla aptekarza”, planowane restrykcje w sprawie hodowli zwierząt futerkowych i inne skutki podatności obecnej władzy na lobbiny. Zanim jeszcze to poronione prawo weszło w życie, już zdążyło naprodukować absurdów godnych Barei – a to dopiero początek. Na dodatek obłuda i demagogia, uprawiana na tę okoliczność przez obóz władzy i jego zwolenników, po prostu uwłaczają inteligencji przeciętnego człowieka.

Zarazem nie uważam jednak, aby sprawa należała do naprawdę ważnych i warta była odprzodkowywania najcięższych armat. Prawdziwym problemem, jeśli chodzi o galerie handlowe i sieci hipermarketów, jest to, że bezkarnie, w majestacie prawa, orzynają one państwo polskie, na masową skalę wyprowadzając zyski spod naszego opodatkowania. Rzekomy wyzysk personelu w sytuacji, gdy bezrobocie jest w Polsce niższe niż kiedykolwiek po roku 1989 i pracodawcy straszą rząd gospodarczym krachem, jeśli szybko nie poluzuje restrykcji w sprowadzaniu i zatrudnianiu imigrantów, to typowy polityczny „temat zastępczy”.

Jednak w tej właśnie roli zakaz handlu okazał się skuteczny, rozgrzewając emocje do granic autentycznej hysterii. Co ważne, nie tylko po stronie opozycji. Ta ostatnia, jak przystało na „opozycję totalną”, tradycyjnie zapiała na najwyższym diapazynie, ogłaszając bombastycznie, że nowe prawo – głupie, bo głupie, ale analogiczne do obowiązującego od lat w kilku dużych krajach unijnych – to zamach na wolność, totalitaryzm, zagrożenie demokracji itd. Jeden z jej liderów oznajmił: „Komuniści zabraniali chodzić do kościoła, PiS zabrania chodzić do sklepów”. To jednak nie dziwi, frustracja PO i Nowoczesnej,

ich oderwanie od rzeczywistości oraz zamknięcie w propagandowym matriksie „tęfałów” to nic nowego.

ZAWRÓT GŁOWY

Bardziej znaczące jest zachowanie kibiców władzy. Z licznych wypowiedzi, szczególnie w mediach społecznościowych, można odnieść wrażenie, że zamknięcie w niedziele sklepów jest wielkim zwycięstwem ładu moralnego nad czystym złem, jakąś wielką, górną zmianą. Zajadłość, z jaką interne-

powość szyderstw, wyparcie wszelkich przesłanek i argumentów zdroworozsądkowych – to wszystko znaczące objawy, które powinny strategów dobrej zmiany poważnie zastanowić.

Znam ten syndrom, staram się na niego zwrócić uwagę już od pewnego czasu, zaproponowałem nawet – parafrazując klasyka – nazwę: „zawrót głowy od braku sukcesów”.

Na zdrowy rozum rzecz wygląda prosto. PiS musiał (w gruncie rzeczy nie musiał – ale uznał inaczej) zapłacić

Zakaz zastępczy



FOT. FOTOLIA

towi kibole PiS (także związani z władzą publicyści i wspierające ją autorytety „z nazwiskami”) rzucili się do gardeł krytykom nowej ustawy, jednostajność i historyczność ich argumentacji, sprowadzającej się do emocjonalnego szantażu współczuciem dla rzekomo „zmuszanych” do pracy kobiet i niedoli osieracanych przez nie rodzin, sztam-

związkowi zawodowemu Solidarność za poparcie. Związkowcy zażądali właśnie tej ustawy, bo pracownicy hipermarketów to – od czasu „przekształceń własnościowych”, które przetrząciły siłę „klasy robotniczej” – główny obszar, na którym coraz bardziej kurczący się związek ma nadzieję znaleźć nowych członków. Problem w tym, że aby ich zdobyć, musi

pokazać im, że coś dla nich robi, że wstępować do związku się opłaca. Związek z prawdziwego zdarzenia wynegocjowałby dla pracowników korzystniejsze układy zbiorowe, dodatki za nadgodziny w dni świąteczne, rotacyjny system pracy etc., ale Solidarność zanadto już zesła na psy, by podołać takiemu zadaniu. Nie ma siły przebicia w negocjacjach z pracodawcami, ale ma wpływy polityczne i je właśnie postanowiła skonsumować. Czy niedzielny zakaz w istocie zostanie przez potencjalne związkowe „mięso armatnie”



z marketów odebrany jako dobrodziejstwo? Przykład węgierski pokazuje, że raczej nie, ale to już problem próbujących ratować swoje związkowe *dolce vita* syndykalistów.

UGRYŹĆ W KOSTKĘ

Jednak poza lobbieniem Solidarności rząd miał i inny powód pójścia pod prąd

przywyczajeń większości Polaków, dla których rodzinna wizyta w galerii handlowej, niekiedy nawet połączona z wycieczką do większego miasta, stała się w ostatnich dziesięcioleciach naturalnym sposobem spędzania niedzieli, tak jak ongi spacer po miejskim rynku (nieustająco polecam esej o supermarketach w „Antropologii codzienności” mojego promotora, prof. Rocha Sulimy). Supermarkety były wszak przedmiotem najbardziej wyrazistych obietnic, złożonych przez PiS swojemu elektoratowi. Miały zostać zmuszone do funkcjonowania na równych prawach z drobnym, rodzimym handlem, no i przede wszystkim obiecywał PiS ukrócić wspomniany na wstępie proceder uciekania spod opodatkowania.

Problem w tym, że przeciwnik okazał się za mocny. Co tu gadać, nawet Orbánowi, który ze swym Fideszem stoi pod względem profesjonalizmu nieporównywanie wyżej niż nasza siemieniźna zmiana, nie udało się uciegnąć chroniącego interesy wielkich sieci unijnego prawa. Cóż mówić o partii, która od dwóch lat bez skutku pisze ustawę o mediach publicznych czy już tylko o ich finansowaniu, a całkiem niedawno popisała się nowelizacją ustawy o IPN? Szybko okazało się, że skuteczne opodatkowanie marketów to „kwadratowy trójkąt”, bo nie sposób skonstruować zgodnej z unijnym prawem definicji „wielkopowierzchniowości” i okazało się, że każdy projekt uderza zamiast w hipermarkety w ich rodzimą konkurencję.

Zakaz handlu w niedzielę był więc ze strony władzy cokolwiek rozpaczliwym sposobem, by jakkolwiek „ugryźć” śmiejącego się bezczelnie z tych starań wroga. Aby pokazać zwolennikom: „Patrzcie, daliśmy im łupnia!”. Potrafimy! I sądząc po wyżej opisanych reakcjach, zwolennicy rzeczywiście tak to odebrali. Wskazuje to na ogromny głód sukcesu w zapleczu władzy. Porównywalny z frustracją opozycji totalnej. Rządzimy już od dwóch lat. I nic?! W każdym razie – za mało!

POLITYKA SYMBOLICZNA

Narastanie na zapleczu władzy frustracji nie jest, jako się rzekło, niczym nowym. Nie jest też nowa reakcja PiS na tę sytuację: uciekanie w „politykę symboliczną”. W stwarzanie pozorów. Szczерze mówiąc, sytuacja wygląda na początek równi pochyłej. „Uszczelnienie” systemu podatkowego nie zastąpi jego reformy

ani uproszczenia – a czasu na to coraz mniej, obecna koniunktura wiecznie trwać nie będzie. Zredukowanie kilkunastu z ponad stu (!) wiceministrów, po części poprzez przemianowanie ich na dyrektorów, nie zastąpi „reformy centrum”. Sukcesy oglądalności skoków naciarskich, jednej czy drugiej telenoweli albo teleturnieju nie naprawią państwowych mediów ani nawet nie powstrzymają ich systemowej degrengolady.

Zwolennicy władzy zaczynają być wściekli, bo widzą i czują, że dobra zmiana grzęźnie, a nie chcą tego przyznać nawet sami przed sobą. Sygnały, że coś idzie nie tak, odbijane są wściekłym kontratakiem – przykładem jest agresja wobec Onetu i jego dziennikarzy po artykule o amerykańskich naciskach w związku z kulawą nowelizacją ustawy o IPN (która też była w założeniu częścią „polityki symbolicznej” i fakt, że została wykorzystana przez Izrael do polityki zupełnie realnej, przypisał obóz rządzący o szok i zagubienie). Tekst był tabloidowo „podkreślony”, ogłaszanie nałożenia przez USA na Polskę „sankcji”, i to „takich samych jak na Białoruś” mocno obniżyło jego wiarygodność – ale pokazał jednak realny problem i opierał się na istniejącym, acz tajnym dokumencie. Robienie z niego jakiegoś „super-fejk-niusa” czy zgola „prowokacji gliwickiej” ośmiesza tych, którzy tak reagują.

Widzę coraz więcej niepokojących syndromów. Dlaczego po dwóch latach rządów PiS zabiera się za pośmiertne degradowanie członków WRON? Czy aby nie dlatego, że to łatwiejsze niż dokonanie realnych reform? Tego rodzaju gesty nikogo do dobrej zmiany nie przekonają, a ci, którym się spodobały, i tak są już jej zapalonymi zwolennikami. Jeśli będą wykonywane niejako przy okazji dobrych rządów, to wyborca machnie na nie ręką, ot, takie ma władza dziwactwo, ale co tam, skoro w ważnych sprawach jest dobrze. Jeśli jednak upowszechni się wrażenie, że gesty i symbole mają dobre rządzenie zastępować, to skutek kolejnych symbolicznych działań zacznie być odwrotny od zamierzonego.

Może tego nie widać po sondażach dopóty, dopóki alternatywa dla PiS jest taka, jaka jest, czyli jej nie ma. Jednak irytacja się zbiera, kropla po kropli. Przy czym zakaz handlu to akurat kropla wyjątkowo duża. © © Wszelkie prawa zastrzeżone



Kamila Baranowska

PiS robi, co może, by odwleć prace nad obywatelskim projektem „Zatrzymaj aborcję”. Czarne marsze to ostatnie, czego obecnie potrzebuje. Cierpliwość środowisk pro-life i Kościoła powoli się kończy

Na początku stycznia po burzliwej debacie sejmowej posłowie zdecydowali, że obywatelski projekt „Zatrzymaj aborcję”, który przewiduje wzmocnienie ustawowej ochrony życia trafi do dalszych prac w sejmowej Komisji Polityki Społecznej i Rodziny. Minęły właśnie trzy miesiące, a komisja wciąż nie zajęła się projektem. Oficjalnie – ze względów formalnych, bo posłowie czekają na dodatkowe opinie rządu i Biura Analiz Sejmowych. Nieoficjalnie – jest odgórne polecenie kierownictwa partii, by na razie projekt wstrzymać. Dlaczego? PiS obawia się obudzenia tych samych emocji, które jesienią 2016 r. doprowadziły do tzw. czarnych marszów, gdy na ulicach przeciwko projektowi zakazującemu aborcji protestowały tłumy kobiet. Wtedy PiS nie przewidział, że kwestia aborcji tak bardzo rozgrzeje debatę publiczną. Dzisiaj nie chce powtórzyć tego błędu, zwłaszcza że wciąż gorąco jest na innych frontach walki politycznej. Tyle że martwiąc się o powtórkę z jesieni 2016 r., PiS nie dostrzega, że rośnie frustracja i niecierpliwość po drugiej stronie.

TERAZ ALBO NIGDY

Środowiska pro-life mają poczucie, że po raz pierwszy od wielu lat jest realna szansa zmiany status quo, które obowiązuje od 1993 r. „Teraz albo nigdy” – mówią, prezentując kolejne projekty ustaw. I zapowiadają walkę aż do skutku.

Obecnie procedowany projekt jest o wiele mniej kontrowersyjny od tamtego z 2016 r., dlatego środowiska pro-life przekonują, że powtórki z czarnych marszów nie będzie. Poprzedni projekt autorstwa instytutu Ordo Iuris (ten, przeciwko któremu wybuchły uliczne protesty) zmieniał wszystko, bo zakazywał aborcji całkowicie. Projekt „Zatrzymaj aborcję” nie jest aż tak radykalny, a zatem – przynajmniej



teoretycznie – powinien być łatwiejszy do zaakceptowania i dla opinii publicznej, i dla polityków.

Dzisiaj prawo pozwala na dokonanie aborcji w trzech sytuacjach: gdy ciąża stanowi zagrożenie dla życia lub zdrowia kobiety, gdy jest duże prawdopodobieństwo ciężkiego i nieodwracalnego upośledzenia płodu albo nieuleczalnej choroby zagrażającej jego życiu lub gdy ciąża powstała w wyniku gwałtu. Projekt „Zatrzymaj aborcję” przewiduje usunięcie z obecnie obowiązującej ustawy możliwości dokonania aborcji ze względu na prawdopodobieństwo „ciężkiego i nieodwracalnego upośledzenia płodu albo nieuleczalnej choroby zagrażającej jego życiu”. Chodzi więc o powstrzymanie tzw. aborcji eugenicznej, której – jak wynika z danych środowisk pro-life – dokonuje się w Polsce najczęściej.

Pod inicjatywą obywatelską podpisała się rekordowa liczba ponad 830 tys. osób.

– Ten projekt to plan minimum, jeśli idzie o ochronę życia. Dziwię się, dlaczego pierwsze czytanie odbyło się w trybie niemal ekspresowym, a teraz wszystko się przedłuża – mówi „Do Rzeczy” Kaja Godek z Fundacji „Życie i Rodzina”, pełnomocnik Komitetu Inicjatywy Ustawodawczej „Zatrzymaj aborcję”. – Z punktu widzenia politycznego nigdy nie będzie odpowiedniego momentu, bo zawsze będą otwarte

jakiś fronty walki, zawsze będzie akurat trwał jakiś spór, bo na tym właśnie polega polityka. Jak nie Trybunał, to KRS albo ustawa o IPN. Po jednej stronie mamy zatem komfort polityków, a po drugiej krew niewinnych dzieci – mówi.

Jarosław Kaczyński próbował sprawę rozegrać tak, by wszyscy byli zadowoleni. Plan był taki, by razem z projektem „Zatrzymaj aborcję” do dalszych prac w komisji trafił także konkurencyjny projekt „Ratujmy kobiety” radykalnie liberalizujący prawo do aborcji. Wtedy oba można byłoby odłożyć ad acta, ale o wiele łatwiej byłoby zbijać pretensje środowisk pro-life, tłumacząc, że albo procedowane będą oba projekty, albo żaden. Podobną metodę „mrożenia” na lata w komisjach niewygodnych politycznie projektów ustaw światopoglądowych (związki partnerskie czy in vitro) stosował dawniej Donald Tusk. Wydawało się, że Kaczyński chce zrobić to samo, zwłaszcza że już raz w 2007 r. pokazał, że nie jest zwolennikiem naruszania tzw. kompromisu aborcyjnego (wtedy w proteście z PiS odszedł Marek Jurek). Ten plan popsuła nieudolność opozycji, która nieopatrznie zdecydowała, że projekt „Ratujmy kobiety” przepadł w głosowaniu.

CORAZ WIĘKSZE NACISKI

Kaja Godek nie kryje, że ma żal do wszystkich polityków szeroko pojętej



aborcję?

FOT. TOMASZ CZELIŃSKI

prawicy o to, że pozwalają na odwołanie uchwalenia krótkiej i nieskomplikowanej nowelizacji ustawy. – Zwłaszcza politycy zasiadający w komisji mają instrumenty, by działać. Mogą składać wnioski formalne dotyczące dalszego procedowania projektu. Dlaczego tego nie robią? Wszyscy politycy są dobrzy w mówieniu o ochronie życia w wywiadach w katolickich mediach, ale tu chodzi o realne działanie – wytyka.

Na ostatnim posiedzeniu komisji pod koniec marca poseł Prawicy RP Jan Klawiter złożył wniosek o włączenie projektu komitetu „Zatrzymaj aborcję” do obrad. Komisja decyzję miała podjąć następnego dnia. Okazało się jednak, że jej posiedzenie nagle zostało odwołane. „Do zobaczenia za kolejne 70 zabitych dzieci!” – napisała wówczas na Twitterze Kaja Godek.

Z ostatnich informacji wynika, że komisja zajmie się projektem na najbliższym posiedzeniu, w poniedziałek 19 marca. Bez względu na to, co się wtedy wydarzy, środowiska pro-life nie zamierzają odpuścić. Tak jak protestowały przed Sejmem podczas ostatniego posiedzenia sejmowej komisji, która ostatecznie nie zajęła się projektem „Zatrzymaj aborcję”, tak zamierzają protestować podczas każdego kolejnego posiedzenia. Do skutku.

Zwiększa się także nacisk Kościoła. W komunikacie z zebrania plenarnego Konferencji Episkopatu Polski znalazł się osobny punkt poświęcony tej sprawie. „Przypominając o konieczności bezwzględnej szacunku należnego każdej istocie ludzkiej we wszystkich chwilach jej istnienia (por. »Dignitas personae«, 10), biskupi apelują o niezwłoczne podjęcie prac legislacyjnych nad projektem obywatelskim »Zatrzymaj aborcję«” – czytamy w komunikacie.

– Zrelatywizowanie prawa do życia grozi zrelatywizowaniem praw człowieka – powiedział przy tej okazji były przewodniczący Zespołu KEP ds. Bioetycznych, abp Henryk Hoser. Dodał, że podejrzenie choroby nienarodzonego dziecka „nie daje nikomu prawa do tego, żeby pozbawiać go życia”. – Tak jak się zajmujemy osobami chorymi niepełnosprawnymi po porodzie, również się zajmujemy nimi przed porodem, często osłabiając te mechanizmy patologiczne – stwierdził. Arcybiskup Hoser wyraził także nadzieję, że „posłowie będą mieli dość odwagi cywilnej, żeby przegłosować tę ustawę”. Przyznał, że przeciągające się prace nad ustawą budzą jego obawy.

W PiS można usłyszeć, że posłowie nie chcą na razie procedować obywatelskiego projektu, bo liczą na orzecze-

nie Trybunału Konstytucyjnego w tej sprawie. Jeszcze w listopadzie ubiegłego roku grupa posłów złożyła do Trybunału wniosek o zbadanie konstytucyjności zapisu dotyczącego aborcji eugenicznej, czyli tego samego, którego zniesienie jest zapisane w projekcie „Zatrzymaj aborcję”. Gdyby Trybunał orzekł, że obecnie obowiązujący zapis jest niekonstytucyjny, zajmowanie się projektem obywatelskim nie miałoby już sensu. Na razie jednak nie ma nawet wyznaczonego terminu, w którym sędziowie mieliby zająć się tą sprawą. Nieoficjalnie można usłyszeć różne wersje – że Trybunał zajmie się tematem aborcji jeszcze w marcu lub że zrobi to dopiero jesienią.

– Było mi wszystko jedno, w jaki sposób to zostanie załatwione, czy naszym projektem, czy orzeczeniem Trybunału, najważniejsze, by ukrócić masowe zabijanie dzieci. Ale na pewno czekanie na TK, kiedy jest już w legislacji ustawa, jest nieuzasadnione – uważa Kaja Godek.

Podkreśla też, że cały czas ma nadzieję, że politycy partii rządzącej, zwłaszcza ci chętnie publicznie odwołujący się do wartości chrześcijańskich, dopilnują, by przesłanka eugeniczna zniknęła na dobre z polskiego prawa. A jeśli nie, to środowiska pro-life postarają się, by dowiedzieli się o tym wyborcy w kampanii wyborczej: – To nie jest żadna groźba, lecz kwestia przejrzystości życia publicznego i prawo do informacji na temat tego, jak się ma to, co polityk mówi, do tego, co potem robi. Na pewno będziemy temat aborcji podnosić – zapowiada.

LICZBA ABORCJI ROŚNIE

Dane, które na początku roku udostępniło Ministerstwo Zdrowia, potwierdzają, że najczęstszą przyczyną dokonywania legalnych aborcji w Polsce jest właśnie „ciężkie i nieodwracalne uszkodzenie płodu albo nieuleczalna choroba zagrażająca jego życiu”. W 2016 r. były 1042 takie przypadki. Z powodu zagrożenia życia lub zdrowia matki przerwano 55 ciąż. Usunięcia ciąży, która była wynikiem gwałtu, dokonano w 2016 r. tylko raz. Z danych resortu zdrowia wynika także, że liczba legalnych aborcji rośnie od 2002 r. W 2002 r. przeprowadzono w Polsce łącznie 159 legalnych aborcji, w 2016 r. było to już 1098. Najwięcej, bo ponad 37 proc., aborcji eugenicznych wykonywanych jest z powodu podejrzenia zespołu Downa.



Agnieszka Niewińska

Przez lata córka Wojciecha Jaruzelskiego opowiadała, że działalność polityczna jej nie interesuje. Okazało się, że do czasu, kiedy realne stało się odebranie generalskich gwiazdek jej ojcu

Odkąd w Polsat News Monika Jaruzelska zdradziła, że podjęła decyzję o starcie z list SLD, nie przestają do niej dzwonić dziennikarze. Wybory samorządowe, w których zadeklarowała udział, będą zresztą tylko przygrywką. – Zdecydowała się na kandydowanie, więc zaproponowaliśmy jej miejsce – w pierwszej kolejności na liście do sejmiku w wyborach samorządowych, bo polityki trzeba się najpierw nauczyć, a także do Sejmu w wyborach parlamentarnych. Nasza propozycja została zaakceptowana – cieszy się Włodzimierz Czarzasty, przewodniczący SLD.

Złośliwi przypominają, że posunięcie Czarzastego to chwyt podobny do tego, który zastosował Leszek Miller, wystawiając w wyborach Magdalenę Ogórek. – Na razie ta sytuacja kojarzy mi się bardziej z wystawieniem Adama Gierka w wyborach do europarlamentu. SLD najwyraźniej liczy na głosy tych, którzy z sentymentem wspominają PRL, choć akurat takich wyborców ubywa – uważa dr Bartłomiej Biskup, politolog z Uniwersytetu Warszawskiego.

UCIAŹLIWE PYTANIA CZY WAKACJE Z FIDЕLEM

Sądząc po występach Jaruzelskiej w mediach, kampania już się dla niej zaczęła, choć akurat jej obecność w prasie czy na małym ekranie to żadna nowość. Ostatnio poza działalnością pisarską uczy studentów Uniwersytetu SWPS, ale przez lata przedstawiano ją jako jedną z pierwszych profesjonalnych stylistek, założycielkę Szkoły Stylu, dyrektora i członka zarządu w takich firmach jak Deni Cler czy W. Kruk. W kolorowych magazynach pozowała do zdjęć, opowiadała nie tylko o modzie, lecz także o swoim dzieciństwie, o relacjach z ojcem, o synu. Kiedy kupiła mieszkanie, pokazała je mediom, opowiadając



FOT. MICHAŁ DYJAK/FOTUM

o przedwojennej stolarce i mahonowym biurku po babci.

Po wydaniu biograficznej książki „To warzyszka panienka”, odbyła tournée po mediach. Tłumaczyła, że zamiast w wywiadzie rzece odpowiadać na uciążliwe pytania o stan wojenny i ojca dyktatora, wolała pokazać tamte lata z własnej perspektywy. Konsternację, zwłaszcza u prawicowych recenzentów, wywołały ckiwe wspominki o podróżach u boku

ojca, wizycie u Kim Ir Sena, spotkaniu z Kaddafim, wakacjach na daczach Fidela Castro. Jej ojca czytelnik poznaje nie jako autora stanu wojennego, odpowiedzialnego za masakrę w Wujku, ale jako człowieka, który stronił od nałogów, szanował sprzątaczkę, a na swoich barkach niósł ciężar odpowiedzialności za Polskę.

Osobiste opowieści córki komunistycznego generała szybko trafiły na listę bestsellerów, a autorka poszła za ciosem

i wydała dwa kolejne tomy. „Rodzinę” zaczęła od opowiedzenia o własnej próbie samobójczej i podzielenia się refleksjami z premiery pierwszej książki. To tam jej zdjęcie okładowe komentował Jerzy Urban, nie żałując drwin ze stanu wojennego. „»Co to za wstrętny bachor pojawia się na okładce? Na dodatek z rękami do góry. Czy poddaje się w stanie wojennym? O co chodzi?!« Sala oczywiście pęka ze śmiechu” – relacjonuje wesoło Jaruzelska.

Wiele miejsca poświęca tematowi macierzyństwa. Późnego, bo dopiero kiedy Polacy powiedzieli „tak” Unii Europejskiej, prezydentem był Kwaśniewski, a premierem Miller, poczuła stabilizację. „Dopiero podczas rządów PiS, klimatu IV RP – lustracji, procesów, polskiego maccartyzmu – uświadomiłam sobie, jak bardzo się tego bałam i jak bardzo chciałam przed tym uchronić swoje dziecko, najlepiej w ogóle nie wydać go na świat” – tłumaczy czytelnikom.

I choć w wywiadach nie ukrywa swoich opinii, to do tej pory nie wykonywała żadnych politycznych gestów. Wielokrotnie podkreślała, że działalność polityczna jej nie interesuje. Tym większe zaskoczenie wywołała jej deklaracja. – Polityka sięgnęła do mojego prywatnego życia w taki sposób, że już nie mam od niej ucieczki. Mam na myśli zarówno zainteresowanie komisji reprivatyzacyjnej domem moich rodziców, jak i ustawę degradacyjną – tłumaczy „Do Rzeczy” swoje motywacje Jaruzelska. – Oczywiście nie będę niczego robić w sprawie domu czy degradacji ojca, jednak ustawa degradacyjna jest powodem, dla którego chcę zająć się polityką. Mam duży szacunek do wojska. Ludowe Wojsko Polskie, wojsko ministrów Siemoniaka, Macierewicza czy Błaszczaka, to jest wojsko polskie i nie chciałabym, by stało się partyjne. A ustawa degradacyjna otwiera ku temu drzwi. Wystarczy donos, by minister zdecydował o degradacji. Dopiero potem można walczyć o swoje prawa w sądzie. To sprzeczne z zasadą domniemania niewinności. Dotknie to wiele rodzin wojskowych. I nie chodzi tylko o oficerów, którzy służyli przed 1989 r. Biorąc pod uwagę język rewanżyzmu, jakim posługuje się również totalna opozycja, można sobie wyobrazić, że gdy dojdzie do władzy, będzie chciała zdegradować żołnierzy, którzy trzymali parasol nad panem Misiewiczem – mówi Monika Jaruzelska. Podkreśla także, że chce

zmienić dominujący w polityce język, przywrócić minimum szacunku w debacie publicznej.

Kinga Hałacińska, działaczka NZS w latach 80., która dziś organizuje uroczystości na rzecz upamiętnienia ofiar stanu wojennego, nie jest zdziwiona tym, że Jaruzelska chce startować w wyborach. – To, że występuje z postulatem obrony wojskowych przed degradacją, pokazuje tylko, jak bardzo komunistyczni oficerowie są przywiązani do swoich stopni i jak bardzo boli ich utrata przywilejów. Komuniści dotąd czuli się bardzo pewnie, a teraz przeżyli szok – mówi. I dodaje, że przez wiele lat, kiedy 13 grudnia była wśród zgromadzonych przed willą Jaruzelskiego, ten ani razu nie wyszedł do manifestujących. – Nie było go, uciekał, migał się od odpowiedzialności. Monika Jaruzelska, kiedy była młoda, kontestowała działalność ojca, minęły lata i dziś broni jego wielkości oraz jego kolegów.

Czarzasty nie boi się zarzutów pod adresem Jaruzelskiej, jakoby szła do polityki, by załatwić prywatne sprawy. – Zmarli o swój interes nie zadbają, więc ktoś musi występować w ich imieniu. Poza tym Monika Jaruzelska, protestując przeciwko degradacji oficerów, dba o interes 160 tys. osób, których dotyczy ta ustawa. Czy Cimoszewicz, startując w wyborach, dbał o interes ojca? A Wałęsa? A jeden z Kaczyńskich kandydował do Sejmu, by bronić interesów drugiego Kaczyńskiego? – pyta.

Samorząd w sprawie ustawy degradacyjnej nie ma żadnych kompetencji, ale Jaruzelska tłumaczy, że idzie do samorządu, by polityki uczyć się od podstaw, może się zajmować zarówno dziurami w drodze, jak i kwestiami szkół oraz przedszkoli.

KANDYDATKA Z PRZESZŁOŚCI

Joanna Gepfert, specjalistka w dziedzinie wizerunku, uważa, że SLD zależy na wciągnięciu na pokład Jaruzelskiej, bo ma ona wizerunek, o którym ta partia marzy dla samej siebie. – Z jednej strony nazwisko Jaruzelskiej budzi ciepłe skojarzenia u żelaznego, ale kurczącego się elektoratu z tęsknotą wspominającego poprzedni ustrój, z drugiej strony młodzi wyborcy już nie kojarzą jej jedynie z ojcem, który wprowadzał stan wojenny. Stała się wzorem kobiety nowoczesnej. Umiejętnie wykreowała się najpierw na wziętą stylistkę, redaktorkę, później na

odnoszącą sukcesy wydawnicze autorkę – kobietę zawdzięczającą wszystko sobie, opowiadającą o swoim życiu w kolorowych magazynach – mówi Gepfert. Jednak jej zdaniem Jaruzelska to kandydatura niezbyt trafiona, bo nie wiadomo, dla jakiego wyborcy miałaby być atrakcyjna. Nie poprą jej ani młodzi ludzie, których idolami są żołnierze wyklęci, ani wyborcy liberalni, którzy uważają, że należy do przeszłości, od której chcą się odciąć. – Jaruzelska może zabiegać o głosy bezideowej warszawskiej elity, której przedstawiciele – projektanci, biznesmeni, artyści – goszczą na kartach wydanych przez nią książek. Część z nich jednak nie głosuje, co do reszty nie sądzę, by była to wystarczająco duża grupa, aby zapewnić sukces wyborczy.

Jaruzelska zaznacza, że jeżdżąc po Polsce na spotkania z czytelnikami, otrzymywała wiele wyrazów sympatii od osób w różnym wieku i o różnych poglądach. – Nie wiem, czy przełoży się to na wynik wyborczy, ale sądzę, że wielu wyborców może zainteresować założenie, które przyjąłem. W mojej postawie nie ma rewanżyzmu, moje poglądy są wyważone. Potrafię zrozumieć argumenty obu stron politycznych czy światopoglądowych sporów. Od sympatyków prawicy słyszałam nawet, że niektóre fragmenty moich książek dotyczące spraw społecznych brzmią, jakby pisała je zwolenniczka PiS. Rozumiem zarówno tych, którzy aborcję uznają za zabójstwo, jak i kobiety, które nie chcą nieść ciężaru macierzyństwa – tłumaczy Monika Jaruzelska. I dodaje: – Nie chcę kreować własnej popularności, tylko wiarygodność jako człowieka. Zależy mi na tym, żeby wyborcy zaufali mi niezależnie od mojego nazwiska czy partii, z której listy z całym przekonaniem startuję.

I choć stara się pokazywać, że jej sytuacja jest taka jak milionów Polaków, bo też ma kredyt we franku, a pracę w „Twoim Stylu” zaczynała od samego dołu, to znalazła się tam, bo redakcja chciała zrobić wywiad z młodą osobą o znanym nazwisku. – Monika Jaruzelska nie jest jak miliony Polaków. Choćby pod względem materialnym rodziny komunistycznych funkcjonariuszy do dziś mają dużo lepszą sytuację. Do tej pory ci ludzie odczuwali plusy z racji swojego statusu. Degradacja, obniżenie emerytur to pierwsze niedogodności, jakie ich spotkały w ostatnim 30-leciu – mówi Kinga Hałacińska.



Radosław Wojtas

Po 26 latach od brutalnego zabójstwa Piotra Jaroszewicza i jego żony prokuratorzy twierdzą, że złapali morderców. Czy jednak jesteśmy bliżej poznania prawdziwych powodów tej zbrodni?



FOT. SŁAWOMIR SIERZPIOTOWSKI/AGENCJA GAZETA

Uchylone okno Jaroszewiczów

Ta zbrodnia przez lata wzbudzała zainteresowanie i rozpaliała wyobraźnię opinii publicznej, m.in. dlatego że wielu – w tym Andrzej Jaroszewicz, syn byłego premiera – wątpił w oficjalny powód, podany przed laty i podtrzymywany do dziś. Miał to być mord na tle rabunkowym, choć bandyci zostawili wiele cennych przedmiotów. Sprawcy się spieszyli? Wykluczone – spędzili w domu swoich ofiar kilka godzin, torturując byłego premiera. Po co tortury? Chodziło tylko o otwarcie sejfu, a może o coś innego – dokumenty, tajne informacje? Jak udało się zaskoczyć byłego premiera, który nie rozstawał się z bronią? W jaki sposób zamknięto w jednym z pokoi agresywnego psa? Do tego dochodzi kompromitacja policji. Pytań

jest wiele. Czy na część z nich odpowiedzi udzielił domniemani mordercy?

Dziennikarze „Panoramy” i magazynu „997” w środę rano poinformowali, że w sprawie nastąpił przełom. Doniesienia potwierdził minister sprawiedliwości Zbigniew Ziobro. – Postawiono zarzuty kryminalne trzem sprawcom, dwóch przyznało się do tej zbrodni – powiedział podczas zwołanej w tej sprawie konferencji prasowej. Trzeci nie przyznał się do stawianych zarzutów i odmówił składania wyjaśnień.

SZTUCER, PĘTLA I CIUPAGA

31 sierpnia 1992 r. po zmroku okno sypialni Jaroszewiczów zostało szeroko otwarte jak niemal każdego wieczora tego rekordowo upalnego sierpnia.

W ciągu dnia okna były szczelnie zamknięte, bo wlewał się przez nie żar, dopiero po zachodzie słońca można było wpuścić do mieszkań nieco schłodzonego już powietrza. Dla starszego małżeństwa Jaroszewiczów upał musiał być wyjątkowo dokuczliwy. Feralnej nocy z 31 sierpnia na 1 września pod otwarte okno prowadzące do sypialni na piętrze willi Jaroszewiczów mordercy podstawili drabinę. I to bandyci potem zamknęli okno i zasłonili firankami.

W sypialni zaskoczyli i skrupowali Alicję Solską-Jaroszewicz, a potem przenieśli do łazienki. Piotra Jaroszewicza przywiązali do fotela w jego gabinecie. Torturowali go. Policjanci technicy sfotografują go później ze skrupowaną lewą, ale wolną prawą ręką, co może sugere-

rować, że były premier przed śmiercią był zmuszany do podpisywania jakichś dokumentów. Prawdopodobnie jednak Piotr Jaroszewicz próbował się uwolnić. Czy dopiero po częściowym oswobodzeniu na jego szyi morderca zacisnął pasek od długiej broni znalezionej w willi? To jedno z pytań, które pozostają otwarte. Piotr Jaroszewicz został uduszony. Ktoś skręcał pasek na góralskiej ciupadze, by w ten sposób zaciskająca się pętla zadała śmierć. Alicja Solska-Jaroszewicz zginęła od jednego strzału w głowę z bardzo bliskiej odległości.

Kiedy 1 września 1992 r. policjanci jechali do willi w warszawskim Aninie, nie spodziewali się, że w niezbyt okazałym i raczej dość zaniedbanym na tle sąsiednich budynków domu znajdą zwłoki byłego premiera i jego żony. Brak tej świadomości, chaos i pogwałcenie podstaw policyjnego rzemiosła na miejscu zbrodni niemal przekreśliły jakiekolwiek szanse na to, że sprawcy zostaną ujęci. Nim pojawił się prokurator, a technicy przystąpili do zbierania śladów, przez miejsce zbrodni przewinęły się dziesiątki osób i to one zostawiły większość z zabezpieczonych później dowodów, jak np. odcisk buta czy niedopałek papierosa. – Nie mogą zabronić np. ministrowi, wiceministrowi czy swojemu szefowi wejścia do budynku, bo on ze względów formalnych nadzoruje to, choć tak naprawdę powinienem zabronić wejścia – mówił w 2013 r. w programie „Czarno na Białym” Dariusz Janas, który w chwili morderstwa był oficerem śledczym i jako jeden z pierwszych policjantów wszedł do willi Jaroszewiczów.

Śledztwo, którym interesowała się cała Polska, oparto na poszlakach. W kwietniu 1994 r. zatrzymano czterech mężczyzn, którym prokuratura przypisywała dokonanie zbrodni. Po czterech latach Sąd Wojewódzki w Warszawie orzekł, że są niewinni, a organa ścigania dopuściły się rażących uchybień. W 2000 r. Sąd Apelacyjny w Warszawie podtrzymał tę decyzję niższej instancji.

PRZYPADEK I KARATECY

Dopiero po 18 latach od tego wyroku padły słowa, na które czekali nie tylko najbliżsi ofiar. – Wszystko wskazuje dzisiaj – oczywiście ta sprawa będzie rozstrzygana dopiero przez sąd, więc mówię tu dzisiaj o poziomie wysokiego prawdopodobieństwa – że prokuratorzy, policjanci pracujący nad tą sprawą doko-

nali przełomu i doprowadzili do postawienia zarzutów kryminalnych trzem sprawcom zabójstwa. Dwóch sprawców, którym postawiono zarzuty i których przesłuchano jako podejrzanych w tej sprawie, przyznało się do popełnienia tej zbrodni, opisując szczegóły przebiegu przestępstwa zabójstwa oraz rabunku – powiedział w ubiegłym tygodniu minister sprawiedliwości i prokurator generalny Zbigniew Ziobro.

Śledczym pomógł przypadek. Pracując przy sprawie porwań w Krakowie, m.in. 10-letniego chłopca, zatrzymali mężczyznę, który w trakcie przesłuchań miał mówić o innych popełnianych przez siebie przestępstwach. – Ujawnił, że brał udział w zdarzeniu w Aninie, w zabójstwie państwa Jaroszewiczów. I to był ten moment przełomu – zdradził Ziobro. Od początku lutego trwały wielogodzinne przesłuchania podejrzanego i weryfikacja jego wyjaśnień. Miał podawać

W sypialni zaskoczyli i skrepowali Alicję Solską-Jaroszewicz, a potem przenieśli ją do łazienki. Piotra Jaroszewicza przywiązali do fotela w jego gabinecie

szczegóły, które nigdy nie przedostały się do opinii publicznej. W Prokuraturze Krajowej powołano specjalny zespół pod nadzorem prok. Krzysztofa Sieraka, który pracował nad sprawą. Wreszcie postawiono zarzuty.

Dwóch z trzech oskarżonych jest powiązanych z tzw. gangiem karateków. To działająca w latach 80. i 90. grupa przestępcza specjalizująca się w napadach na wille i luksusowe domy. Gang zawiązał się w sekcji karate przy dawnej Wyższej Szkole Inżynierskiej w Radomiu.

MATRIOSZKA I FRANCUZI

Napad na willę Jaroszewiczów był zaplanowany. Sprawcy najprawdopodobniej wiedzieli, do czyjego domu się włamują. Mieli liczyć na duży łup. – Willa przedstawiała taki obraz jak typowo po napadzie rabunkowym. To znaczy były porozrzucane przedmioty, były ślady walki na dole – powiedział w rozmowie z RMF FM ówczesny oficer śledczy. Jednak motyw rabunkowy od początku podawał

w wątpliwość syn premiera. Mordercy nie zabrali wielu cennych przedmiotów, m.in. obrazów Kossaka i Picassa, wartościowej kolekcji znaczków czy biżuterii. Być może nie interesowały ich przedmioty, które trudno sprzedać i które łatwo byłoby powiązać ze zbrodnią w razie wpadki. – Pistolet walther to jedyna rzecz, o której ja wiem, że zginęła – powiedział w rozmowie z portalem PolskieRadio.pl Andrzej Jaroszewicz, syn zamordowanego. W rozmowie z RMF FM stwierdził: „Przy motywie rabunkowym nie torturuje się byłego premiera przez kilka godzin, po to, żeby coś od niego uzyskać. To nie jest zajęcie dla złodziei”.

Jedna z hipotez zakłada, że Piotr Jaroszewicz zginął, bo wiedział zbyt wiele o tzw. matrioszkach. Mieli oni być radzieckimi agentami, sobowtórami polskich polityków. Były premier w wywiadzie rzecze z Bohdanem Rolińskim opowiadał, że informację o „matrioszkach” przekazał mu radziecki wojskowy. Piotr Jaroszewicz miał znać tożsamość kilku polityków, którzy mieli swoje „matrioszki”.

W mediach przewijały się również informacje, że w posiadaniu Jaroszewicza były dokumenty, przy których błędnie miały te przechowywane w domu Czesława Kiszczaka. Kolejna teoria głosi, że były premier wiedział za dużo o przetransportowanych do Polski, a później przewiezionych do ZSRS archiwach Reichssicherheitshauptamt, w których miały się znajdować m.in. dokumenty dotyczące kolaboracji Francji z III Rzeszą czy obciążające bogatą żydowską rodzinę Rothschildów.

Syn byłego premiera, który przez cały czas walczył, by doprowadzić do skazania morderców ojca, liczy na to, że poznamy tło tego morderstwa. – Motyw rabunkowy jest na pierwszym planie zabójstwa Jaroszewiczów – powiedział na środowowej konferencji prasowej Rafał Babiński, szef Prokuratury Okręgowej w Krakowie. Stwierdził jednak, że na tym etapie nie można jeszcze mówić o „finalnym określeniu motywacji”. – Nie wykluczamy żadnego motywu. Badamy różne wersje – zapewnił.

Okno do rozwikłania tajemniczej śmierci Jaroszewiczów zostało uchylone. Czy otworzą je na oścież ci, których oskarża się, że przed 26 laty zasunęli firanki w sypialni willi w warszawskim Aninie i zamordowali jej mieszkańców?

Idź i cierp



Łukasz Zboralski

Mówią, że Kościół nie jest dla mięczaków. Chcą poczuć ból, a czasem nawet płakać z niemocy i tak zbliżyć się do Boga. Twierdzą, że Ekstremalna Droga Krzyżowa daje taką szansę



Zamiast klęczeć w kościelnej ławce i rozważać stacje drogi krzyżowej raz w roku przycho-
dzą do kościoła w sportowych ciuchach, z jedzeniem, wodą i latarkami na czołach. Po mszy świętej ruszają na spotkanie z własnymi słabościami. Reguły są twarde – co najmniej 40 km do przejścia nocą, najlepiej samemu, jeśli w grupie, to przy całkowitym zachowaniu milczenia. Do pomocy mają tylko aplikację z opisem trasy i śladem GPS oraz rozważania, które mogą odsłu-

chać w smartfonach na wyznaczonych stacjach drogi krzyżowej.

CIAŁO I DUSZA

Tak wygląda Ekstremalna Droga Krzyżowa – projekt, który narodził się w 2009 r. w krakowskim środowisku duszpasterskim skupionym wokół ks. Jacka „Wiosny” Stryczka – znanego w Polsce z wielu inicjatyw, m.in. z akcji „Szlachetna Paczka”. Po 10 latach pątników biorących udział w EDK liczy się już w dziesiątkach tysięcy. W tym roku

23 marca na ekstremalne trasy w 20 krajach może wyjść blisko 100 tys. osób.

– Zaczęło się od kryzysu męskości, który dotknął także mnie – śmieje się ks. Jacek Stryczek. – Mamusie dogadza-
ją synom i wielu chłopaków wchodzi w dorosłe życie z postulatami: „Kto mi dogodzi?!”. To mnie bardzo denerwowa-
ło. Jest sprzeczne z moim stylem życia. Wziąłem kilku chłopaków i zaczęliśmy dyskutować, co z tym zrobić. Wtedy padły dwa największe postanowienia: że zimą wchodzimy na Mont Blanc, co

Podczas Ekstremalnej Drogi Krzyżowej pątnicy idą w samotności co najmniej 40 km. W tym roku wyruszą 23 marca FOT. MARCIN MELUS

„Do Rzeczy” ks. Stryczek. – Ta noc, gdy się idzie na początku, wydaje się fajna, ale z czasem zaczyna się ból. Wszystko w człowieku mówi: „Hej, przecież masz łóżko, wygodny pokój. Dlaczego nie wracasz?”. Uruchamia się taka pokusa związana z utraconym komfortem. Wtedy jest ten moment, kiedy człowiek się poddaje i wraca albo jego determinacja przekracza strefę komfortu i odkrywa, że istnieje życie poza nawykami, poza tym, do czego się przyzwyczaił – nawet do tego, co często mu nie odpowiada, ale boi się tego stracić, bo to jest znane.

Włączanie do sfery sacrum ciała, które zmęczone i udręczone ma pomóc w spotkaniu z Bogiem, to dziś dość nietypowe podejście w Kościele. Kojarzy się raczej z daleką przeszłością. Dlatego ks. Jacek Stryczek nazywa EDK powrotem do korzeni chrześcijaństwa. – W naszych czasach zbyt często zaczęto utożsamiać życie duchowe z praktyką myśli. Że to tylko myślenie, odmawianie Różańca, rozważania – opowiada. – A jednak mamy ciało. Uważam, że praktykowanie wartości duchowych jest połączone z ciałem. Podstawową praktyką chrześcijanina jest asceza – oznacza samoograniczenie się ciała. Jak możesz mówić, że zarządzasz swoim duchem, skoro nie umiesz zarządzać swoim ciałem?

133 KM W GÓRACH

Na pierwszą Ekstremalną Drogę Krzyżową ruszyli ci, którzy ją wymyślili. Jednak pojawiło się też sporo osób, które myślały, że będzie to po prostu rodzaj kolejnej pielgrzymki. Zamiast księdza i śpiewania pieśni przez głośniki, zastali noc, samotność i walkę o przetrwanie. Od tego czasu organizatorzy EDK zniechęcają tych, którzy chcą bezpiecznie i pielgrzymkowo pomaszerować, a zachęcają tych, którzy chcą przeżyć coś ekstremalnego. Każdego roku na krakowskiej ekstremalnej drodze pojawiało się coraz więcej osób. Potem zaczęli wytyczać takie trasy w swoich miejscowościach. I to właśnie ci, którzy otworzyli się na to nowe doświadczenie, przełamali swoją strefę komfortu, są najlepszą reklamą dla tego „start-upu duchowego”. To oni ciągną na EDK kolejnych – swoich bliskich, znajomych.

Marcin Grandys, doktorant na krakowskiej AWF, jest jednym z tych, którzy organizowali pierwszą Ekstremalną Drogę Krzyżową. Wytyczał trasę do Kalwarii i organizował dwie pierwsze

edycje. Uczestniczył w nich z narzeczoną, która później została jego żoną. Trudny moment przyszedł, gdy urodził się im syn. – Ja poszedłem na EDK, a ona, z małym dzieckiem, które musiała karmić, nie bardzo to sobie wyobrażała – opowiada „Do Rzeczy”. – Jednak zaczęliśmy o tym rozmawiać i zaproponowałem, że jeśli chce, to przejdzie swoją drogę, a ja będę ją asekurował w samochodzie. I że jeśli trzeba będzie nakarmić syna, to po prostu zrobi to w aucie. Moja żona lubi przekraczać siebie i to się udało. I wie pan co? To była pierwsza noc, którą nasz syn przespał w całości. Właśnie tam, podczas tej drogi krzyżowej – dodaje.

Pan Marcin i jego żona nie odpuścili EDK także w kolejnym roku. Syna, wówczas mającego ponad roczek, zabrali ze sobą w wózek. Dlaczego podejmują to wyzwanie? – Idea jest taka, żeby dzięki przekroczeniu własnych granic zbliżyć się do Boga – odpowiada Grandys. – Dla mnie kluczowe jest to, że wychodzę i nie wiem, co się zdarzy, zarówno w sensie duchowym, jak i fizycznym. Nie wiem, czy podołam. Nie wiem też, jakie będę miał przemyślenia, jak to spotkanie duchowe będzie przebiegało.

Żeby podtrzymać w sobie tę niepewność, w ubiegłym roku postanowił postawić przed sobą jeszcze trudniejsze zadanie. Wiedział już, że 40–50 km trasy nie stanowi dla niego przeszkody, że taką trasę przejdzie. Postanowił więc wyznaczyć o wiele dłuższą: z Krakowa do sanktuarium na zakopiańskich Wiktorówkach. Przy 133 km w górskim terenie pewność siebie się kończyła. – Nie wiedziałem, czy dojdę, czy będę w stanie iść przez dwie noce i dzień bez snu, czy będę mógł tyle medytować – przyznaje. Podołał. Doszedł. I to właściwie dwa razy, bo pierwszy raz przeszedł trasę, wyznaczając szlak GPS, a potem już podczas właściwej drogi krzyżowej.

Teraz pan Marcin ma już dwoje dzieci. Czekają, aż będą w stanie towarzyszyć rodzicom i przejść z nimi taką trasę. Wówczas znów wyruszą na Ekstremalną Drogę Krzyżową.

OD SZWAGRA DO JEROZOLIMY

Wielu ekstremalnych pątników wyrusza w trasy po Polsce. Jednak akcja ma już zasięg globalny. Można iść z Barcelony do klasztoru Montserrat albo wśród pustynnych krajobrazów Arizony – gdzie trasa dla pątników wiedzie dawną drogą dyliżansów zwaną Szlakiem Apaczów.

potem zrobiliśmy, oraz że organizujemy Ekstremalną Drogę Krzyżową. Okazało się, że to był strzał w dziesiątkę, że było duże zapotrzebowanie na takie doświadczenie.

Pierwsza droga krzyżowa w 2009 r. została wytyczona z Krakowa do Kalwarii. Miała ok. 40 km. Dzisiaj ta odległość jest uznawana za minimalną do przejścia podczas EDK na całym świecie. Pątnicy ruszają na trasy nocą. – To jest zgodne z takim moim rodzajem duchowości. Lubie, jak jest ciężko, pod górę – przyznaje



Ekstremalną Drogę Krzyżową przeszedł m.in. nuncjusz apostolski w Polsce abp Celestino Migliore. FOT. SZLACHETNA PACZKA

■ Marek Kwiatkowski w tym roku przeszedł EDK w Jerozolimie. Jak opowiada „Do Rzeczy”, jego przygoda z ekstremalnym pątnictwem rozpoczęła się od szwagra, który po pierwszym swoim razie wrócił podekscytowany i namawiał go do takiego wyczynu. – Głupio mi było odmówić, więc się zgodziłem. Rok później zadzwonił i poszedłem – opowiada pan Marek. – Bardzo ciężko to zniósłem. Bo waży prawie 100 kg, pracuję na siedząco przy biurku i nie zrobiłem nawet żadnego treningu. Byłem źle przygotowany pod każdym względem. Miałem złe spodnie, bieliznę, jedzenie, buty. Jedynie odblaski, które dostałem od rodziny, miałem profesjonalne. No i w pewnym momencie załamałem się, myślałem, że nie ma szans, żeby dalej pójść, a to była dopiero połowa drogi. To jest taki czas, gdy zaczyna się naprawdę milczeć. Człowiek przestaje się modlić, myśleć o potrzebach, prośbach, dziękczynieniach. Skupia się. I wtedy przychodzi Bóg. To było ogromnym doświadczeniem i to zmieniło moje życie – podkreśla.

Po przygotowaniu Ekstremalnej Drogi Krzyżowej w Grodzisku Mazowieckim pan Marek podczas oglądania filmu o Izraelu wpadł na nowy pomysł – przejść EDK w Ziemi Świętej. Myślał o Galilei. Planował pójść z Kafarnaum do góry Tabor. Jednak ci, którzy byli już w Izraelu, odradzali mu to ze względów logistycznych. Wtedy postanowił, że pójdzie ze świątyni na wzgórze w Abu Ghauz do bazyliki Grobu Pańskiego w Jerozolimie. Przez rok nie mógł znaleźć nikogo chętnego na taką wyprawę.

– Jednak gdy zgłosiłem pomysł do centrali EDK w Krakowie, dowiedziałem się, że do Jerozolimy wysłano właśnie kleryka, który wcześniej zrobił trasę Ekstremalnej Drogi Krzyżowej w Irlandii – opowiada Kwiatkowski. – Kiedy się dowiedział, że ja przyjadę z Polski, postanowił też pójść. A w ostatnim momencie dołączył do nas Amerykanin, salezjanin – wspomina. Wyszli o godz. 19. Po drodze okazało się, że mają za szybkie tempo i mogą dojść do bazyliki wcześniej niż o 4 rano, kiedy jest otwierana, więc dodatkowo wydłużyli sobie trasę. – Co daje przejście EDK? – zastanawia się pan Marek. – Dla każdego pewnie coś innego, bo ludzie mają różny poziom wiary i doświadczeń. Dla mnie miarą jest to, na ile zbliżam się do Boga, a mierzę to uczestnictwem w Eucharystii. Po takiej drodze czy rekolekcjach uczestnictwo w Eucharystii przeżywam głębiej. I to jest największy sens takich działań.

KOŚCIELNI TWARDZIELE

– To najbardziej zmienia Kościół w taki sposób, że kiedy jest inauguracyjna msza święta przed Ekstremalną Drogą Krzyżową, to nagle w kościele pojawiają się ci, których rzadko tam widać. I to w księżach budzi pewien entuzjazm. To jest siła rozwojowa do pracy z księżmi i parafiami – opowiada ks. Jacek Stryczek. – No i to jest też wymyślone trochę dla człowieka XXI w., który raczej nie chce słuchać długich kazań, ale chce być zaangażowany osobiście. Dlatego my nie mówimy, jak wygląda ciężka droga krzyżowa, tylko po prostu sam tego doświad-

czasz i przechodzisz. To działa. Dlaczego? Czasem myślę, że ta nasza religia jest taka trochę zakurzona – wiemy, że ktoś kiedyś coś zrobił i ktoś powiedział, że coś powiedział. Jednak czy nadal dobrze wiemy, o czym właściwie mówimy?

Dlatego Ekstremalna Droga Krzyżowa to doświadczenie nie tylko dla wiernych. Czerpią z niej także duchowni. W jednej z poprzednich edycji poszedł nuncjusz apostolski w Polsce – abp Celestino Migliore. – Najgłębszy sens tego nabożeństwa to odkrywanie znaczenia drogi, którą przeszedł kiedyś Jezus. Ekstremalne warunki przybliżają do tej pierwszej drogi krzyżowej, pozwalają budzić w sobie prawdziwe współodczuwanie z ludźmi, którzy doświadczają odrzucenia, chorób czy niesprawiedliwości – mówił wówczas abp Migliore.

– Ja się wyrwam z przestrzeni księży, którzy nie przylegają do świata, bo szukają przyjemnego i wygodnego życia, co piętnuje też papież Franciszek – mówi o. Jacek Wójtowicz, franciszkanin, który najpierw rozpowszechnił ideę EDK w Jasle, a potem, po przeniesieniu jej do Krosna, w nowym miejscu. – Ja się z tego stanu wyrwam. I nie przejmuję się tym, że różnie się na to patrzy w naszym środowisku duchownych. Napisałem niedawno na Facebooku, że Kościół nie jest dla mięczaków.

Ojciec Wójtowicz biega ultramaraton, zdobył Koronę Polskich Maratonów. – Jestem zakonnikiem, złożyłem śluby, ale jeszcze sobie to podkreślam poprzez wysiłek – opowiada „Do Rzeczy”. – A idea EDK nawiązuje do życia pierwszych chrześcijan. Niepewności jutra, prześladowań. Nie ma medali i dyplomów, tak jak po ukończeniu sportowego biegu. Za to można się przekonać, co jestem wart, kiedy zaczynają się ból i cierpienie. A to przychodzi po 20–30 km. Niektórzy przez komórkę wzywają znajomych z samochodem i zawracają. Inni przeczekają, odpoczną, idą dalej. Są to potem w stanie przenieść do codziennego życia – i potrafią zrobić to, co muszą zrobić, nawet gdy jest trudne. Ja też tak mam.

Ksiądz Jacek Stryczek 23 marca po raz 10. pójdzie ekstremalną drogą. Sam jak zawsze. – W tym roku planuję dojść do sanktuarium w Czernej – mówi. – Każdy powinien spróbować Ekstremalnej Drogi Krzyżowej. No co, pan nie da rady, panie redaktorze?

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Trasy i terminy Ekstremalnej Drogi Krzyżowej 2018, która odbędzie się w piątek 23 marca, można sprawdzić na stronie: www.edk.org.pl.

W związku z nieprawdziwymi informacjami zawartymi w artykule Wojciecha Wybranowskiego „Nietykalny z Izraela”, opublikowanym w tygodniku „Do Rzeczy” (10/2018) Instytut Pamięci Narodowej informuje, że Oddziałowe Biuro Badań Historycznych w Warszawie – po przeprowadzeniu pracochłonnej, kilkumiesięcznej kwerendy – w sierpniu 2017 r. udzieliło Urzędowi ds. Kombatantów i Osób Represjonowanych informacji nt. Barucha Schuba vel Shuba. W piśmie OBBH skierowanym do Urzędu ds. Kombatantów i Osób Represjonowanych zostało jednoznacznie stwierdzone: „Historycy nie mają wątpliwości, że oddział »Mstittel«, w którym służył Baruch Shub, uczestniczył w działaniach przeciwko strukturom AK oraz brał udział w zbrodniczej pacyfikacji wsi polskiej Koniucho 29 stycznia 1944 r.”.

OBBH w Warszawie poinformowało również UdsKiOR, że „wniosek p. Barucha o przyznanie statusu kombatanta i związanych z tym uprawnień wydaje się bezprzedmiotowy”, natomiast „wydaje się celowym przesłuchanie go w charakterze świadka do toczącego się śledztwa dot. zbrodni w Ko-

Oświadczenie IPN

niuchach, a także innych tego rodzaju wydarzeń i przekazanie o nim informacji organom litewskim, gdyż tam toczą się postępowania dotyczące zbrodni popełnionych przez partyzantkę sowiecką w latach 1943–1944 i sowieckie organy bezpieczeństwa 1944–1945, co do których Baruch Shub może posiadać istotne informacje”.

Pracownicy oddziału skupili się przede wszystkim na udzieleniu merytorycznej odpowiedzi w przedmiotowej sprawie, kierując je do Urzędu, który ją procedował. Przygotowanie odpowiedzi merytorycznych na tego rodzaju zapytania to przedmiot prac archiwistów i pracowników naukowych IPN. Pracownicy oddziałów nie mają obowiązku informować Centrali o każdej realizowanej kwerendzie. Sprawa ta nie była przedmiotem żadnych ogólnych decyzji ani naciśków.

Prawdą jest, że pracownicy zaangażowani w obsługę sprawy, solidnie wykonując swoje obowiązki, udzielając odpowiedzi wnioskodawcy, po wykonaniu żmudnej pracy archiwalnej mogli pomyśleć

dodatkowo o samodzielnym skierowaniu jej do Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu. Jednak trudno dopatrywać się w tym celowego zaniechania bądź ukrywania faktów. Wręcz przeciwnie: to efekty ich solidnej pracy uniemożliwiły uhonorowanie wnioskodawcy w sposób niezasadny prawami kombatanckimi z tytułu członkostwa w oddziale, który jest odpowiedzialny za sowieckie zbrodnie.

9 marca 2017 r. Oddziałowe Archiwum IPN w Warszawie poinformowało Urząd do spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych, że ws. Barucha Schuba odnaleziono „zapisy w bazie danych Międzynarodowej Służby Poszukiwawczej, ponadto zasugerowano zwrócenie się do Centralnego Archiwum Ministerstwa Obrony Federacji Rosyjskiej i Archiwum Akt Nowych.

Warto podkreślić, że pismo UdsKiOR, który zwrócił uwagę Prezesowi IPN na tę sprawę, zostało tego samego dnia przekazane do Głównej Komisji.

W odpowiedzi na wniosek dziennikarza o udzielenie

informacji publicznej zawierający pytania: „Dlaczego wyniki kwerendy nie zostały przekazane pionowi śledczemu IPN?” i „Jeżeli nie przekazano takich zawiadomień stronie litewskiej – dlaczego?” Dyrektor Generalna IPN odpowiedziała Wojciechowi Wybranowskiemu, że żądane przez niego informacje nie mają cech informacji publicznej w rozumieniu przepisów ustawy z dnia 6 września 2001 r. o dostępie do informacji publicznej.

Nieprawdziwe są insynuacje dotyczące Prezesa IPN dr. Jarosława Szarka, jakoby nie chciał udzielić Urzędowi ds. Kombatantów i Osób Represjonowanych informacji ws. Barucha Schuba vel Shuba, byłego członka sowieckich oddziałów leśnych. Sprawa Barucha Schuba nie była przedmiotem żadnych narad ani interwencji władz Instytutu. Tym bardziej nieprawdziwe i niedorzeczne są także jakiekolwiek sugestie, iż na bieżącej pracy Instytutu odbijają się wcześniejsze ataki różnych mediów na obecnego Prezesa IPN z okresu przesłuchań kandydatów na to stanowisko.

Instytut wypełnia na bieżąco wszystkie swoje zadania ustawowe niezależnie od skali napięć i sporów medialnych. ©©

Instytut tylko potwierdza moje ustalenia

Nader rzadko zdarza się, by państwowa instytucja w tak otwarty sposób potwierdzała dziennikarskie ustalenia wskazujące, że jej urzędnicy i władze nie dopełnili obowiązków. Ujawniłem, że historycy IPN sprawdzający na wniosek Urzędu ds. Kombatantów i Osób Represjonowanych przeszłość obywatela Izraela

Barucha Schuba odkryli, iż był on członkiem sowieckozydowskich oddziałów mordujących Polaków i Litwinów na Wileńszczyźnie. We wnioskach końcowych zalecili przekazanie sprawy Głównej Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu prowadzącej śledztwo w sprawie sowieckich zbrodni na

Wileńszczyźnie oraz władzom litewskim. Tak się nie stało.

Nie mniej bulwersująca jest próba zrzucenia odpowiedzialności za zaniechanie na szeregowych pracowników IPN, historyków, którzy dokonali kwerendy, a o jej wynikach poinformowali prezesa Instytutu. Szkoda, że władzom IPN zabrakło odwagi. Notabene również

szef Urzędu ds. Kombatantów i Osób Represjonowanych minister Jan Kasprzyk w rozmowie z „Do Rzeczy” zwrócił uwagę na to niepokojące zachowanie władz IPN, mówiąc, że skierował w tej sprawie pismo do prezesa Szarka, pytając o działania w sprawie Schuba, i nie doczekał się żadnej odpowiedzi. ©©

Wojciech Wybranowski

Sny ocalonych



Piotr Gociek

Berliński Żyd, niemieccy oprawcy, amerykańska obojętność i polskie doświadczenia – wszystko to tworzy intrygujący koktajl w powieści „Fuck America”

Edgar Hilsenrath

FOT. ULLSTEIN BILD/GETTY IMAGES

Książka Edgara Hilsenratha wylądowała w księgarniach w samym środku burzy, w chwili, gdy temperatura polsko-izraelskiego sporu o historyczne narracje jest najwyższa od dekad. Powiedziałbym nawet, że wydana oryginalnie niemal cztery dekady temu „Fuck America” jest wręcz katalogiem bolesnych tematów sporu, choć podanym w formie nieco groteskowej. Na pewno nie jest to tak odważna i tak przełomowa pozycja, jak podpowiada na okładce wydawca, ale padają w niej najważniejsze pytania o Holocaust, o pamięć o Holokauście oraz o odpowiedzialność i współudział. Odpowiedzi nie ma – to w końcu literatura, a nie przemówienie na wyborczy miting.

Hilsenrath to niemiecki Żyd urodzony w Halle, dziś tworzącym wspólny miejski organizm z Lipskiem. Na świat przyszedł w 1926 r. Po nocy kryształowej przeniósł się do Rumunii, dokładnie do miasta Seret w Bukowinie. Rodzina się rozdzieliła: ojciec salwował się ucieczką do Francji, matka z Edgarem trafili do getta zorganizowanego przez Niemców w ukraińskim

Mohylowie Podolskim. W 1944 r. getto zostało wyzwolone przez Sowietów, a Edgar z matką trafili wkrótce do Palestyny, później do Lyonu, gdzie odnaleźli dawno niewidzianego męża i ojca. Po czym wszyscy wyemigrowali do Ameryki, z której Hilsenrath wrócił do Niemiec na stałe w roku 1975.

OSOBISTE DOŚWIADCZENIA

Podaję tak wiele szczegółów biograficznych, bo przedstawiając je, opowiadam jednocześnie historię Jakoba Bronsky'ego, narratora „Fuck America”. Szkielet powieści, doświadczenia głównego bohatera – to wszystko wywiedzione jest z osobistych doświadczeń Hilsenratha, tyle że przykryte grubą warstwą czarnego humoru i przyprawione szczyptą skandalu. Chociaż napisana po niemiecku przez żyjącego dziś w Berlinie Żyda, jest to powieść mocno osadzona w jednej z linii amerykańskiej literatury: tej szorstkiej, celowo prowokującej, brutalnej, jak proza Charlesa Bukowskiego, a jednocześnie przypomina nieco słynną prowokację literacką Philipa Rotha, jaką był „Kompleks Portnoya”. Przybysze

stukający do bram Ameryki często wybierali tę formę przekazu, spójrzmy choćby na znaną także w Polsce beczelną powieść rosyjskiego emigranta Eduarda Limonowa „Ja, Ediczka”.

Emigrant Jakob Bronsky nie znajduje w Ameryce ulic wyłożonych złotem, nikt nie czeka tu na niego z otwartymi ramionami. Rodzina osiedla się w Kalifornii, on szlifuje bruki w Nowym Jorku, czepiając się dorywczych zajęć i fantazjując. Pracuje jako kelner, portier, wyprowadza psy na spacer, pcha wózki inwalidzkie z niepełnosprawnymi bogaczami, sam gnieźdząc się w tanich pokojach sublokatorskich lub nędznych hotelikach, często przymierając głodem. W emigranckich garkuchniach i klubach prowadzi dysputy z innymi ocalałymi – na wszelkie tematy, oprócz własnej przeszłości. Tę bowiem zachowuje dla powieści, którą pisze; powieści, która jest jego ocaleniem i przekleństwem jednocześnie. Literatura ma przynieść mu katharsis, pozwolić zmierzyć się z dawnymi traumami, ale jednocześnie przyczynia się do jego nędzy – nie szuka stałych zajęć, bo najważniejsze są godziny spędzone nad

brulionem, w którym pracowicie skleja kolejne rozdziały.

„Fuck America” pisana jest krótkimi scenami w stylu przypominającym nieco Vonneguta, narrator-bohater jest jednocześnie przedmiotem opowieści i jej złośliwym komentatorem. Jednocześnie czuć w niej mocno sowizdrzańską tradycję – Bronsky kontestuje amerykański sen, czyni to często językiem rubasznym oraz uciekając w obsceniczność. Ta ostatnia cecha to zresztą rzecz charakteryzująca pisarstwo Hilsenratha w ogóle.

Czytelnik ma zarazem do czynienia z przepełnioną fantazją żydowską gawędą – Bronsky nieustannie wyobraża sobie rozmaite rzeczy, prowadzi dysputy z postaciami, które zaimportował z rzeczywistości do środka swojej głowy. Śni na jawie o romansach z kobietami, które z racji pochodzenia i pozycji społecznej są poza jego zasięgiem, marzy o pisarskiej sławie i dostatku, którego miałaby mu dostarczyć. Czasem są to sny mordercze – tak jak wtedy, gdy rozważa zabicie emerytowanego amerykańskiego konsula generalnego w Niemczech.

LISTY

Od wymiany listów z owym konsulem, ale jeszcze przed II wojną światową, cała rzecz zresztą się zaczyna. Ojciec Jakoba Bronsky’ego, widząc narastającą w Niemczech falę nienawiści do Żydów, przerażony nocą kryształową, lękający się o los rodziny, ubiega się o zezwolenie na wyjazd do Ameryki. „Rządy wszystkich krajów na tej planecie mają głęboko gdzieś, czy tamci Was wszystkich zabiją, czy nie – odpowiada konsul listownie. – Mogę Panu powiedzieć, że w Ameryce mamy pod dostatkiem Was, żydowskich bękartów, którzy przepełniają nasze uniwersytety, wciskają się na czołowe stanowiska i zachowują coraz zuchwalej”. Oczywiście treść listów to szydercza kreacja autora – tak sobie to wszystko wyobraża Jakob Bronsky, ubarwiając fantazją także stanowisko swego ojca, który rzekomo miał argumentować w 1939 r., że boi się komór gazowych.

Groteska jako obrona, groteska jako metoda oswojenia rzeczy nazbyt przerażających, by opowiadać je na serio – Edgar Hilsenrath idzie znaną drogą. Czyż nie szedł nią choćby Stanisław Lem? Albo wspomniany Kurt Vonnegut? Bohater powieści „Fuck America” unika, jak może, konfrontacji z przeszłością, ucieka w rojenia o seksie, wymyśla niestworzone opowieści na swój temat, odwraca

kota ogonem. Tym mocniej brzmią jego oskarżenia tam, gdzie spośród morza blagi wyłaniają się wyspy rzeczywistości.

„Mieszkaliśmy w Polsce, w tej części kraju, która została wtedy zajęta nie przez Niemców, tylko przez Rosjan” – informuje pod koniec książki narrator. Po wkroczeniu Niemców nastoletni Jakob Bronsky, uciekający w głąb Związku Sowieckiego, cudem ocaleje z masowej egzekucji dokonanej przez oddziały SS i trafi do getta. W drodze powrotnej do Polski ścigany jest nie tylko przez niemieckich żołnierzy, lecz także przez ukraińską milicję. Z getta ucieka nocami w poszukiwaniu jedzenia. A wtedy bywa różnie – raz młody Jakob jest przeganiany przez pilnujących swego skromnego dobytku chłopów, innym razem dostaje od nich trochę zupy albo chleba. Czasem pada ofiarą łobuzów, którzy biją go, żeby zabrać pieniądze, kiedy indziej udaje się coś do jedzenia kupić albo zdobyć drogą wymiany.

WALKA O PRZETRWANIE

Z tych krótkich historii nie wyłania się ani idylliczny obraz szlachetnych Polaków ratujących Żydów za wszelką cenę, ani czarny obraz żydożerców współodpowiedzialnych za Holocaust. To raczej brutalna walka o przetrwanie, w której biorą udział wszyscy, a im biedniejsi, tym zacieklej walczą o tę odrobinę, którą w czasach pogardy posiadają. Jest to jednak opowieść mocno odległa od stronniczego skandalu na siłę, jakim były choćby „Malowany ptak” Jerzego Kosińskiego i cytatu z Hannah Arendt: „Kolaboranci wśród Polaków rekrutowali się z marginesu społecznego, mętów”. Zauważmy też, że książkowy Bronsky na prawdziwych polskich kolaborantów nie natyka się nigdy. Na mętów – owszem, czasami.

Powieść Hilsenratha nie będzie więc wygodna ani dla tych, którzy wybielają Niemców kosztem rzekomego systemowego udziału Polaków w Zagładzie, ani dla tych, którzy chcieliby, żeby obowiązującą wykładnią były słowa Szmula Zygielbojma, że „ludność polska udziela wszelkiej możliwej pomocy i współczucia dla Żydów”. Bliżej jesteśmy słynnego cytatu z Hannah Arendt: „Kolaboranci wśród Polaków rekrutowali się z marginesu społecznego, mętów”. Zauważmy też, że książkowy Bronsky na prawdziwych polskich kolaborantów nie natyka się nigdy. Na mętów – owszem, czasami.

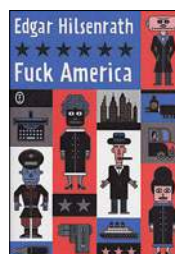
W powieści „Fuck America” po wielokroć Hilsenrath podkreśla rolę sprawcą Niemców. Jednak wściekłością darzy wszystkich. „W 1939 roku żaden kraj nie chciał nas przyjąć. Cały świat sprzysiągł się przeciw nam” – argumentuje. Po Holokauście Żydzi mają prawo do takich stwierdzeń.

Kiedy porównamy to literackie świadectwo ocalonego Żyda wywiedzione z rodzinnych przeżyć oraz rozmaite wypowiedzi niektórych współczesnych polskich publicystów czy nawet historyków, natychmiast ujrzymy, że w żadnym miejscu Hilsenrath nie był tak zapiekły w swej nienawiści do tego, co polskie, jak osobnicy reprezentujący ponoć polski punkt widzenia w polskich gazetach.

Zamykając opowieść o „Fuck America”, zauważyć chciałem jeszcze jedną ważną rzecz: gdy spojrzymy szerzej na twórczość jej autora, znajdziemy m.in. powieść „Baśń o myśli ostatniej”, w której człowiek, który cudem przeżył Holocaust, zamiast bronić wyjątkowości swego doświadczenia, opowiada ze smutkiem i współczuciem o ludobójstwie dokonanym na Ormianach przez Turków. Nie jest prawdą, jakoby wiek XX przyniósł cierpienie jedynie Żydom. Ta wielka machina Zagłady miała narody i grupy etniczne z nowoczesną, przemysłową, totalitarną bezwzględnością. Różne narody. Pod koniec „Baśni o myśli ostatniej” protagonista i antagonistą książki spierają się o to, czy mówić światu o tragedii Ormian. Ten ostatni jest absolutnie przeciw. „Szept martwych Ormian mógłby wyostać się poza granice kraju i być wszędzie słyszany. Mogłyby zacząć szeptać

inne szepczące głosy, także te, które nigdy nie miały odwagi szeptać głośno. Powstałby wielki szept, gdyby wszyscy, którzy byli ofiarami na tym świecie, zgłosili się nagle ze swymi szeptanymi skargami. Cały świat udusiłby się w ich szepcie. Do czego byśmy wtedy doszli?”. Zrozumiałe to słowa, gdy padają z ust przerażonego prawdą tureckiego ministra.

Patrzmy uważnie, kto dziś w imię pamięci o części tylko ofiar chce zabronić innym szeptania o ich własnych umarłych.



★★★★★
EDGAR
HILSENATH
„FUCK AMERICA”
WYDAWNICTWO
LITERACKIE 2018



★★★★★
EDGAR
HILSENATH
„BAŚŃ O MYŚLI
OSTATNIEJ”
KSIĄŻNICA 2005

Czyta Polska, ale czy ta



Krzysztof Masłoń

Czterdzieści cztery teksty złożyły się na zaproponowaną przez parę prezydencką – w stulecie odzyskania przez Polskę państwowości w roku 1918 – „Antologię Niepodległości”



Prezzydent Andrzej Duda wyraził nadzieję czy też życzenie, by były one czytane przez Polaków w ciągu tego roku obok wybranego do, tradycyjnego już, Narodowego Czytania „Przedwiośnia” Stefana Żeromskiego. Zanim antologia się ukazała, ledwie poinformowani zostaliśmy o jej zawartości, a już dokonany wybór został zakwestionowany w stosownych artykułach w „Gazecie Wyborczej”, „Newsweeku”, „Polityce” i na niezawodnym Onecie.

Pisarz Jacek Dehnel stwierdził np., że „jest to antologia tekstów niemal w zupełności dotyczących wojny i walki, niemal w zupełności napisanych przez polską szlachtę, z całkowitym pominięciem kobiet (oprócz dyżurnych Konopnickiej i Orzeszkowej) i właściwie zupełnie etnicznie polska”. Uf! Zacznę od końca. Trochę niezręcznie wypominać mi tutaj komuś rasizm, jako że ostatnio znów Salon wzięł mnie pod obcas, tym razem jako antysemitę. Jednak z jakiej to racji ocenia się proponowaną antologię pod kątem urodzenia jej autorów? I to, przypomnę, w sytuacji, w której całkiem niedawno Jarosław Marek Rymkiewicz, pisarz arcykowski, publicznie powiedział, że nie płynie w nim ani jedna kropla polskiej krwi? Po co więc te „etniczne” rachunki? I po co to „właściwie”? Jeśli zaś chodzi o to, dlaczego w antologii są autorzy polscy, to odpowiedzieć można tylko pytaniem na pytanie: A jacy być powinni? Kto o Polsce miał pisać, jeśli nie Polacy?

Eliza Szybowa, „polonistka i krytyczka” cytowana przez „Gazetę Wyborczą”, kręci nosem, bo – jej zdaniem – „Kanon prezydenckiej pary jest nudny, jak to kanon. Pełno w nim martwych, białych mężczyzn należących do szlachty i inteligencji”. Nieśmiało zakłóć ten wywód. A kto miał pisać o Polsce np. w wieku XVIII? Chłopsztwo? O ile mi wiadomo, jeszcze po II wojnie światowej walczoło z analfabetyzmem, a teraz – jak się zdaje – też mamy do czynienia z tym samym zjawiskiem, tyle że na innym pułapie, bo jest to analfabetyzm wtórny.

Najgłośniejszy krzyk dotyczy niedostatecznej obecności w antologii piszących kobiet. Profesor Przemysław Czapliński z Uniwersytetu Adama Mickiewicza w Poznaniu żartuje przy tym: „Jeśli już jakaś kobieta się pojawia, to tylko w dwóch wcieleniach, matki ojczyzny lub matki Polki. Polski patriotyzm jest męskocentryczny. Nie ma wśród utworów z listy ani jednego, który by zawierał jakiś najskromniejszy pomysł na dwupłciowość społeczeństwa”. No i znów się zapytam: A gdzie uczony mąż

FOT. MACIEJ LUCZNIK/REPORTER

z grodu nad Wartą widział takie utwory w skarbnicy literatury polskiego oświecenia czy romantyzmu? Jednak można było pełniejszą garścią zaczerpnąć z dorobku literackiego czasów nam bliższych – odpowie ktoś i nawet będzie miał nieco racji. Mnie też brakuje np. w „Antologii Niepodległości” Marii Dąbrowskiej, która w „Nocach i dniach” znakomicie przedstawiła żmudne dochodzenie zniewolonych Polaków do niepodległości właśnie. Jednak stosowanie płciowych parytetów na nic się tu nie zda. Owszem, mogłaby zaistnieć np. Zofia Kossak, tyle że jakoś dziwnie jestem pewny, że nie o tę pisarkę chodziło krytykom prezydenckiego wyboru.

Piotr Bratkowski z „Newsweeka” dopomina się o Różewicza, Gombrowicza i Mrożka, Konwickiego i Brzozowskiego. Ten ostatni, rzeczywiście, wzbogaciłby listę, na której roi się zresztą od wielkich nazwisk – od Piotra Skargi, przez Adama Mickiewicza, do Zbigniewa Herberta. Jednak, na razie, o rzeczowej krytyce i dyskusji nie ma mowy. Jest zbiorowy atak przeprowadzony pod hasłem: „Huzia na Józia”. Przepraszam, na Andrzeja.

Pretensje są oczywiście nie tylko o tych, których nie ma, lecz także o tych, którzy są

na liście. A jest tu m.in. Roman Dmowski z „Myślami nowoczesnego Polaka”, któremu przykleja się łatkę antysemitę, zapominając o jego fundamentalnej deklaracji wiary w polskość: „Jestem Polakiem – to znaczy, że należę do narodu polskiego na całym jego obszarze przez cały czas jego istnienia, zarówno dziś, jak w wiekach ubiegłych i w przyszłości”.

Czego się można było spodziewać, największe oburzenie budzi obecność w zestawie Wojciecha Wencła, któremu wypomina się napisanie wiersza o katastrofie smoleńskiej. Rymkiewicz, naturalnie, też jest z tego powodu źle widziany, ale że trudno zakwestionować jego pozycję literacką, główne uderzenie kierowane jest na Wencła. Nie zważa się przy tym na to, że nie te utwory przecież zostały wybrane do antologii, a zupełnie inne. Wencła reprezentuje np. „Epigonia” z tymi strofami:

*Moja muza jest siostrą nicości
mieszka w wieży z kości poległych
wieczorami zapala latarnię
odprowadza wzrokiem okręty
to są widma rozbitych statków
które tkwią zatopione w języku
a każdy ma rzeźbę na dziobie
Leopolis Sarmata Virtus.*

Wszystko jedno, co myślimy o poezji twórcy „Epigonii”, to ten akurat wiersz doskonale pasuje do antologii, która w stulecie odzyskania przez Polskę niepodległości mogłaby z pewnością być inna, ale tylko trochę. Nasze przywiązanie do polskości, a potem uporczywe, dramatyczne dążenie do przywrócenia życia Najjaśniejszej pokazują bowiem właśnie utwory poświęcone najczęściej walce i zmaganiom zbrojnym. Polska literatura jest patriotyczna i jest martyrologiczna. Kiedyś Maria Janion, zanim kojarzyła się nie tylko z – oczywiście jakże ożywczym – nurtem krytyki genderowej, sformułowała słynne zalecenie: „Do Europy tak, ale razem z naszymi umarłymi”. Wencel mówi „o wieży z kości poległych”.

Do prezydenckiej antologii można mieć pretensje głównie o to, że w ukryciu pozostają ci, którzy w największym stopniu zadecydowali o jej kształcie. Para prezydencka firmuje ten wyjątkowy zestaw literatury, ale ci, którzy podpowiadali, jakie tytuły mają w nim zaistnieć, a jakie nie, powinni być znani z imienia i nazwiska, a nie ukryci pod enigmatyczną formułą „znakomitych literaturoznawców”, którzy owych rekomendacji dokonywali.

REKLAMA

AN EVENING WITH

2CELLOS

THE SCORE TOUR

KONCERTY

18 MAJA 2018
ERGO ARENA GDAŃSK/SOPOT

19 MAJA 2018
TAURON ARENA KRAKÓW

BILETY: PRESTIGEMJM.COM, EBILET.PL, EMPIK

SCORE
COMING SOON
2CELLOS.COM

Prestige 10th Anniversary15th ClassicHilton
GDAŃSK

wprost

cgm.pl

RZECZY

trojmiasto.pl

GAZETA BANKOWA

Multikino

Gitarzysta

GOLD

Perkusista

empik

pap

PRESS

WP

VIXON

ams

Wspominałem już o tym, że osobiście brakuje mi w „Antologii Niepodległości” Marii Dąbrowskiej i Zofii Kossak. Nieswojo też czuję się z tym, że wśród tylu wielkich nazwisk zasłużonych dla tejże Niepodległości zabrakło Józefa Mackiewicza i Melchiora Wańkowicza. Mieściliby się w nurcie prezentowanym w antologii znakomicie.

Jednak jest, jak jest. Para prezydencka przedstawiła pewną ofertę. Kto nie zechce

z niej skorzystać, ten nie musi. To przecież nie podręcznik do szkół, nawet nie lektura nadobowiązkowa, a jedynie zachęta do sięgnięcia po słowa dla Polski i polskości ważne oraz najważniejsze. Wszczyna się jednak rejwach, obśmiewa inicjatorów „Antologii...”. Co udowadniając? – zapytam. Prezentując dokonany wybór pani prezydentowa powiedziała, że jest to „piękny, przekrojowy obraz naszej kultury

i literatury narodowej. Teraz, w XXI w, to właśnie nasza narodowa literatura jest źródłem naszej duchowej siły, a także najważniejszym spoiwem naszej wspólnoty”. Powiedziałbym: nasza literatura jest wielka i piękna, ale jej spajające wartości pozostają w sferze li tylko naszych marzeń. „To, co nas podzieliło, to już się nie sklei” – pisał Jarosław Marek Rymkiewicz. Miał stuprocentową rację.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Antologia Niepodległości:

- Józef Ignacy Kraszewski, „**Stara baśń**”, tom II, rozdz. 8.
- Anonim, „**Bogurodzica**”.
- Jan Kochanowski, „**Kto mi dał skrzydła, kto mię odział pióro...**” [w:] tegoż „**Pieśni**”, ks. I, nr 10.
- Mikołaj Sęp Szarzyński, „**Pieśń IV: O cnotcie szlachackiej**” [w:] tegoż „**Rytmy albo wiersze polskie**”.
- Piotr Skarga, „**Kazania sejmowe**”, [tu:] „**Kazanie wtóre: O miłości ku ojczyźnie i o pierwszej chorobie Rzeczypospolitej, która jest z nieżyłości ku ojczyźnie**” [fragment od słów: „Dwoje przedniejsze rozkazania, umierając Pan Jezus...” do słów „... zatonie, i z nim my sami poginiemy”].
- Jan Chryzostom Pasek, „**Pamiętniki**”, [fragment: „**Rok Pański 1683**”; od słów: „Tak i wiedeńska forteca...” do słów „nie zapomniawszy jeszcze łaźni, którą im anno 1673 sprawił pod Chocimiem nad Dniestrem”].
- Wespazjan Kochowski, „**Psalmodia polska**”, [tu:] „**Psalm XXVI: Pienie wdzięczności za zwycięstwo wiedeńskie**”.
- Szymon Starowolski, „**Lament utrapionej Korony Polskiej**” [od początku aż do fragmentu poetyckiego włącznie].
- Anonim, „**Odważny Polak na Marsowym Polu**” [pieśń konfederatów barskich].
- Ignacy Krasicki, „**Święta miłości kochanej ojczyzny**”.
- Franciszek Karpiński, „**Zale Sarmaty nad grobem Zygmunta Augusta, ostatniego**

polskiego króla z domu Jagiełłów”.

- Józef Wybicki, „**Pieśń Legionów Polskich we Włoszech**”.
- Cyprian Godebski, „**Wiersz do Legionów Polskich**” (1805).
- Aleksander Fredro, „**Trzy potrzy**” [od początku utworu do słów: „Jeden z nich tylko wrócił do Francji – i na własnej grzędzie pędził w niedostatku dnia starości i cierpienia. Napoleona już nie było”].
- Alojzy Feliński, „**Boże, coś Polskę**”.
- Adam Mickiewicz, „**Do matki Polki**”.
- Karol Boromeusz Hoffman, „**Wielki Tydzień Polaków, czyli opis pamiętnych wypadków w Warszawie od dnia 29 listopada do 5 grudnia 1830 r.**”, Warszawa 1830, [tu:] fragment o nocy belwederskiej, s. 23–32 (wyd. Warszawa 1915), [fragment od słów: „Dzień ten był 29 listopada 1830 roku...” do słów: „Dnia 30 Listopada około godziny 8-ej rano powitaliśmy jutrzienkę oswobodzenia Polski”].
- Adam Mickiewicz, „**Dziady cz. III**”, scena I [opowiadanie Sobolewskiego; fragment od słów: „Czy nie ma nowin z miasta...” do słów: „Nie tak świętą, ni wielką, lecz równie niewinną”].
- Adam Mickiewicz, „**Księgi narodu polskiego i pielgrzymstwa polskiego**”, wstęp, rozdz. I–III, VI.
- Adam Mickiewicz, „**Pan Tadeusz**”, ks. XII [koncert Jankiela; fragment od słów:

„Było cymbalistów wielu...”; do słów: „On, czapkę zdjawszy, wodza w rękę ucałował” (wersy 642–761)].

- Juliusz Słowacki, „**Grób Agamemnona**”.
- Zygmunt Krasiński, „**Psalm miłości**” [wersy: 1–179; 378–431] [w:] tegoż, „**Psalm przyszłości**”.
- Cyprian Kamil Norwid, „**Moja piosenka II**”.
- Eliza Orzeszkowa, „**Nad Niemnem**”, tom II, rozdz. IV [mogła powstać styczeń; fragment od słów: „– Proszę stanąć i naokoło spojrzeć – głosem cichszym niż zwykle rzekł Jan”; do słów: „... wiecznego pod ziemią gorzenia i wyrzucania na świat niewidzialnych iskiei?”].
- Adam Asnyk, „**Półki w narodzie myśli swobody żyje**”.
- Henryk Sienkiewicz, „**Potop**”, ks. II, rozdz. 14 [obrona Jasnej Góry].
- Maria Konopnicka, „**Pieśń o domu**”.
- Roman Dmowski, „**Myśli nowoczesnego Polaka**” [Wstęp].
- Stanisław Wyspiański, „**Wyzwolenie**” [modlitwa Konrada, akt II, fragment od wersu 1348: „Pamiętam, niegdyś wchodziłem...”; do wersu 1509: „... błogosław czyn i rzeszę!”].
- Józef Piłsudski, „**O wartości żołnierza Legionów, Lwów, 5 sierpnia 1923**”.
- Leopold Staff, „**Polsko, nie jesteś ty już niewolnicą!**”.
- Eugeniusz Małaczewski, „**Koń na wzgórzu**”, rozdz. IV.
- Jan Lechoń, „**Piłsudski**”.

- Stefan Żeromski, „**Przedwiośnie**” [fragment o „szklanych domach”; od słów: „Dłatego do Polski – mówił – że tam się zaczęła nowa cywilizacja”; do końca tego podrzaiału].
- Kazimierz Wierzyński, „**Zstęp, Duchu Mocy**”.
- Aleksander Kamiński, „**Kamienie na szaniec**”, rozdz.: „**Pod Arsenalem**”.
- Krzysztof Kamil Baczyński, „**Mazowsze**”.
- Czesław Miłosz, „**W Warszawie**”.
- Jan Paweł II, „**Homilia w czasie mszy św. na placu Zwycięstwa**” (Warszawa, 2 czerwca 1979 r.).
- Anonim, „**Postulat 22**” [pieśń strajkowa z sierpnia 1980 r.].
- Andrzej Kijowski, „**Co się zmieniło w świadomości polskiego intelektualisty po 13 grudnia 1981 roku?**” [fragment od słów: „Czuliśmy to latem 1980 roku, że dzieje się coś, czego dotychczas nie było...”; do słów: „... i kochał ten charakter w innych i w sobie samym”] [w:] tegoż, „**Rachunek naszych słabości**”.
- Zbigniew Herbert, „**Raport z obłązonego miasta**” [wiersz z tomu pod tym samym tytułem].
- Jarosław Marek Rymkiewicz, „**Rozmowy polskie latem 1983 roku**” [rozmowa z panią Żabką; fragment od słów: „pani jest ze wschodu, pani Żabko...”; do słów: „To Mickiewicz ją obraził”].
- Wojciech Wencel, „**Epigonia**” [wiersz z tomu pod tym samym tytułem].

Wyjście z domu niewoli?



FOT. MARCIN STEPEN/AGENDA GAZETA



Andrzej Horubała

Książka Mikołaja Grynberga „Księga wyjścia” to najciekawszy chyba element rocznicowych wydarzeń kulturalnych

Rozmowy z marcowymi emigrantami. Tymi młodszymi, którzy wzrastali już w komunistycznej Polsce. Z dzieciństwa pamiętają kamienie lecące w ich stronę, gdy w niedziele zmierzali do żydowskich szkół, pamiętają wyzwiska, gdy w polskich szkołach nie chodzili na religię, a na koloniach do kościoła na msze. Przytaczają napisy, jakie pojawiały się na ich drzwiach i klatkach schodowych: „Żyd kurwa, mieszkania 6”, „Tu mieszka hołota, Żydzi” czy na szkolnej ławce: „Tu siedzi parszywa żydówka, wyjeżdżaj do Palestyny!”. Wspominają bójki z rówieśnikami i upokorzenia ze strony katechetów czy obrazek, jak w 1968 r. „tata położył siekierę tuż przy wejściowych drzwiach”. Pamiętają też bogate kolonie TSKŻ sponsorowane przez Joint (American Jewish Joint Distribution Committee), gdzie można było najęść się za wszystkie czasy i nikt nie wyzywał od żydków.

DZIECI STALINISTÓW

Niechętnie opowiadają o zaangażowaniu ich rodziców w budowę komunizmu. Jeden nieporuszenie tego tematu stawia jako warunek sine qua non rozmowy, inni zatapiają temat w anegdotach lub gorzkich żartach.

Posłuchajmy dialogu Violi Wein z autorem:

„Ojciec był ubekiem do 1956, szczerze nie z tej ziemi – Adam Wein z Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego. On jeszcze żyje, ma sto lat. W 1956 zorientował się, że za dużo protokołów z przesłuchań podpisał. Możesz się domyślić, co się potem z tymi ludźmi działo.

– Co się działo?

– Nie bądź taki mądry. Każdy może się domyślić – komunizm był budowany!”.

Albo wspomnień Piotra Fejgina:

„To nie jest proste być synem jednego z trzech Żydów. Romkowski, Różański i Fejgin jeszcze w PRL-u zostali instrumentalnie uznani odpowiedzialnymi za berioowszczyznę w Polsce. [...] Dla dobra PZPR. Ojciec kiedyś nazwał to zjawisko

»parch pro toto«. Ponoć określenie się przyjęło”.

Ponure dzieje Józefa Krakowskiego, jednego z szefów UB, zostają skwitowane historyjką o tym, że odbił Moczarowi dziewczynę i jakoby sprowokował tym wybuch antysemityzmu i cały ten Marzec, „jak z mitu o pięknej Helenie, tyle że o pięknej Henryce”.

„Czułam – wspomina inna rozmówczyni Grynberga – że mamy uprzywilejowaną sytuację. Mieszkaliśmy w alei Przyjaciół, tata był posłem na Sejm...”.

Ta emigracja była rzeczywiście wyjątkowa. Jak pisze Dariusz Stola w precyzyjnym „Kraju bez wyjścia”: „Spośród 998 emigrantów rencistów aż 204 otrzymało przed wyjazdem renty specjalne za szczególne zasługi dla PRL. W żadnej fali emigracji z PRL nie było tak wielkiego udziału byłych członków aparatu władzy i establishmentu”.

Złowrogie postacie, nazwiska budzące przerażenie u polskich patriotów, instalowanie w naszym kraju nieludzkiego systemu, który 20 lat później wywołując antysemicką nagonkę, pożre własne dzieci i uderzający brak refleksji na ten temat u potomków stalinowskiej elity, korzystających z przywilejów nomenklatury. A przecież przy lekturze Grynberga gdzieś w tyle głowy wciąż brzmiały słowa mistrza Stefana Kisielewskiego z nieocenionego „Dziennika” (18 sierpnia 1968 r.): „Jak już się trafi Żyd głupi, to taki głupi, że aż hej! I potem się jeszcze dziwią, że za takiego jednego płaci stu. Są przecież narodem, a nie przyznają się do tego przed samymi sobą i dlatego okrutna odpowiedzialność zbiorowa tak ich potem zaskakuje i dziwi. Po wojnie mówiłem im tak: Jeśli czujesz się Żydem, to jedź do Palestyny, a jeśli czujesz się Polakiem, to nie daj się używać do budowania sowieckiego komunizmu. Nigdy mnie nie słuchali – i oto skutki! Żal mi ich, choć głupich trudno żałować”.

PRZEŁOM MARCOWY

No tak, z tym że – zgodnie ze strukturą społeczną emigracji marcowej – wielu spośród rozmówców to dzieci zwykłych rzemieślników, szarych obywateli niepretendujących do żadnych tam elit władzy, czasem nawet nieświadome żydowskich korzeni. Chronieni przez rodzinę, o swym pochodzeniu dowiadują się od przechodniów, kolegów z piaskownicy, szkolnej ławki, od fryzjera. Dociera do nich, że język, jakim porozumiewają się czasem rodzice, to – wbrew ich zapewnieniom –

żaden francuski, a nos, kształt powiek dla czujnych obserwatorów z Łodzi od dawna nie pozostawiała wątpliwości co do ich pochodzenia.

Czasami żartują z wyglądu: „Moja mama wyglądała jak Czech. Wiesz, nie jak jeden Żyd, ale »czech Żydów«”. Kolejny rozmówca: „Miałem bardzo antysemicką urodę. [...] Byłem blondynem”.

Dużo opowiadają o świadomości, kto Żyd, a kto nie Żyd. O maskowaniu i rozpoznawaniu się. O ludziach, którzy do sześćdziesiątego ósmego – czasem wbrew doskonale zorientowanemu otoczeniu – nie wiedzieli o swym pochodzeniu. „To Marzec zrobił ze mnie Żyda” – mówi jeden z bohaterów książki, odtwarzając, jak wypierał ze swej świadomości ewidentne znaki przynależności.

Ktoś wspomina krewnego do końca ukrywającego przed wszystkimi, nawet przed własnymi dziećmi, żydowską tożsamość: „Jak wujek umarł, to jego żona obróciła mu kalessony tył na przód. Że niby przez pomyłkę, ale rozporek miał być z tyłu, żeby kiedy będą go ubierać, nie zauważyli, że jest obrzezany”.

Kisiel powiedział: Jeśli czujesz się Żydem, to jedź do Palestyny, a jeśli czujesz się Polakiem, to nie daj się używać do budowania sowieckiego komunizmu

Porażające losy polskich Żydów, traumy i wielkie obszary tabu. Dotyczące Zagłady, dotyczące stalinizmu. W roli ofiar i w roli oprawców. I oto przychodzi Marzec, i z nich wszystkich robi Żydom. Nieodwołalnie, bez jakichkolwiek wątpliwości, jednoznacznie, wyłącznie.

Grynberg detalicznie odtwarza wyrzucanie z pracy, ze studiów, notuje ich rozmowy z przełożonymi, urzędnikami. Cierpliwie rejestruje szczegóły związane z pozostawianiem mieszkań wraz z odwiedzinami przyszłych lokatorów i ich pretensjami dotyczącymi pożydowskiego wkrótce mienia („pani narzekała, że łazienka jest za mała”), rekonstruuje listę zakazanych przedmiotów, których nie wolno wywieźć z kraju, przywołuje fenomen liftów, czyli drewnianych skrzyń zbijanych na miarę na zabierany dobytek... Utrwała

różne zachowania tych, którzy pozostają. Lęk znajomych przed pożegnaniami na Dworcu Gdańskim albo przeciwnie – głośne rozstania, oddalanie się w oparach wódki, w kompletnym pomieszanui.

Dramaty starych rodziców: zbyt starych i niedołężnych, by podjąć trud i niepewność emigracji, albo też tych, którzy wbrew wiekowi wkraczają na drogi wygnania. Szczucie propagandy, szczucie sąsiadów, nagły mur niechęci i pustka. Ale także inne postawy: Żydzi, którzy zostają – bagatelizujący polski antysemityzm, liczący, że to wzmożenie minie i jakoś da się żyć w PRL. Jedni swe pozostanie wiążą z misją – walki o lepszą Polskę, solidarni z wciąż więzionymi liderami protestu, inni obarczeni są obowiązkami wobec najbliższych, tak jak wyłaniająca się ze wstrząsającego finału jednej z rozmów matka niepełnosprawnej córki wychowywanej w tajemnicy przed rodzeństwem w zamkniętym ośrodku. Wiele, wiele sekretów, które nagle ujawnione przez Marzec wywracają bohaterom życie i każą przewartościować cały swój świat.

Próby przyjaźni, próby miłości.

Przenosząc wywiady na papier, Grynberg dba o stylistyczne zróżnicowanie wypowiedzi. Ekspozuje wybuchowy charakter jednych rozmówców, oddaje rzeczowość innych, pozostawia obszary nieciągłości, językowe potknięcia. Pokazuje kapitalnie ekspansywną żywiołość Perły Kacman reprezentującej tych, którzy zostali, rozwibrowanie Violi Wein, stanowczość Anny Frajlich-Zajac („Zawsze byłam Polką. W sensie kulturowym nie mam innej tożsamości. Ale Polska nie jest moją ojczyzną, moją ojczyzną jest język polski”) czy pyszną nonszalancję Lidii Zajac (Co ma do powiedzenia Polsce? „Thank you, fuck you very much”).

MARZEC BEZ KOŃCA

Jego książka nie zmierza ku jakiemuś jednoznacznemu uogólnieniu. Z otchłani smutku, żalu i złości wyłaniają się czasem buńczuczne deklaracje o emigracji jako wykorzystanej wielkiej szansie samorealizacji czy pochwały Izraela bądź judaizmu jako właściwych, wreszcie odnalezionych portów.

Dwadzieścia siedem wywiadów, w tym dwa (szkoda, że tak mało!) z ludźmi, którzy zostali, przeplatanych jest krótkimi fragmentami rozmowy autora z ojcem. Niewiele może ona wnosić do samego dzieła, ale pokazuje autora (rocznik 1966) jako jednego z bohaterów

marcowych zawirowań i współnosiciela traumy.

Ale przecież Grynbergowie i bez tego pojawiają się w rozmowach z emigrantami. Część z nich to przyjaciele rodziny, znajomi i znajomi znajomych. Widać, jak przekazują sobie autora w sztafecie, jak dzięki poleceniom, rekomendacjom Mikołaj zyskuje ich zaufanie i skłania do zwierzeń. Inna jest w tych rozmowach temperatura niż w wydanych dziesięć lat wcześniej relacjach spisanych przez Tereję Torańską w książce „Jesteśmy. Rozstania '68”. Bo i bohaterowie starsi o dekadę. Podsumowują swe życie, opowiadają o straconych złudzeniach, szerzej otwierają się na młodszego interlokutora.

Oczywiście, opowieści przepuszczane są przez filtry zbiorowych narracji, publicystycznych ujęć, ideologicznych uogólnień. Rozmówcy nawet nieświadomie korzystają z matrycy, chętnie wiktyimizują siebie, ale też zagłuszają wątki, które mogłyby służyć narracji antysemitkiej. Kontrolują się przecież, wiedzą, że niby rozmawiają jak Żyd z Żydem, ale rozmowa ta będzie sprawą publiczną. Mimo to pełno tu intrygujących wspomnień, soczystych anegdot, ale też zapoznanych spraw: bogactwo życia kulturalnego polskich Żydów przed 1968 r., niespodziewane dla mnie świadectwa jawnego kultywowania – rozwodnionego, ale jednak! – judaizmu przez komunistycznych aparatczyków, posyłających służbowe auta po mace na święto Pesach, obrazy przepychanek między dawnymi kumplami z MBP.

„Księga wyjścia”, choć pokaźna, bo licząca 400 stron, pozostawia pewien niedosyt. Grynberg wciąż mający w zanadrzu serię pytań wytrychów (kim się czujesz – polskim Żydem? Polakiem o żydowskich korzeniach?) zdaje się nie pozwalać swoim bohaterom na samodzielne rozwinięcie refleksji na temat powikłanego żydowskiego losu i żydowskiej specyfiki. No tak, ale to zastrzeżenie płynie z ciekawości rozbudzonej przedstawionymi losami, na dopełnienie przyjdzie może czas przy okazji następnej książki, bo autor najwyraźniej zasmakował w odtwarzaniu splecionych dziejów swych ziomków.

Puentą książki jest kolejny fragment rozmowy autora z ojcem i pytanie, kiedy skończył się Marzec. Odpowiedź, że „jeszcze się nie skończył”, brzmi efektywnie i robi za mocną kodę, ale jednocześnie przecież taki prezentyzm stanowi zagrożenie dla jubileuszowych narracji. Ale o nich – przy kolejnej okazji. © Wszelkie prawa zastrzeżone



ALEX KAVA

POWRACA

Z PREQUELEM CYKLU
O MAGGIE O'DELL

ALEX KAVA

PREZEMNAK ZŁA

Harper Collins

Książkę
w promocyjnej cenie
oraz gadżety
z autografem
znajdziesz na
www.alex-kava.pl



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

WIESŁAW
CHĘĆMINIAK

PRAWDA CZASU, MAGIA EKRANU

Całe życie primadonny

Tylko źle zaśpiewana opera jest nudna – twierdziła Maria Callas. Film o „primadonnie stulecia” nudny nie jest, choć potwierdza stereotyp o samotności ludzi, którzy zanadto wyrastają ponad przeciętność. Kariera to potwór, karmiący się potem, łzami i krwią. Wielcy artyści z definicji szczęśliwi być nie mogą.

Genialne dzieci nader często są ofiarami wybujałych ambicji rodziców. Poddane morderczej tresurze, zazdroszczą pozbawionym talentu rówieśnikom.

Wiecej serca niż własna matka okazywała Marii nauczycielka śpiewu, Elvira de Hidalgo. Szczere listy, które – gdy była już sławna – pisała do Hiszpanki, są dobrym kontrpunktem dla załganych, oficjalnych komunikatów, maskującego makijażu i przyklejonego do

twarzy uśmiechu. Kiedy Callas mogła już o sobie sama decydować, ta przepaść jeszcze się pogłębiła. Na scenie szła od sukcesu do triumfu, w życiu prywatnym – od porażki do katastrofy.

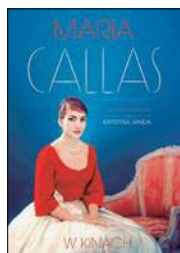
Nie miała szczęścia do mężczyzn, którzy kochali, bo kochali nie ją, ale jej sławę. Dla męża Maria była maszynką do zarabiania pieniędzy, dla Onasisa – trofeum. Gdy na widnokręgu pojawiła się bardziej atrakcyjna zdobycz (ciepła wdówka po prezydencie USA), miliarder nie wahał się długo. O zakończeniu związku diwa dowiedziała się z gazet.

Kluczowe są słowa, które padają zaraz na początku filmu: „Chciałabym być Marią, lecz muszę sprostać Callas”. Gwiazda belcanto często mówi o przeznaczeniu, żałuje, że macierzyństwo i założenie

nie normalnej, szczęśliwej rodziny nie były jej pisane. W ten sposób trafiamy do świata greckiej tragedii i zaczynamy rozumieć, dlaczego panna Kalogeropoulou (takie było prawdziwe nazwisko primadonny) najlepiej czuła się w repertuarze dramatycznym. Od dziecka uczona perfekcjonizmu i samokontroli, lecz obdarzona południowym temperamentem, spalała się na scenie i poza nią. Zapłaciła za to najwyższą cenę: kobiety w kwiecie wieku rzadko umierają na zawał.

Film, utrzymany w stylistyce vintage, składa się z fragmentów wywiadów i występów. Listy do Elviry czyta Krystyna Janda (niepotrzebny dysonans). Rzecz jest zrobiona z taktem, autor zamiast narzucać swoją wizję, poprzestaje na sugestiiach. Uważni i tak dostrzegą, że bohaterka gra nie tylko w godzinach pracy, bywa kapryśna i pretensjonalna. O wadach boskiej Callas zapomina się jednak natychmiast, gdy zaczyna śpiewać arie z „Normy”, „Toski” czy „Carmen”. Szczęśliwi, którzy mogli podziwiać ten cud na żywo.

Film oglądałem w kinie w centrum Warszawy. W sali była garstka widzów w wieku emerytalnym. Dobrze, że Bogusław Kaczyński tego nie doczekał. ©



★★★★★
REŻ. TOM VOLF
„MARIA CALLAS”
(„MARIA
BY CALLAS”)
FRANCJA 2018



KINOWA PREMIERA TYGODNIA: „PACIFIC RIM: REBELIA”

„Pacific Rim” był jednym z największych kasowych hitów roku 2013 (ponad 400 mln dol. wpływów z biletów), ciąg dalszy był więc tylko kwestią czasu. Nowy film wyreżyserował Steven S. DeKnight, wcześniej znany jako producent i reżyser telewizyjny. Guillermo del Toro, twórca oryginału, zajął się tymczasem „Kształtem

wody”. Reszta bez zmian: potężne maszyny w walce z potworami (kaijū) dokonującymi inwazji na nasz świat. © © Piotr Gociak

• „Pacific Rim: Rebelia” („Pacific Rim Uprising”), reż. Steven S. DeKnight, wyst. John Boyega, Scott Eastwood, Rinko Kikuchi, Cailee Spaeny, USA 2018

DO KIN WCHODZĄ TAKŻE:

- „Daddy Cool”, reż. Maxime Govare, Francja 2017
- „Wieża. Jasny dzień”, reż. Jagoda Szczęś, Polska 2017
- „Traktorek Florek – nowe przygody” („Gråtass gir gass”), reż. Næss Peder Hamdahl, Norwegia 2016

Pani już dziękujemy

Porzućcie wszelką nadzieję, wy, którzy mniemaliście, że sport uszlachetnia. Jest wręcz przeciwnie. Uleganie pokusie fizycznej aktywności to prosta droga do moralnego bankructwa (o kontuzjach nie wspominając).

Kino, późno, bo późno, jęło wreszcie dokumentować przypadki upadłych sportowców. Po kolarzu Armstrongu, który nie dość, że sam jechał na koksie, to jeszcze nakłaniał do tego kolegów, przyszła pora na łyżwiarkę figurową Harding. O ile Lance długo uchodził za anioła, o tyle Tonya miała opinię diablicy, zanim jeszcze została oskarżona o zlecenie napadu, który omal nie uczynił z jej największej rywalki kaleki.

Wbrew medialnym doniesieniom fabuła wcale nie trzyma się jedynie na brawurowych kreacjach Margot Robbie i Allison Janney. Inni też dali radę. Podziwiam zwłaszcza ludzi, którzy skierowali do produkcji przewrotny i cokolwiek obrazoburczy scenariusz. W Hollywood taka odwaga rzadko popłaca.

Z filmu wynika, że obłudny i skorumpowany system z ulgą wypuścił dziewczę wywodzące się z marginesu. Harding wulgarna i obarczona patologiczną rodziną, naruszała uświęconą tradycją wizerunek wirujących na lodzie elfów i księżniczek. Tak to już jest w życiu. Nie dla psa kiełbasa, nie dla plebsu medale. ©©

Wiesław Chelminiak



★★★★★
REŻ. CRAIG GILLESPIE
„JESTEM NAJLEPSZA. JA, TONYA”
USA 2017

wyst. Margot Robbie,
Allison Janney,
Sebastian Stan



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

SIEDEM TWARZY NOOMI

Przeludniona Ziemia przyszłości sięga po radykalne rozwiązanie: każda rodzina może posiadać tylko jedno dziecko, nadprogramowe trafiają do komór hibernacyjnych. Oczywiście znajdują się dysydenci, jeden z nich (Willem Dafoe) ukrywa przed światem siedem córek bliźniaczek. Ciekawy pomysł na opowieść o tym, jak zupełnie różne siostry (we wszystkich rolach Noomi Rapace) próbują przechrzyć system (każda dzięki własnym talentom), zamienia się jednak w nużącą strzelaninę-bieganinę. Nic się tu nie zgadza, a im bardziej twórcy próbują grać na naszych emocjach (mnożąc ofiary), tym bardziej ta antyutopia staje się irytująca. Szlachetne przesłanie nie ratuje całości. Co do głównego pomysłu polecam sprawdzić, jak z podobną historią poradził sobie Philip José Farmer w świetnym opowiadaniu „Tyłko we wtorek” (antologia „Kroki w nieznanne”), o świecie, w którym z powodu przeludnienia każdy może żyć tylko przez jeden dzień tygodnia, resztę czasu spędzając w hibernacji. ©©



★★★★★
REŻ. TOMMY WIRKOLA
„SIEDEM SIÓSTR”
WIELKA BRYTANIA/ BELGIA 2017,
MONOLITH

wyst. Noomi Rapace, Willem Dafoe,
Glenn Close

„GŁĘBOKIE GARDŁO” OPOWIADA

Historia znana z głośnego filmu „Wszyscy ludzie prezydenta”, tyle że opowiedziana z zupełnie innego punktu widzenia. W oscarowym filmie Pakuli oglądaliśmy, jak dziennikarze rozpracowują aferę Watergate. Tutaj głównym bohaterem jest ich informator – urzędnik FBI, kryjący się pod pseudonimem Głębokie Gardło. Liam Neeson w tej roli przypomina, że jest aktorem lepszym, niż pokazywał to ostatnio w rozmaitych sensacyjnych rąbaniach. Jego Mark Felt to postać do końca niejednoznaczna. Dlaczego właściwie ujawnił machlojki Białego Domu z czasów Nixona? Była to zemsta za brak spodziewanej nominacji na szefa FBI po śmierci Hoovera? Urażona duma? Czy rzeczywiście troska o dobre imię FBI i sprzeciw wobec brudnych metod, po które sięgnął najważniejszy polityk w USA? Dobry przykład skromnej, opartej głównie na dialogach produkcji, która trzyma w napięciu niczym „House of Cards”. ©© **recenzuje Piotr Gociek**



★★★★★
REŻ. PETER LANDESMAN
„TAJNE ŹRÓDŁO”
USA 2017,
MONOLITH

wyst. Liam Neeson, Diane Lane,
Marton Csokas

GRA TYGODNIA: „BALDUR'S GATE: SIEGE OF DRAGONSPEAR”

Podrasowana graficznie saga RPG spod znaku Baldur's Gate zadebiutowała na urządzeniach mobilnych ponad pięć lat temu. Klasyka w wersji na tablety zachowała zaskakująco dużo świeżości, pomimo przemodelowania systemu sterowania. Dzięki dodatkowym zadaniom dała również

pretekst do ponownej wizyty w świecie „Lochów i Smoków” tym graczom, który ukończyli klasyczne tytuły na pecetach. „Siege of Dragonspear” to pod tym względem nie lada gratka, ponieważ tym razem otrzymujemy całkowicie nową produkcję. Jej akcja rozgrywa się pomiędzy pierwszą



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

a drugą częścią oryginalnego Baldura. Dla fanów pozycja obowiązkowa. ©© **Marcin Makowski**

- **Gatunek:** RPG
- **Platforma:** iOS
- **Producent, dystrybutor:** Overhaul Games/Atari
- **Klasyfikacja wiekowa PEGI:** 16+

KRZYSZTOF
MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Jej państwo w państwie

Poznański Zysk wznowił sławne „Pamiętniki” autorstwa Semiramidy Północy, jak Wolter nazwał ich autorkę – carycę rosyjską Katarzynę II. Urodziła się w 1729 r. w Szczecinie jako córka księcia Christiana Augusta von Anhalt-Zerbsta z dynastii askańskiej i Joanny Elżbiety z dynastii holsztyńskiej. Miała 16 lat, gdy w Petersburgu przeszła na prawosławie, z Zofii Fryderyki Augusty stała się Katarzyną i poślubiła księcia Piotra Ulryka, późniejszego cara Piotra III. Był on, jak pisał we wstępie do „Pamiętników” Aleksander Hercen, „największym głupcem epoki”. W 1762 r., po nietrwającym nawet pół roku jego panowaniu, nastąpił zamach stanu, car został zamordowany, a rządy po nim – już samodzielne – objęła Katarzyna nazwana Wielką. Władowała Rosją od 1762 do 1796 r.

W Polsce z racji jej – powiedzmy – nadaktywności, która doprowadziła do upadku państwowości polskiej i rozbioru naszej ojczyzny, ma jak najgorszą opinię. W przeciwieństwie np. do Francji, gdzie szaleli za nią filozofowie i uczeni, hojnie zresztą przez nią dofinansowywani, tacy jak Diderot. My wyliczamy jej licznych kochanków, wytykamy, jak najślusniej zresztą, bezwzględność graniczącą z okrucieństwem i nasyłanie do Polski ambasadorów, którzy poczynali sobie u nas jak na własnym folwarku. Upokarzał nas też nasz ostatni król, Stanisław August Poniatowski – wiecznie w roli petenta, wieszający się u kłamki carycy, niegdyś jej kochanek, trzy lata od niej młodszy, zresztą ojciec jej córki Anny, która przeżyła ledwie półtora roku.

A jednak, po lekturze „Pamiętników”, patrzymy na Katarzynę nieco inaczej. Przynajmniej na młodą Katarzynę. Jej sytuacja po przybyciu do Petersburga była bowiem koszmarna. Z jednej strony – pisał Aleksander Hercen – przyjechała



FOT. WIKIPEDIA

z nią „jej matka, jędzowata, przewrotna, pedantyczna, nieszczędząca jej policzków i przywłaszczająca sobie jej nowe suknie; z drugiej była imperatorowa Elżbieta, wrzaskliwa megiera, prymitywna, cały czas na rauszu, zazdrosna, zawistna, śledząca każdy krok młodej księżniczki, żądająca informacji o każdym jej słowie, wciąż pełna podejrzeń.

Młoda caryca uwięziona w pałacu, nie odważa się niczego zrobić bez pozwolenia. Kiedy opłakuje śmierć ojca, cesarzowa każe jej przekazać, że już dosyć, »że ojciec nie był królem, żeby go przez tydzień opłakiwać«. Kiedy okazuje przyjaźń którejś z przydzielonych jej dam dworu, może być pewna, że ją zabią. Kiedy przywiązuje się do jakiegoś wiernego sługi, jest bardziej niż pewne, że go wyrzucą”.

A jej małżonek, przyszły Piotr III? „Już od dziesiątego roku życia – wspominała go Katarzyna – okazywał skłonność do picia. Zmuszano go do udziału w wielu reprezentacyjnych uroczystościach, nie spuszczano z oka dzień i noc. W dzieciństwie

i w pierwszych latach pobytu w Rosji lubił tylko dwóch starych kamerdynerów. Cała reszta księcia nie znosiła, a jeszcze bardziej jego otoczenia”.

Kontakty Katarzyny z jej małżonkiem – oburza się Hercen – są potworne, poniżające. On opowiada jej o swoich miłosnych intrygach. Którejś nocy, zamroczony winem, przychodzi opowiedzieć swojej żonie o wdziękach i urokach innej, a ponieważ Katarzyna udaje, że śpi, wymierza jej cios pięścią, by się obudziła. „Ten cham – czytamy – trzyma obok sypialni żony sfórę psów, które zatrują powietrze, a w swojej sypialni wiesza – według zasad kodeksu wojskowego – szczury, aby je ukarać”.

„Pamiętniki Katarzyny II jej własną ręką spisane” od swojego pierwszego wydania cieszyły się niesłabnącym zainteresowaniem czytelników. Także w Polsce; choć od poprzednich edycji minęło ponad 20 lat. Czyta się też je znakomicie, o ile oczywiście nie będzie zbyt nas drażniła maniera wyszukiwania wad i słabości dosłownie u wszystkich przy całkowitym wybielaniu siebie. Jednak świat przedstawiany przez Katarzynę jest tak fascynujący czy raczej zdumiewający, że rekompensuje to niewątpliwą megalomanią autorki. A najbardziej chyba dziwi nas to samo, co tyle lat wcześniej piszącego wstęp do „Pamiętników” Aleksandra Hercena – że w tym dziele nigdzie nie pojawiają się Rosja i naród. Jest dwór i co się na nim dzieje, jest państwo w państwie. „Za potrojną linią straży – czytamy – w bogato zdobionych salonach wrzało gorączkowe życie, pełne intryg i walk, dramatów i tragedii. To tam, w mroku alkowy, w ferworze orgii, z dala od donosicieli i policji decydowano o losach Rosji”. I nic dziwnego, że to musiało się skończyć tak, jak się skończyło. ©



★★★★★
„PAMIĘTNIKI
CESARZOWEJ
KATARZYNIE II
JEJ WŁASNĄ RĘKĄ
SPISANE”
ZYSK I S-KA 2018



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Pan od nieskończoności

Kilka dni przed śmiercią Stephena Hawkinga znów było o nim głośno – w popularnonaukowym talk-show „Star Talk” przystępnie objaśniał widzom, co jego zdaniem wydarzyło się przed Wielkim Wybuchem. Kilka miesięcy wcześniej ukazała się jego najnowsza książka, napisana wraz z Leonardem Mlodinowem. W „The Grand Desing” („Wielki projekt”) przekonywał, że Pan Bóg nie był potrzebny do stworzenia Wszechświata, bo jego powstanie było naturalną konsekwencją praw fizyki. Książkę omawiały na całym świecie popularne dzienniki i tygodniki. Demonstracyjny ateizm nie zamknął mu drogi do Watykanu – był tam gościem od 1981 r. Podczas ostatniej audycji u Ojca Świętego, Franciszka, usłyszał ciepłe podziękowania za udział w pracach Papieskiej Akademii Nauk. Cały Hawking – największy celebryta nauki od czasów Alberta Einsteina.

Zmarł 14 marca w wieku 76 lat, z czego pół wieku przeżył na pożyczonym czasie, bo nikt nie spodziewał się, że zdiagnozowane, gdy miał 22 lata, stwardnienie zanikowe boczne pozwoli mu dożyć trzydziestki. Zostały po nim intrygujące prace

naukowe, świetne książki popularnonaukowe i gościnne występy w serialach (od „Star Trek: Następne pokolenie” do sitcomu „Teoria wielkiego podrywu”). No i oczywiście filmowe biografie, z których najgłośniejszą była „Teoria wszystkiego” nominowana w pięciu kategoriach do Oscara. Statuetkę zdobył wcielający się w jego rolę Eddie Redmayne.

Jego książki były w Polsce ostatnio regularnie wznowiane. Także te najśłynniejsze: „Krótka historia czasu” i „Czarne dziury”. Najłatwiej je znaleźć jako e-booki. Tych, którzy nie chcieliby poprzestać na fizyce, odsyłam do antykwariatów na poszukiwanie świetnej „Podróży ku nieskończoności” autorstwa Jane Hawking, jego pierwszej żony. To nie tylko wspomnienie życia z geniuszem, lecz także protokół rozbieżności, przede wszystkim w kwestii wiary. W 1973 r. oboje odwiedzili PRL. „Polska, którą zobaczyliśmy w 1973 roku, była smutnym, zniszczonym przez Niemców i zdominowanym przez Rosjan krajem. [...] Z każdej strony sprawiała wrażenie kraju czującego się źle z samym sobą, rozdartego między starym i nowym, Wschodem i Zachodem” – zanotowała Jane. © ©

(Czytaj też na str. 86)



★★★★★
STEPHEN HAWKING
„KRÓTKA HISTORIA CZASU”
ZYSK I S-KA 2015



★★★★★
JANE HAWKING
„PODRÓŻ KU NIESKOŃCZONOŚCI”
ŚWIAT KSIĄŻKI 2013

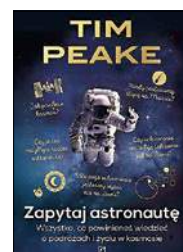
NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Biografia ks. Kaczkowskiego, zmarłego na raka twórcy hospicjum w Pucku, kapłana, którego przesłania i komentarze stały się w ostatnich latach fenomenem tyleż popularnym, co nieopisanym. Kim był „onkocelebryta”?



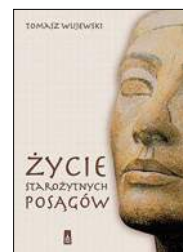
PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI
„JAN KACZKOWSKI. ŻYCIE POD PRĄD”
WAM

Ciekawscy pytają, a odpowiada brytyjski kosmonauta, który dwukrotnie pracował na Międzynarodowej Stacji Kosmicznej. Zabawne i fascynujące vademe-cum – poczytajcie choćby o kosmicznych kłopotach z... naskórkim.



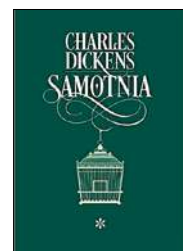
TIM PEAKE
„ZAPYTAJ ASTRONAUTĘ”
WYDAWNICTWO KOBIECE

Świetne wprowadzenie w temat – jak powstawały słynne rzeźby, jakie było ich znaczenie, co się działo z nimi przez stulecia. Więcej niż podręcznik – owoc wielkiej miłości do tematu, przykład, jak po nowemu popularyzować historię.



TOMASZ WUJEWSKI
„ŻYCIE STAROŻYTNÝCH POSĄGÓW”
WYDAWNICTWO POZNAŃSKIE

Wznowienie monumentalnej, klasycznej powieści Dickensa, uznawanej przez wielu za jego największe osiągnięcie. Szeroka panorama Anglii w pierwszej połowie XIX stulecia, z naciskiem na praktyki wymiaru (nie)sprawiedliwości. © © **poleca Piotr Gociek**



CHARLES DICKENS
„SAMOTNIA”, TOMY 1-2
ZYSK I S-KA

BESTSELLERY KSIĄŻKOWE:

- E.L. James „Mroczniej”** (Sonia Draga) – przy takiej popularności ciąg dalszy musiał nastąpić – historia Anastasii i Christiana, tym razem z jego punktu widzenia.
- Remigiusz Mróz „Nieodnaleziona”** (Filia) – ukochana Damiana pojawia się 10 lat po zaginięciu. Kto stoi za tą zagadką?
- E.L. James „Nowe oblicze Greya”** (Sonia Draga) – jak zawsze premiera nowej części cyklu wspomaga sprzedaż poprzednich – w tym przypadku tomu 3.
- Bernadette McDonald „Kurtyka. Sztuka wolności”** (Agora) – mody na biografie himalaistów ciąg dalszy, tym razem o unikalnym rozgłosu Wójtku Kurtyce.
- A.J. Finn „Kobieta w oknie”** (W.A.B.) – thriller, współczesna wariacja w duchu „Okna na podwórze”, kolejna próba wykreowania nowej „Dziewczyny z pociągu”.

(Najchętniej kupowane książki w sieci księgarskiej Bookszpan)



KONTRA/BASEM

Polski jazz w Bremie

Tym, czym dla filmowców jest festiwal w Cannes, dla miłośników i twórców jazzu jest Jazzahead! – European Jazz Meeting 2018 w Bremie. To niewątpliwie największa branżowa impreza i wielkie święto muzyki jazzowej. W tym roku zarejestrowało się już 3,2 tys. profesjonalnych uczestników, wśród których, obok artystów, są wydawcy, przedstawiciele wytwórni płytowych, organizatorzy festiwali, właściciele klubów, impresariaty, agencje koncertowe i kilkuset dziennikarzy z całego świata.

Od 19 do 22 kwietnia zaplanowano 110 koncertów, minirecitali, pokazów filmowych, konferencji i performance'ów, ale największym oraz najbardziej prestiżowym wy-



Piotr Damasiewicz
z zespołu Power
of the Horns

FOT. LECH BASEL/JAZZAHED.DE

darzeniem jest inauguracja. W tym roku ceremonia otwarcia została powierzona Polakom, bo właśnie nasz kraj jest partnerem festiwalu. Polska Noc (tak nazwano imprezę) to okazja do prezentacji ośmiu programów artystów z Polski, których międzynarodowa komisja pod przewodnictwem Petera Schulze uznała za najciekawsze zjawiska na naszej jazzowej scenie. Wybór moim zdaniem trafny i prezentujący dość szerokie spektrum. Obok uznanych gwiazd, takich jak Atom String Quartet, Marcin Wasilewski trio i Power of the Horns (niepokorna orkiestra dęta Piotra Damasiewicza), pojawiają się bardzo młodzi muzycy: Kamil Piotrowicz, Kuba Więcek, High Definition Quartet i Monika Borzym.

To niejedyna impreza z udziałem Polaków – nasi muzycy obecni będą na wielu scenach podczas wszystkich dni. Wielkim zainteresowaniem cieszą się festiwalowa Gala (20 kwietnia, scena główna) i koncert Anny Marii Jopek, której towarzyszyć będzie Leszek Możdżer. Jasnym punktem wieczoru będzie występ (znanego już niemieckiej publiczności) saksofonisty – Maćka Obary. To właśnie jego polsko-norweski kwartet (z Dominikiem Wanią na fortepienie) zadebiutował w listopadzie ubiegłego roku w niezwykle prestiżowej wytwórni płytowej ECM. Partnerem i współorganizatorem obecności naszej reprezentacji w Bremie jest Instytut Adama Mickiewicza. ©©

Więcej na: Culture.pl i Jazzahead.de



GRZEGORZ
BRZOSZOWICZ

NA SŁUCH

Odszedł mistrz

W wieku 82 lat zmarł Jerzy Milian, wybitny wibrafonista, kompozytor i aranżer. Jego album „Bazaar” z 1969 r. należy do najbardziej cenionych na świecie polskich płyt jazzowych. Oryginalne wydanie osiąga na aukcjach cenę 300 euro.

Pierwszy zespół jazzowy założył już w 1953 r., a trzy lata później grał w sekstecie Krzysztofa Komedy. Lider był pianistą, więc Milian został wibrafonistą. Później chadzał własnymi ścieżkami. W 1961 r. zapisał się do PZPR. Zainteresował się muzyką łączącą jazz i klasykę, a jego mentorem został prof. Bogusław Schaeffer.

Na Jazz Jamboree '64 Elias Gistelnic, szef sekcji jazzowej belgijskiego radia i telewizji, „odkrył” wibrafonistę. Płyta dokumentuje

ich współpracę i przynosi jedno z najciekawszych nagrań w dorobku Miliana. Rozbudowane kompozycje na orkiestrę jazzową i filharmoników można uznać za odkrywcze. Tytułowa „Circulations”, „Polish Folk Suite” oparta na materiałach zebranych przez Oskara Kolberga czy „Nihil Obstat” skomponowana na trzy flety i klarnet basowy zachwycają aranżacyjnym rozmachem. Zaskakujące zmiany tempa i melodii, połączenia smyków z marimbą i pulsującą sekcją dętą wciąż robią wrażenie.

W jubileuszowej ankiecie „Jazz Forum” 50 krytyków uplasowało Jerzego Miliana na odległym 17. miejscu wśród najwybitniejszych polskich jazzmanów. Album „Bazaar” zajął 31. pozycję.

Świat się myli? ©©



★★★★★
JERZY MILIAN
„07
CIRCULATIONS
1966-1969”
GAD



★★★★★
YOUNG FATHERS
„COCOA SUGAR”
NINJA TUNE

Szkockie czarno-białe trio wykonuje bujający w wolnym tempie hip-hop z domieszką intrygującej rockowej alternatywy. Zakręcone dźwięki dla zwariowanego świata. Okładka – plagiat plakatu Waldemara Świerzego do filmu „Nocny kowboj”. ©©



★★★★★
SUBMOTION
ORCHESTRA
„KITES”
SMD

Album dla tych, którzy nie mogą się doczekać nowej płyty Portishead. Wokalistka Ruby Wood i jej sześciu partnerów serwują klimatyczny nu jazz wsparty spowolnioną elektroniką. Idealny podkład na detoks po nocnych szaleństwach. ©©



Krzysztof Masłoń

Mniej więcej półtora roku temu, po opublikowanym przeze mnie w „Do Rzeczy” artykule „Zdrada klerków”, Monika Sznajderman, szefowa wydawnictwa Czarne (autorka nominowanych w zeszłym roku do Nike „Fałszywy pieprzu”, żona wziętego pisarza Andrzeja Stasiuka), rozpętała burzę, w wyniku której prezydent Wrocławia rozwiązał jury Nagrody Literackiej Europy Środkowej „Angelus”, którego byłem członkiem od momentu powstania tej nagrody w roku 2006. Prezydent podziękował za współpracę całemu gronu przyznającemu wyróżnienia, włącznie z tymi jego członkami, którzy też nie kryli oburzenia poglądami wyrażanymi przez niżej podpisanego w publicystyce.

Po moim niedawnym artykule „Pisać każdy może” („Do Rzeczy 10/2018) Sznajderman, odsądzając mnie w Onecie od czci i wiary, niedwuznacznie dała do zrozumienia, że Warszawa powinna się wstydić, iż ktoś taki jak ja jest jeszcze jurorem Nagrody Literackiej m.st. Warszawy, Nagrody im. C.K. Norwida i Nagrody im. Marka Nowakowskiego (od siebie dodam, że od tego roku jestem ponadto jurorem nagrody Identitas).

Tekst Sznajderman wspiera na Onecie donos niejakiego Piotra Pazińskiego, podobno pisarza, tłumacza i eseisty. Autor donosu wytyka mi poza uczestnictwem w różnych jurorskich ciałach także członkostwo w Radzie Programowej Państwowego Instytutu Wydawniczego. Widać, że jest na bieżąco.

Ów Paziński, by udowodnić antysemityzm (idący w parze z homofobią i paroma innymi



Monika Sznajderman, szefowa wydawnictwa Czarne, prywatnie żona Andrzeja Stasiuka FOT. BEATA ZAWRZEL/REPORTER

grzechami w jego środowisku uważanymi za najcięższe z możliwych) niżej podpisanego, podpira się – traf chciał – zamieszczoną w tym samym numerze „Do Rzeczy” moją recenzją z, nawiasem mówiąc, bardzo dobrej książki Janusza Majcherka i Tomasza Mościckiego „Kryptonim »Dziady«, Teatr Narodowy 1967–1968”. Książki opowiadającej o tzw. wydarzeniach marcowych widzianych z perspektywy sceny kierowanej wówczas przez Kazimierza Dejmka. Tyle że Paziński w żadnym miejscu nie wspomina o tym, że mój tekst omawia książkę Majcherka i Mościckiego. I jeśli przywołuję w nim postać Jerzego Jurandota czy Grzegorza Lasoty, którzy w marcu 1968 r. zachowali się tak, a nie inaczej, to powtarzam te informacje za recenzowaną pracą, a nie dlatego, że koniecznie chciałem zdezawuować te osoby ze

względem na ich żydowskie pochodzenie. I nie wspominałem o tym, że Jurandot był w czasie okupacji kierownikiem literackim teatryku Femina w getcie, by dowiedzieć, jak to Żydom za Niemca dobrze się działo (z góry takie wredne intencje zakłada mój antagonistą), ale ze względu na to, że po wojnie komisja weryfikująca aktorów grających w dozwolonych przez okupanta, a potępianych przez podziemie spektaklach w ogóle nie zajmowała się tym, co wystawiano – dopóki to było możliwe – za murem oddzielającym getto od dzielnicy aryjskiej. Podobnie jak nikt – zatem i Bohdan Korzeniewski, największy teatralny autorytet – nie oceniał postępowania artystów występujących w przedstawieniach akceptowanych przez drugiego okupanta Polski: Sowietów. Ba, to samo, co tu było występkiem, tam stało się zasługą. Jed-

nak co to wszystko obchodzi kogoś kompletnie głuchego na wszelkie argumenty, kto ma za zadanie przeciwnika flekować i nic go poza tym nie interesuje?

Jeśli zaś chodzi o panią Sznajderman, to ma ona do mnie pretensje – generalnie mówiąc – o wszystko, a zwłaszcza o zarzucane pisarzom „celebrytowo” i „popularyzowanie antypolskiej narracji”. „Celebrytowo” nie jest tu może najszcześniejszym określeniem, gdyż chodzi mi najzwyczajniej o tych autorów, którym – widać – nie staje sławy literackiej i budują swój image poprzez np. obrzucanie kamieniami siedziby PiS albo jajami limuzyny wyjeżdżającej z Pałacu Prezydenckiego. Tak się składa, że zarówno Bartek Sabela, jak i Klementyna Suchanow, skuteczniający te rzuty, należą do autorów wydawanych przez oficynę, którą kieruje pani Sznajderman. Wyciąga ona jednak z tego nazbyt daleko idące wnioski, sugerując, jakobyś szczególnie znęcał się swym obrzydliwym piórem nad wydawanymi przez nią książkami i – oczywiście – stosował wobec nich, jako juror, jakieś obstrukcyjne działania. Na wszelki wypadek przypomnę więc, że udało mi się – pewnie mimowolnie – przyłożyć rękę do nagrodzenia wrocławskim Angelusem a to Jurija Andruchowycza, to znów Martina Pollacka, a i Literacką Nagrodą Warszawy w dziedzinie prozy – Andrzeja Stasiuka.

Nie mam nic więcej do dodania poza obietnicą, że jeśli tylko zdrowie mi na to pozwoli, to przeczytam jeszcze trochę książek, zdając z lektury ich – jak czynię to od 30 lat – relację. W nadziei, że trafią się wśród nich tytuły godne pięknych tradycji literatury polskiej. Napisane przez polskich pisarzy szanujących siebie i czytelników. W końcu tacy też są. ©



Łukasz Warzecha

Ustawa o IPN jest przyczyną najgłębszego kryzysu dyplomatycznego od początku rządów PiS. Kryzysu o skutkach potencjalnie długotrwałych i wyniszczających, a na dodatek bez dobrego wyjścia. Są jedynie rozwiązania złe i jeszcze gorsze

W tej historii jest kilka dziwnych momentów. Pierwszym z nich jest samo pojawienie się ustawy w Sejmie po tym, jak wiele miesięcy przeleżała w rządowej zamrażarce. Do dziś nie wiadomo, dlaczego niespodziewanie wypłynęła w wyjątkowo niekorzystnym momencie. Powtarzane są dwie hipotezy. Pierwsza – że to wynik normalnego niestety w obozie rządzącym chaosu i braku planowania. Druga – że to świadome uderzenie Zbigniewa Ziobry w Mateusza Morawieckiego. Ta druga hipoteza wydaje się o tyle mało prawdopodobna, że – po pierwsze – obaj politycy świeżo poukładali swoje wzajemne relacje w związku z objęciem przez Morawieckiego urzędu premiera oraz, po drugie, jeśli Ziobro zdawał sobie sprawę z problemów, jakie wywoła ustawa – a przecież tylko wtedy byłby sens traktowania jej jako narzędzia w walce z Morawieckim – to musiał przewidywać, że sam mocno dostanie rykoszetem. Wszak regulację firmował jego najbliższy współpracownik Patryk Jaki.

Inna zastanawiająca kwestia to tama komunikacyjna pomiędzy Ministerstwem Spraw Zagranicznych a Ministerstwem Sprawiedliwości. MSZ zgłaszało swoje zastrzeżenia do ustawy niejednokrotnie. Pierwsze krytyczne analizy były kierowane już w pierwszej połowie 2016 r. Ówczesny (odwołany w sierpniu tamtego roku) wice-minister Aleksander Stepkowski w piśmie z 25 lutego wytykał m.in., że „uzasadnienie projektu nie zawiera omówienia zgodności projektu ustawy z wolnością wypowiedzi, uregulowaną zarówno w Konstytucji RP (art. 54), jak i w europejskiej Konwencji o ochronie praw człowieka i podstawowych wolności”. Zwracał też uwagę, że nowe przepisy, umożliwiające zastosowanie prawa cywilnego do ochrony dobrego



imienia narodu polskiego, wcale nie muszą pozywających ograniczać do zaskarżania wypowiedzi sprzecznych z prawdą historyczną, co z kolei może oznaczać naruszenie wolności słowa. Dokładnie tak się stało w przypadku pozwu przeciw argentyńskiemu portalowi Pagina 12, złożonemu przez Redutę Dobrego Imienia, która potraktowała tu kwestię „dobrego imienia narodu polskiego” z dość dużą swobodą. Chodziło przecież jedynie o zilustrowanie artykułu o Jedwabnem zdjęciem zastrzelonych przez UB żołnierzy antykomunistycznych podziemia. Trudno w tym dostrzec

naruszenie dobrego imienia narodu. Nie trudno zauważyć, że uwagi wiceszefa MSZ w dużej mierze pokrywały się z zastrzeżeniami, jakie następnie wysunęły przeciwko ustawie głównie Stany Zjednoczone.

ZAKŁADNICY WŁASNEJ POLITYKI

Tłumaczenie dzisiaj przez polityków obozu władzy – jak wypowiadał się m.in. prezydent Andrzej Duda w niedawnym wywiadzie dla „Dziennika Gazety Prawnej” – że strona polska była kompletnie zaskoczona żydowską reakcją na projekt ustawy, jest tak naprawdę przyznaniem się



ROT. FOTOLIA

mimo bardzo stonowanych wypowiedzi członków PiS i rządu, została uchwalona w błyskawicznym tempie – tak szybkim, że przegłosowano też ewidentnie błędne zapisy, zawarte w dołączonym pod naciskiem klubu Kukiz'15 przepisie o banderyzmie. Ustawa mówi mianowicie o zbrodniach ukraińskich nacjonalistów i członków ukraińskich formacji kolaborujących z Trzecią Rzeszą Niemiecką popełnionych przez „ukraińskich nacjonalistów w latach 1925–1950”. Problem w tym, że Trzecia Rzesza istniała jedynie w latach 1933–1945.

Gdy ustawa trafiła na biurko prezydenta Andrzeja Dudy, powaga sytuacji była już całkowicie widoczna. We wspomnianym wywiadzie dla „DGP” prezydent powiedział wprost: „Źle się stało, że ta ustawa została przyjęta w tym właśnie momencie i w takiej formie. W przededniu Dnia Pamięci o Ofiarach Holokaustu. Jednak i w czasie kampanii wyborczej w Izraelu. Holokaust jest tam tematem szczególnie drażliwym ze względu na ogromny kontekst emocjonalny. Stąd też, niestety, bywa rozgrywany politycznie. Chcąc prowadzić sprawę kraju w sposób profesjonalny, trzeba te czynniki uwzględnić”.

Wszystko to absolutna racja. Dlatego powinno paść pytanie: Cemu prezydent, zdając sobie sprawę z potencjalnie fatalnych konsekwencji oraz mając już pełen zestaw informacji o stanowisku strony izraelskiej, a także o bardzo poważnych zastrzeżeniach strony amerykańskiej, zdecydował się jednak ustawę podpisać i przesłać ją jedynie do kontroli następczej do Trybunału Konstytucyjnego. Odpowiedź wydaje się względnie prosta i udzieliła jej w połowie lutego doradczyni prezydenta Zofia Romaszewska, która zresztą nie ukrywała swojego skrajnie krytycznego stosunku do ustawy, nazywając ją wprost „idiotyczną”. „Myślę, że nie można było [zawetować ustawy], bo w tym momencie by się okazało, że prezydent jest zwolennikiem tego, żeby obrażano naród polski” – wyjaśniła Romaszewska.

I w tym tkwi tragizm sytuacji: na przykładzie nowelizacji ustawy o IPN widać, do jakiego stopnia PiS stał się zakładnikiem własnej polityki „wstawania z kolan”, a dokładnie – hurrapatriotycznej narracji, napędzającej ogromną część elektoratu i poparcia. Stwierdzenie, że polityka zagraniczna stała się zakładnikiem polityki wewnętrznej w stopniu większym niż kiedykolwiek, nie jest już w żadnym stopniu odkrywcze. To po prostu fakt. Po

raz pierwszy jednak mamy do czynienia z sytuacją, gdy władza prze naprzód z bardzo ryzykownym rozwiązaniem, mając przed nosem wszelkie przesłanki, aby z niego zrezygnować. Co było przecież możliwe wielokrotnie. Ustawa mogła być zatrzymana w Sejmie, mogła zostać bardzo poważnie zmieniona lub odrzucona w Senacie, mogła zostać wreszcie zawetowana przez prezydenta, gdyby tylko taka była wola Jarosława Kaczyńskiego. Przecież ostatecznie w jego ręku zbiegają się wszystkie nici.

Czemu się tak nie stało? Wyjaśnienia są dwa – trudno powiedzieć, które gorsze. Pierwsze – że prezes PiS nie liczy się kompletnie z międzynarodowymi kosztami, uznając, iż realizuje dalekosiężną wizję nowej, silnej i dumnej Polski, która, niczym powstańcze zrywy w XIX w., da korzyści w jakiejś dalekiej, nieokreślonej przyszłości, nawet jeżeli dziś poszczególne ruchy przyniosą poważne straty. Drugie – że rezygnacja z ustawy nie wchodziła w grę, ponieważ rządząca partia w zbyt dużym stopniu stała się zakładnikiem wzmożonego elektoratu, który ma to do siebie, że kieruje się jedynie najprostszymi hasłami i emocjami. Oczywiście oba te tłumaczenia mogą być trafne jednocześnie.

Wy tłumaczenie decyzji prezydenta przez Zofię Romaszewską wprowadza dodatkowy wątek. Andrzej Duda naraził się już potężnie twardej części elektoratu, wetując ustawy sądowe. Gdyby teraz zawetował ustawę o IPN, mogłoby to oznaczać bagaż tak ciężki, że druga kadencja głowy państwa stanęłaby pod bardzo poważnym znakiem zapytania. To jednak znów wynik polityki obozu władzy. Ostra konfrontacja obozu rządowego z prezydentem w sprawie ustaw sądowych sprawiła, że kapitał Andrzeja Dudy został w oczach wiernego elektoratu PiS nadwątlony. Tym samym ugrupowanie rządzące samo pozbawiło się możliwości uciekania się do głowy państwa jako bezpiecznika w sytuacjach podobnych do obecnej. Dlaczego bowiem Andrzej Duda miałby brać na siebie całe odium i niechć po raz drugi?

JUŻ SĄ STRATY

Dzisiaj ustawa, choć skierowana do Trybunału Konstytucyjnego do kontroli następczej, obowiązuje, co stawia Polskę w skrajnie trudnym położeniu. Deklaracje m.in. marszałka Senatu Stanisława Karczewskiego, że ustawa „nie będzie działać”, są puste, bo przecież jest to obowiązujące prawo. Sądy mają obowiązek

do indolencji polskiego aparatu dyplomatycznego czy, szerzej, państwowego. Jeśli uznawaliśmy, że Izrael jest dla nas jednym z kluczowych partnerów, powinniśmy byli mieć bardzo dobre rozeznanie w tamtejszych wewnętrznych uwarunkowaniach politycznych. Jeżeli go nie było, to możemy i powinniśmy mieć pretensję jedynie do siebie. Na przykład o to, że izraelska placówka dyplomatyczna była nieobsadzona od miesięcy.

Gdy ustawa była już w Sejmie, błyskawicznie stało się jasne, że konsekwencje będą niezwykle poważne. A jednak,

■ przyjmować pozwy cywilne, składane na podstawie ustawy, a prokuratorzy muszą zajmować się doniesieniami. Tymczasem wokół obozu władzy zgromadzili się ludzie, których racją istnienia jest ciągły bój i którzy nie pojmują racji pragmatyzmu politycznego. Tak działa np. Reduta Dobrego Imienia. Nie ma też najmniejszych wątpliwości, że znajdzie się wiele osób, które będą chciały użyć nowego instrumentu, wychodząc z założenia, że „my mamy rację” i tylko to się liczy.

Niedawna prowokacja Jana Tomasza Grossa w programie Tomasza Lisa – Gross stwierdził, że nie ulega wątpliwości, iż Polacy zabili więcej Żydów niż Niemców – była oczywiście obliczona na wywołanie takiej właśnie reakcji, a więc dolanie oliwy do ognia. Gross marzy o tym, żeby donos na niego trafił do polskiej prokuratury i żeby ta podjęła śledztwo, a następnie postawiła go w stan oskarżenia, a pożytecznych idiotów, którzy to marzenie będą starali się spełnić, nie trzeba będzie zapewne długo szukać.

Ostrzeżenia, które otrzymali polscy urzędnicy od członków amerykańskiej administracji, a o których napisał portal Onet.pl, były faktem niezależnie od tego, jakich słów użyli dziennikarze, opisując je. Nagonka na nich, przeprowadzona głównie przez prorządowe media, była próbą sfłoczenia termometru, aby przekonać siebie i innych, że nie ma się temperatury. Żadne późniejsze słowa padające ze strony urzędników amerykańskiej administracji nie przeczyły treści notatki zrelacjonowanej przez Onet. Mające brzmieć uspokajająco wieści, jakie przywiózł z Waszyngtonu wysłany tam w trybie pilnym Krzysztof Szczerski, również nie stoją w sprzeczności z informacjami Onetu. Trzeba też pamiętać, że wszystko to jest elementem dyplomatycznej gry. Polscy dyplomaci mogli usłyszeć najpierw, że spotkania najważniejszych osób w państwie z prezydentem Trumpem nie będą na razie możliwe, podczas gdy kilka tygodni później, gdy rzecz została ujawniona, minister Szczerski mógł usłyszeć słowa mniej stanowcze.

To jednak względnie najmniej istotny element opisanej przez Onet notatki. Bez spotkań na

najwyższym szczeblu da się przez jakiś czas funkcjonować. Ważniejsze są dwa pozostałe punkty. Po pierwsze – ostrzeżenie, że w Kongresie rosną antypolskie nastroje. Tymczasem to właśnie Kongres musi zatwierdzić wydatki wojskowe, a więc także na amerykańskie bazy w Polsce, nie mówiąc już o zwiększeniu obecności na wschodniej flance. Termin tych głosowań się zbliża. Po drugie – ostrzeżenie, że postawienie w stan oskarżenia amerykańskiego obywatela na podstawie ustawy o IPN będzie oznaczało poważny konflikt dyplomatyczny. W tym kontekście intencje Jana Tomasza Grossa stają się całkowicie przejrzyste. Tyle że to my sami ukręciliśmy bicz na własne plecy.

– Niestety polega na tym, że w Waszyngtonie nie ma żadnej grupy, żadnego lobby, które w tej sprawie stałyby po naszej stronie i pomagały nam się wydobyć z kłopotów. Nikt nie ma w tym interesu – podsumowuje amerykańista prof. Zbigniew Lewicki.

Wspierający ustawę twierdzą, że kryzys minie i nie pociągnie za sobą żadnych konkretnych skutków. Mylą się. Polityka zagraniczna to system naczyń połączonych. Pierwszą stratą jest już to, że aparat polskiego państwa kolejny raz (tak było już w przypadku konfliktów o TK czy o przedłużenie kadencji Donalda Tuska) musi angażować potężne zasoby w rozwiązywanie problemu, który sami na siebie sprowadziliśmy. Nie będzie nam to również pomagać w innych sprawach – każdy tego typu problem jest zbędnym, dodatkowym obciążeniem. Wojna celna między UE a USA to najbliższy taki potencjalny przypadek, ale to samo dotyczy negocjacji w sprawie nowej perspektywy budżetowej czy sa-

mej próby budowania korzystnej dla nas narracji historycznej. Ustawa o IPN nie pomoże nam np. wygrać sporu o kształt Domu Historii Europejskiej.

SZUKAJĄC WYJŚCIA

Trudno dzisiaj wyobrazić sobie dobre wyjście z sytuacji. Jeżeli TK zaproponuje poprawki w zaskarżonych przez prezydenta fragmentach ustawy, to po orzeczeniu Trybunału czekają nas nowe spory parlamentarne o zmianę zapisów. Cała procedura będzie się ciągnąć miesiącami, a rezultat może być podobny do obecnego. Tymczasem ustawa będzie obowiązywała, do sądów będą spływać pozwy, a do prokuratury doniesienia. Jeśli nawet TK swoim orzeczeniem rozbroiłby ustawę, to oznaczałoby to, że Polska przyjęła bezżebne prawo, w praktyce niemożliwe do zastosowania. Nasi partnerzy otrzymaliby sygnał, że jesteśmy niepoważnym państwem, które mnóstwo krzyczy, ale nie jest w stanie poprzeć tego krzyku czynami. Z drugiej strony czyny mogą mieć katastrofalne następstwa.

Jedynym wyjściem wydaje się całkowite zakwestionowanie ustawy przez Trybunał w ramach kontroli proceduralnej, o ile TK byłby w stanie znaleźć pretekst do podważenia trybu uchwalenia ustawy. TK, formalnie będący ciałem niezawisłym, może wziąć na siebie odium takiej decyzji. Wówczas prace nad nową regulacją zaczęłyby się od nowa, a toczyć by się mogły na tyle powoli, żeby sprawa z czasem wygasła. Politycy rządzącej formacji mogliby tłumaczyć swoim rozczarowanym zwolennikom, że decyzję podjął Trybunał Konstytucyjny, który przecież jest całkowicie niezawisły. Taka jest narracja prorządowych mediów,

więc zwolennikom władzy trudno byłoby ją podważyć. Zarazem można by ten przypadek wykorzystywać za granicą jako dowód na niezależność polskiego sądu konstytucyjnego. Dwie pieczenie na jednym ogniu.

Rzecz jasna, samodzielność TK pod kierownictwem sędzi Przyłębskiej jest, mówiąc najdelikatniej, mocno wątpliwa. W praktyce zatem decyzja zapadnie nie przy al. Szucha (gdzie mieści się siedziba TK), ale przy ul. Nowogrodzkiej.



Jan Tomasz Gross w programie Tomasza Lisa mówił, że Polacy zabili więcej Żydów niż Niemców. Czy chciał sprowokować prokuraturę, by postawiła go w stan oskarżenia na mocy znowelizowanego prawa? FOT. TVN



Marian Piłka

Europa wkroczyła w okres upadku, który można porównywać z kryzysem Rzymu w III w. Celem polskiej polityki musi być proces emancypacji w ramach struktur unijnych

Diolekcyj pod koniec kryzysowego III w. przywrócił stabilność i jedność cesarskiej władzy, ale doskonale zdawał sobie sprawę, że zachowanie jedności cesarstwa wymaga decentralizacji i podziału władzy. Utworzenie tetrarchii było odpowiedzią na kryzys zarządzania tak wielkim i różnorodnym cesarstwem. Rzeczywistość ostatecznie wymusiła podział w 395 r. dokonany przez cesarza Teodozjusza. Pomimo tego zachowano doktrynę jedności cesarstwa, która nie była tylko nic nieznaczącą ideologią, a żywą świadomością nie tylko dziedzictwa i tradycji, lecz także jedności owocującej solidarnością i dążeniem do jedności także w wymiarze politycznym i militarnym. Cesarstwo, choć podzielone, było jednym państwem rządzone przez odrębnych cesarzy. Ten podział zaowocował odrębnymi strategiami. Cesarstwo zachodnie przyjęło strategię otwartości na proces germanizacji armii i napływ germańskich osadników, ostatecznie zakończony jego zniszczeniem, a wschodnie wybrało strategię zamknięcia, przeciwstawienia się zewnętrznym zagrożeniom i obrony własnych granic. To przyczyniło się do przetrwania Bizancjum o prawie tysiąc lat dłużej.

JAK RATOWAĆ NASZĄ CYWILIZACJĘ

Zasadniczym wyzwaniem, przed którym stoi nasza cywilizacja, jest zdiagnozowanie charakteru istniejącego wyzwania. Publiczne debaty są pełne zarzutów pod adresem partii rządzącej o dążenie do wyjścia z UE czy deklaracji – zarówno ze strony opozycji, jak i obozu rządzącego – wierności unijnym zobowiązaniom. Jesteśmy straszeni powstaniem UE wielu prędkości, ale w rzeczywistości te debaty są zupełnie oderwane od rzeczywistości. UE, a szerzej Europa,

wkroczyła w okres upadku, który można porównywać z kryzysem Rzymu w III w., połączonym z narastającą inwazją barbarzyńców mającą miejsce w IV i V w. n.e. Analiza trendów pokazuje narastający spadek pozycji UE w demografii i gospodarce światowej. Europa jest jak wielkie padające zwierzę, tracące instynkt samozachowawczy i niemające już ani woli, ani siły obrony swej racji istnienia, nad którym krążą już stada sępów gotowe do urwania co bardziej smakowitych kęsów. W perspektywie 20–30 lat imigracja może doprowadzić do islamizacji kilku państw europejskich i ich bałkanizacji. Sytuację pogarsza syndrom Walentyniana II, na który cierpią unijne elity, czyli zanik instynktu samozachowawczego, zupełne niezrozumienie istniejącej sytuacji i traktowanie Europy w kategoriach politycznego oraz ekonomicznego łupu.

narodowych w UE czy obronę przed napływem muzułmańskiej imigracji, lecz także przede wszystkim odrodzenie religii i kultury chrześcijańskiej jako fundamentu uratowania naszej cywilizacji. Potężne manifestacje w obronie rodziny na ulicach Paryża, Madrytu czy Rzymu świadczą, że w zachodniej Europie są jeszcze siły, które nie zgadzają się na kulturowy demontaż naszej cywilizacji i gotowe są stanąć w obronie jej chrześcijańskich fundamentów. Bez tej obrony wszelkie działania będą miały co najwyżej charakter opóźniający „ostateczne rozwiązanie” problemu europejskiego.

UCIECZKA PRZESZ PODZIAŁ

Zarówno polską, jak i środkowo-europejską odpowiedzią na zagrożenie naszej cywilizacji jest podział UE – Unia wielu prędkości. Może to być jedyną szansą na

Podział cesarstwa

Sytuację naszego kraju komplikuje to, że upadająca UE traktowana jest jako jedna z podstawowych gwarancji naszego bezpieczeństwa przed odradzającym się rewizjonizmem rosyjskim. Jednak Rosja, choć potężna militarnie, stanowi realne zagrożenie, przeżywa także niezwykle groźny kryzys, który w dłuższej perspektywie może doprowadzić do kolejnej wielkiej smuty i kolejnego upadku tego państwa. Zasadnicze pytanie, przed którymi стоимy, to pytanie, które procesy rozpadu będą szybsze, bo od tego zależy wybór narodowej strategii i nasze bezpieczeństwo narodowe.

Należy oczywiście podejmować działania mające na celu uratowanie naszej cywilizacji, bo historia nie jest zdeterminowana i nigdy nie jest za późno. Oznacza to nie tylko obronę statusu państw

ucieczkę naszego regionu zarówno spod cywilizacyjnego, jak i w konsekwencji militarnego zagrożenia, jakie niosą ze sobą dekadencja kulturowa i bałkanizacja Europy Zachodniej. Dzisiaj UE nie jest tylko strefą pokoju, gwarancją naszego bezpieczeństwa i rozwoju, jest także narastającym zagrożeniem cywilizacyjnym, ekonomicznym i narodowym. Wbrew temu, co twierdzi biurokracja brukselska, Unia nie jest wspólnotą wartości, jest zagrożeniem dla wartości, które są fundamentem wielkości naszego kontynentu. Europę ukształtowało chrześcijaństwo i Christianitas jest jej synonimem. Dzisiaj UE jest głównym promotorem niszczenia cywilizacji chrześcijańskiej, jest promotorem destrukcji rodziny, aborcji i cywilizacyjnego wyniszczenia naszego kontynentu, zagrożeniem dla suwerenności

państw narodowych. Unia jest promotorem utopii społeczeństwa bez narodu, rodziny i płci. Polityka KE potwierdza tezę Toynbee'go, że cywilizacje giną przede wszystkim przez zanik instynktu samozachowawczego i działania o charakterze samobójczym, a takim działaniem jest niszczenie chrześcijańskiej tożsamości prowadzące tylko do chaosu.

Unia, przez wielu postrzegana jako szansa na rozwój gospodarczy, staje się gwarantem neokolonialnego charakteru naszego gospodarki. Nie znaczy to, że nie ma ona szans rozwoju, ale jest to rozwój zależny, podporządkowany przede wszystkim niemieckiemu centrum. Dzisiaj zarówno Polska, jak i inne państwa naszej strefy pełnią funkcję Mitteleuropcy, czyli ekonomicznego zaplecza dla gospodarki niemieckiej. Gospodarka zależna to niemożność takiego rozwoju, który oznacza osiągnięcie równego poziomu gospodarczego z najbardziej rozwiniętymi krajami Europy. Na straży zależnego charakteru naszej gospodarki stoją nie tylko jej neokolonizacja przez zagraniczny kapitał, lecz także polityka UE utrudniająca budowę konkurencyjności naszej gospodarki w postaci pakietu klimatyczno-energetycznego, regulacji prowadzenia przedsiębiorstw, czego przykładami są nałożone koszty na państwa postkomunistyczne w postaci ograniczenia produkcji zanieczyszczającej siarką. Także presja na wprowadzenie euro jest wyrazem polityki dążącej do utrzymania komparatywnej przewagi przez dominującą gospodarkę UE. To wszystko obniża konkurencyjność polskiej gospodarki i buduje bariery uniemożliwiające przezwyciężenie jej zależnego oraz neokolonialnego charakteru, a w wymiarze społecznym oznacza zagrożenie systematyczną emigracją Polaków poszukujących wyższych zarobków.

Koncepcja budowy jednego paneuropejskiego państwa jest koncepcją wyłączenia europejskich narodów z ich państw jako zasadniczych instytucji broniących narodowej suwerenności i obywatelskich wolności. To próba ubezwłasnowolnienia narodów i pozbawienia ich możliwości obrony w sytuacji narastającego chaosu, wymuszania akceptacji polityki rewolucji genderowej, niszczenia chrześcijańskiej i narodowej tożsamości oraz islamizacji naszego kontynentu. Jest ona fałszywą odpowiedzią na zasadnicze wyzwania, prowadzi do zniszczenia tych elementów naszej

cywilizacji, które mogą być podstawą do europejskiego odrodzenia i obrony naszej cywilizacji.

EMANCYPACJA

W sytuacji narastającego kryzysu Europy, a zwłaszcza imperialnych dążeń Niemiec za pośrednictwem struktur UE, jak też w sytuacji polityki rewizjonistycznej Rosji, celem polityki polskiej musi być dążenie z jednej strony do budowy własnego potencjału narodowego, budowania wspólnoty interesów państw środkowoeuropejskich oraz proces emancypacji ze struktur unijnych. Dopóki państwa tego regionu nie będą dla siebie najważniejszymi partnerami handlowymi, dopóty rzeczywistością będzie Mitteleuropa, a Międzymorze będzie tylko postulatem. Emancypację należy rozumieć nie jako wystąpienie z Unii, ale jako proces budowy wspólnoty interesów państw zagrożonych islamizacją, neokolonialną hegemonią mocarstw dominujących w UE oraz obronę przed narzucaniem nihilizmu kulturowego przez KE. To przede wszystkim polityka budowania wspólnoty interesów w wielu wymiarach, rozwój technologiczny pozwalający na wydobycie się z pułapki rozwoju zależnego i unarodowienie własnych gospodarek. Dynamika tego procesu powinna być skorelowana z dynamiką procesów geopolitycznych na wschodzie Europy, a wynikających z rewizjonizmu rosyjskiego i możliwych procesów dekadencji państwa rosyjskiego. Polska nie może dopuścić ani do porozumienia niemiecko-rosyjskiego, ani do własnej izolacji w obliczu tego zagrożenia.

Zasadnicza strategia powinna mieć charakter defensywny, to znaczy, że nie powinno się prowadzić agresywnej polityki wobec dominujących państw w UE, ale przede wszystkim bronić własnych interesów. Strategia powinna prowadzić do przemodelowania obecnych relacji gospodarczych z typu zależnego na partnerski. Natomiast charakter ofensywny powinna mieć polityka broniąca kulturowych podstaw cywilizacji europejskiej. Podstawą współpracy w ramach Unii powinna być współpraca przede wszystkim państw europejskich, bez dalszej rozbudowy kompetencji struktur unijnych. Natomiast Polska powinna energicznie prowadzić politykę obrony cywilizacji chrześcijańskiej, nie tylko dając przykład poprzez własne ustawodawstwo chroniące życie dzieci nienarodzonych



Nielegalny obóz imigrantów we francuskim Calais, 2015 r.
FOT. PHILIPPE HUGUEN/EAST NEWS

i odrzucenie genderowej rewolucji, lecz także poprzez współpracę środkowoeuropejską w zakresie obrony praw rodziny oraz forsowania na forum UE obrony chrześcijańskiej tożsamości Europy.

WSPÓLNOTA LOSU

Założenie budowy Europy wielu prędkości może być korzystne dla uchronienia Polski i innych państw naszej części kontynentu przed destrukcyjną polityką KE i jednocześnie może zapewnić możliwości własnego rozwoju, korzystając z przynależności do UE. Chociaż nie jest ona wspólnotą wartości, to może nadal być wspólnotą losu. Oznacza to możliwość współpracy narodów europejskich, ale na luźniejszej podstawie, bardziej szanującej odrębności i specyfikę poszczególnych państw narodowych. Europa wielu prędkości, która jest już dziś faktem, choć nieuznanym formalnie i prawnie, to formuła stopnio-



wej emancypacji naszego państwa spod destrukcyjnych procesów niszczących dziś zachodnią część naszego kontynentu i utrzymaniu współpracy w dziedzinach, które mogą być obopólnie korzystne. To także utrzymanie solidarności NATO i wstrzymanie się wobec wszelkich prób jego zastąpienia innymi formami gwarancji naszego bezpieczeństwa. To także szansa na bardziej podmiotowe relacje w wymiarze gospodarczym oraz szansa na dostosowanie modelu Unii Europejskiej do wzrastających aspiracji naszego kraju i odseparowania się od groźnych procesów destrukcji europejskiej cywilizacji oraz niszczenia suwerenności państw narodowych naszej części kontynentu.

Ta koncepcja wymaga zdecydowanie innej polityki niż ta, którą uprawia obecny rząd. Temu wezwaniu nie powinno się przeciwstawiać polityki „zarządzania przez konflikt”, permanentnej kłótni

o sprawy drugorzędne. Spory o TK, wybór Tuska na przewodniczącego RE czy kwestia puszczy białowiejskiej to typowe tego przykłady. Trzeba skupić się na sprawach najważniejszych – obrony cywilizacji chrześcijańskiej, walki o interesy gospodarcze naszej części Europy czy obrony prerogatyw państw narodowych. W tych sferach jesteśmy w stanie definiować nasz interes narodowy w kategoriach uniwersalnych i znajdować znacznie więcej zrozumienia i wspólnych interesów niż w prowadzeniu polityki niezrozumiałych dla innych symbolicznych konfliktów. Tym bardziej że – jak pokazuje kwestia przyjęcia traktatu lizbońskiego, poprzedzona awanturą o kartoflane karykatury prezydenta Kaczyńskiego – PiS potrafi się awanturować w sprawach drugorzędnych, by skapitulować w sprawach zasadniczych. Wiele wskazuje na to, że obecne postulaty dotyczące np. reparacji wojennych

mają przesłonić realizację zasadniczego postulatu integracyjnej polityki Berlina, jakim jest zbudowanie europejskiej armii. To samo dotyczy poparcia polskiego rządu nie dla obrony cywilizacji chrześcijańskiej na płaszczyźnie międzynarodowej, lecz dla postulatów politycznych homoseksualnego lobby. To polityka zaprzeczająca emancypacji naszego państwa w strukturach unijnych oraz wsparcie zarówno niszczenia cywilizacji chrześcijańskiej, jak i destrukcji państw narodowych. W tym zakresie polityka obecnego rządu nie przeciwstawia się destrukcji naszego kontynentu i mimo wojennej retoryki płynie w głównym nurcie unijnej polityki.

DYLEMAT DIOKLECJANA

Dzisiaj nasz kontynent stoi w obliczu dylematu Dioklecjana: jak zarządzać tak różnorodną i przeżywającą dekadencję Europą? Dioklecjan odpowiedział koncepcją decentralizacji zarządzania wraz z utrzymaniem znacznie luźniejszej jedności i współpracy. To dało oddech upadającemu cesarstwu, pozwoliło na samodzielny rozwój i uchroniło przynajmniej część wschodnią od losu jego zachodniej części. Gdyby w sposób dogmatyczny utrzymana była jedność, prawdopodobnie Bizancjum niewiele później podzieliłoby los upadku cesarstwa zachodniego. Ten podział, przy utrzymaniu formalnej jedności, dał możliwość wypracowania wschodniej części bardziej skutecznej strategii obrony. Była to strategia zasadniczo odmienna od zastosowanej w zachodniej części, odrzuciła bowiem otwartość na napływ barbarzyńców i wypracowała skuteczne metody obrony własnej tożsamości kulturowej i ekonomicznej. Dzięki temu podziałowi Bizancjum przetrwało prawie tysiąc lat dłużej niż cesarstwo zachodnie, zachowując dziedzictwo antyczne, które w okresie swego schyłku i upadku przekazało zachodniej Europie. Podział cesarstwa okazał się najskuteczniejszym wyborem dla zachowania antycznych wartości, które ukształtowały cywilizację zachodniego chrześcijaństwa – Christianitas, którego dziedzicami jesteśmy my wszyscy. Dzisiaj, w obliczu upadku zachodniej cywilizacji, strategia podziału Unii jest najlepszą strategią na ocalenie naszej cywilizacji.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest historykiem, wiceprezesa Prawicy Rzeczypospolitej.



Tomasz P. Terlikowski

Wspólnoty polityczne rozpadają się na naszych oczach, a wszystko za sprawą głęboko zakorzenionych moralizmów, których nie jesteśmy w stanie przezwyciężyć

Oni tak nie mogą myśleć – to jedna z mantr, która powraca w życiu politycznym. A skoro nie mogą, to powód, dla którego myślą tak, a nie inaczej, jest taki, że albo nie myślą, są głupi, źli i brudni (niewykształceni, niedouczeni, zastraszeni czy kupieni), albo stali się zdrajcami, sprzedali wolną i niezależną myśl czy dali się ogłupić mediom i autorytetom. Niezależnie jednak od tego, jakie są powody, dla których myślą inaczej niż my (niezależnie od tego, jak owo „my” zdefiniujemy), uważamy, że są także głęboko niemoralni (a przynajmniej zwiedzeni przez ludzi złych), a nasza z nimi walka nabiera dzięki temu wymiaru zaangażowania moralnego, co pozwala nam się poczuć dobrze z naszymi poglądami, i to nawet jeśli są one – w danym momencie – w mniejszości.

POLITYKA JAKO WALKA ZE ZŁEM

W tym króciutkim opisie znaleźć się mogą – i to jest prawdziwy problem współczesnej polityki – niemal wszystkie strony debaty, i to nie tylko (bo wbrew pozorom nie jesteśmy wcale tak wyjątkowi politycznie, jakbyśmy chcieli) w Polsce. Amerykańscy liberałowie (u nas powiedzielibyśmy po prostu postępowcy) od kilkudziesięciu lat walczą z zagrożeniem, jakie stanowią fundamentaliści religijni, ewangelikalni chrześcijanie i rednecki, którymi szanujący się intelektualista ze Wschodniego Wybrzeża zwyczajnie gardzi (ewentualnie spogląda na nich z liberalnym poczuciem wyższości). I nie ma znaczenia, czy ich reprezentantem jest Ronald Reagan, George W. Bush (wyśmiewany za uznawanie Jezusa Chrystusa za najwyższego autorytet filozoficzny) czy Donald Trump (w tym przypadku moralistyczna histeria nabiera nowych wymiarów, bo obecny prezydent oskarżany jest nie tylko o fundamentalizm, faszyzm, lecz także o hipokryzję).

Istotne jest tylko to, że nie rządzą nami, a to oznacza, że najważniejsze wartości – święte prawo do aborcji, polityczna poprawność i antyrasizm – są zagrożone. Konserwatyści (w bardzo szerokim tego słowa znaczeniu – od libertarian z Tea Party, przez współczujących konserwatystów, ewangelikalnych chrześcijan, aż do rozmaitych nurtów neokonserwatyzmu) dla odmiany walczą w imię „większości moralnej” o zdrową rodzinę, angloprotestancką Amerykę i potęgę swojego kraju z tymi, których uznają często za zdrajców kupionych przez międzynarodową finansjerę czy wielki rząd.

I wbrew pozorom nie inaczej jest w Niemczech czy we Francji, tyle że tam spór jest nieco przesunięty, bo nie toczy się między prawicą a lewicą (obie bowiem są dobrze zakorzenione w powojennym status quo), a między tzw. mainstreamem politycznym (który, rzecz jasna, broni przed recydywą faszyzmu i rasizmu, a także groźbą wojny) a populistami (Marine Le Pen czy Alternatywa dla Niemiec), którzy – we własnej opinii – bronią spo-

łeczeństwa przed niemoralnymi, niebezpiecznymi i na dłuższą metę niszczącymi tożsamość państwową działaniami partii mainstreamu. Obie strony zatem (a często w połajankach uczestniczą również Kościoły i wspólnoty wyznaniowe) posługują się w debacie językiem moralnym, a nie – co często się podkreśla – profesjonalnym i utylitarnym.

W Polsce, jeśli dobrze się przyjrzeć, wcale nie jest zasadniczo inaczej, tyle że spór dotyczy nieco (ale tylko nieco) czego innego. Dla Platformy Obywatelskiej czy Nowoczesnej (o historycznych obrońcach demokracji z KOD nie wspominając) istota sprzeciwu wobec PiS jest, rzecz jasna, moralna. Oni nie mogą zaakceptować dobrej zmiany, bo ta – ich zdaniem – niszczy absolutne fundamenty moralności, czyli trójpodział władzy, kosmopolityzm (który ma pozostawać jedynym ratunkiem przed rasizmem i szowinizmem) oraz antypopulizm (który ma nas zabezpieczać przed rzekomą recydywą faszyzmu). Dobra zmiana, dla odmiany walcząca



Jedna Polska, dwa moralizmy



ROT. FOTOLIA

z „totalną opozycją”, oskarża ją o korupcję, zdradę narodową, uleganie silniejszemu i prowadzenie polityki na kolanach, czyli o kwestie w dużej mierze moralne. Jeszcze silniej tę skłonność do moralizmu widać w sporze historycznym polsko-izraelskim. I jedna, i druga strona zatem, zamiast debaty o problemach (a te, co pokazują choćby analizy Macieja Gduli, Stefana Sękowskiego, Piotra Skwiecińskiego czy Pawła Lisickiego, można definiować wspólnie niezależnie od głębokich różnic ideowych) oraz próby roztropnej troski o dobro wspólne (a tak w klasycznym rozumieniu definiowana jest polityka) proponuje nam manichejską walkę ze złem, w której nie można ani o krok się cofnąć, by nie ulec moralnemu skażeniu. Efektem jest... powstanie – w ramach jednego państwa – dwóch moralizujących plemion, które z natury nie dostrzegają moralnych skaz w sobie, tylko w innych.

Skąd się bierze ten podział? Odpowiedzi najprościej byłoby szukać w medialnych bańkach i światopoglądowych niszach,

w których funkcjonujemy, ale – choć i one niewątpliwie na to wpływają – wydaje się, że nie jest to jedyny powód. Innym, nie mniej ciekawym tropem jest ten, który w swojej nowej książce pt. „Moralna polityka. Jak myślą liberałowie i konserwatyści” podaje amerykański kognitywista George Lakoff. Autor jest, co trzeba od razu zaznaczyć, zdecydowanym liberałem, ale punktem wyjścia jego analiz jest prosta i w zasadzie bezdyskusyjna teza, że w Stanach Zjednoczonych (a w Polsce jest podobnie) konserwatyści i liberałowie nie są w stanie się wzajemnie zrozumieć.

Powód, zdaniem Lakoffa, tkwi w języku, w jakim mówimy o polityce, a konkretniej w tym, że jest on nieuchronnie moralny i zakorzeniony w tym, jak rozumiemy rodzinę. Konserwatyści, jego zdaniem, opowiadają się za moralnością surowego ojca i to ją rzutują na politykę. To zaś oznacza, że inaczej rozumieją obowiązki wobec państwa, politykę karną, politykę międzynarodową i wreszcie kwestie światopoglądowe. Liberałowie dla odmiany są zwolennikami moralności opiekuńczego rodzica (konserwatysta powiedziałby raczej: wychowania bezstresowego, na co Lakoff by się nie zgodził) i to również rzutuje na ich myślenie o polityce karnej, aborcji, przyjmowaniu uchodźców itd.

W Polsce, rzecz jasna, sprawa nieco się komplikuje, ponieważ polski konserwatyzm – w związku ze swoim zakorzenieniem w maryjności katolicyzmu – jest o wiele bardziej kobiecy, a to oznacza empatyczny, ale część z tak zarysowanego podziału zachowuje aktualność. Jednak nawet jeśli uznać, że u nas jest inaczej, to sama idea, że u podstaw głębokiego sporu leży zakorzeniona w języku, a szerzej w światopoglądowym podejściu do świata, pozostaje aktualna. Moralizm jest tylko przejawem tego zjawiska, który sprawia, że dialog, rozmowa, debata, a nawet wzajemne zrozumienie stają się niemożliwe, a jedynym moralnym podejściem do przeciwnika politycznego jest walka. Walka z Trumpem albo z Clinton, z Macronem albo Marine Le Pen itp., itd. Zawsze jednak z silnie zdeprecjonowanym wrogiem moralnym.

CZY MOŻNA TO ZMIENIĆ?

Lakoff swoją książkę napisał, by spróbować zrozumieć kon-

serwatystów, ale wcale nie oznacza to, że jest ona dobrym wyjściem do dialogu czy debaty. Kognitywista amerykański zdecydowanie ulega bowiem swoim własnym poglądom politycznym i nie pozostaje obiektywny, a nawet rzetelny. I nie chodzi tylko o to, że w pewnych kwestiach nie jest w stanie wyjść poza własny światopogląd (tak jest, gdy oskarża konserwatystów o to, że są przeciw aborcji, bo chcą karać kobiety za niemoralne prowadzenie się), lecz także o to, że w istocie ostatnia część jego książki poświęcona jest wykazaniu, jak okropne i paskudne są metafizyczne założenia konserwatystów i jak rozsądny człowiek nie może ich przyjąć. Ostrzeżenie przed moralizmem w polityce przekształca się więc – stopniowo – w ostrzeżenie przed tymi strasznymi, niemoralnymi prawicowcami spod znaku Trumpa czy Busha. I wielkie wezwanie do moralnej walki z nimi.

Wcale nie odbiera to jednak wartości tej książki, a jedynie ukazuje, jak trudna jest próba prawdziwego zrozumienia drugiej strony i jak wszyscy ulegamy pokusie manicheizmu w działalności politycznej. Główną wartością tej kognitywistycznej pracy jest jednak co innego, a mianowicie ukazanie, jak jedność (zawsze względna) państwa i narodu (niezależnie od tego, czy rozumianego obywatelsko czy narodowo) zastępuje odmienność plemion ugruntowanych w odmiennych językach i systemach metafor moralnych. Tego podziału nie da się zlikwidować (różnice są bowiem realne i istotne), ale... trzeba go zrozumieć, dostrzec i spróbować (przynajmniej przy definiowaniu istotnych zagrożeń czy polityk) przekraczać. Bez tego jesteśmy skazani na oddalanie się od siebie dwóch plemion (tak, wiem, że to straszne słowo, którego stosowanie wskazuje na głęboko niemoralny charakter tego, kto się do niego odwołuje), rozgrywanie ich i wreszcie rozbicie wspólnoty politycznej. Manicheizm, o czym też zapominając nie należy, uniemożliwia także roztropną troskę o dobro wspólne, ponieważ w istocie wyklucza (bo uznaje za zdrajców, nacjonalistów, faszystów czy kosmopolitów) drugą stronę z przestrzeni wspólnoty, rzeczy pospolitej. I w efekcie buduje rzeczy prywatne, a nie wspólne.



GEORGE LAKOFF
„MORALNA
POLITYKA. JAK
MYŚLĄ
LIBERAŁOWIE
I KONSERWATYŚCI”
ALETHEIA 2017



IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Język polski

Tej zimy przydarzyła mi się taka oto przygoda. Byłem w Meksyku, na Jukatanie. I tam wraz z synem odwiedziliśmy jedną z dziesiątków cenotes, czyli głęboką studnię krasową z krystaliczną wodą. Takie zbiorniki, położone albo w dżungli, albo w podziemnych jaskiniach, stanowią cel pielgrzymek nurków, bo niektóre to prawdziwe głębiny (Majowie uważali, że stanowią przejście do piekieł, i topili w nich wyopatroszone wcześniej ofiary – w niektórych do dzisiaj zalegają szkielety).

My jednak pływaliliśmy jedynie z rurkami. Ja już wylazłem na drewniany pomost, a mój syn podglądał ryby (bo szkieletów szczęśliwie tam nie było). Nagle pomiędzy mną a nim stanęła cudnej urody Mulatka, od której – szczerze mówiąc – oczu oderwać nie mogłem, mimo – a może właśnie dlatego – że była do mnie odwrócona tyłem. Wreszcie powróciłem do rzeczywistości i krzyknąłem: „Tymon, wyłaż! Już musimy iść”.

Na te słowa zjawiskowa Mulatka zwróciła się do mnie i rzekła, bardzo zdziwiona, te słowa: „Och, to też mówisz po polsku?!”. – Też – wyjąkałem i mogę się założyć, że jednak byłem bardziej zaskoczony. Zaczęliśmy gawędzić i okazało się, że dziewczyna pochodzi z Kalifornii, natomiast jej mama jest Polką z Gdańska. I oczywiście nauczyła mówić swą córkę po polsku.

I teraz do czego zmierzam. Po pierwsze, uwielbiam te

kobiety, które ułożyły sobie życie poza Polską, ale nauczyły swoje dzieci ojczystego języka. To nie tylko kwestia korzeni i tożsamości czy patriotyzmu, lecz także sprawa praktyczna. Jeden dodatkowy język zawsze może się przydać, i to nie tylko w karierze zawodowej, lecz także do tego, żeby sobie porozmawiać ze mną w urokliwych okolicznościach przyrody. Mam w rodzinie podobny przypadek: dzieciaki wychowane i mieszkające w Belgii mówią po polsku bez cienia obcego akcentu i ogromnie szanuję za to mamę tych dzieci.

Ipo drugie: pisząc powyższy akapit, uświadomiłem sobie, że najczęściej to Polki wychodzą za cudzoziemców. Polacy płci męskiej znacznie rzadziej usidlają obywatelki innych krajów. Znam bardzo wiele mieszkających w świecie mieszanych małżeństw z żonami Polkami i żadnego z odwrotną relacją. Oczywiście i takie przypadki się zdarzają (Radosław Sikorski czy Roman Polański), ale zasadniczo są wyjątkami potwierdzającymi regułę. A reguła jest taka, że to Polki są – za przeproszeniem – naszym hitem eksportowym. Polskich mężczyzn jakoś świat nie szturmuje. Nie uwodzi, nie porywa, nie kocha.

Panowie, czy nie powinno to wam (nam) dać do myślenia? Na globalnym rynku męsko-damskim nasz magnetyzm sprawdza się jedynie wobec Ukrainek. A większość Polek po prostu nie ma wyboru. ©



MARCIN WOLSKI

KRÓTKO PO WOLSKU

Komórka

Zastanawiam się, ostatnio coraz poważniej, czy przypadkiem gdzieś w strukturach władzy nie ma doskonale zakamuflowanej komórki, której jedynym celem jest szkodenie. Sobie! Jak wiadomo, popularność rządzących jest duża, nie mają z kim przegrać, ale suma pewnej liczby błędów może przynieść odwrócenie tendencji.

Pojawiają się rozmaite pomysły, które w euforii są przegłosowywane i dopiero po pewnym czasie ludzie się zastanawiają, po co im

zdroworozsądkowego lobby które powiedziałyby – lepiej nie!

Ostatnio sprawą, w której pozwałam sobie nie zgadzać się z ukochaną władzą, jest kwestia handlu w niedzielę. Moje stanowisko umacnia precedens bratnich Węgier, które już po roku wycofały się z podobnego pomysłu. Czy nie warto byłoby sprawdzić, zanim proces legislacji dobiegł końca, dlaczego? Powodów mego zdania odrębnego jest kilka – po pierwsze, przedkładanie interesu jednej grupy zawodowej nad interes społeczeństwa pachnie mi komuną, w której normą była przerwa obiadowa w restauracjach w godz. 14–16. O wiele lepszym pomysłem byłoby codzienne zamknięcie marketów do 14 (poza sklepami spożywczymi). Bo kto wtedy robi zakupy? Wagarowicze i emeryci, reszta powinna być w pracy! Po drugie, nie wierzę w prorodzinny efekt zakazu – supermarket, do którego większość rodzin udawała się po kościele, był ostatnią szansą na familijną integrację. Na robienie czegoś – zakupy, kino, restauracja – wspólnie. Obecnie argument: „Chodź do kościółka, potem pójdziemy do muzeum” będzie miał znacznie mniejszą siłę przyciągania. A po trzecie, myślę o elemencie polityczno-statystycznym sprawy. Ilu ludzi ucieszyło nowe prawo, a ilu zostało autentycznie wkurzonych?! ©

Supermarket, do którego większość rodzin udawała się po kościele, był ostatnią szansą na familijną integrację

to było. Wspólne cechy tych pomysłów (często z nader odległych dziedzin, takich jak narodowa godność, polowania, zwierzęta futerkowe czy praca w niedzielę) łatwo wyliczyć. Po pierwsze, nie dotyczą celów strategicznych. Po drugie, gdyby ich nie było, świat by się nie zawalił. Po trzecie, nie generują zysków, co najwyżej straty. Po czwarte, zadowalając pewne głośne grupy w elektoracie, narażają się milczącej (przeważnie) większości. I nie ma dość silnego



SZEWACH WEISS

Być ambasadorem Izraela w Polsce

Ambasador jest posłem swojego rządu i kraju. To zawodowy dyplomata, którego zadaniem jest reprezentowanie interesów swojego państwa. Ta funkcja ma też symboliczne znaczenie – do dziś, podkreślając specyfikę tej służby, zwracamy się do ambasadorów per Ekszelencjo. Jednak bycie ambasadorem Izraela w Polsce ma wyjątkowe znaczenie, to szersza i głębsza misja. Jako pierwszy po utworzeniu Państwa Izrael podjął się jej Jisra'el Barzilaj, jeden z najważniejszych liderów socjalistycznej partii Mapam. Wracając do Izraela po służbie nad Wisłą, został ministrem zdrowia. Duże znaczenie ma to, jakie funkcje przed ambasadorską służbą pełni dany dyplomata, a jakie po niej.

Po Barzilaju było jeszcze kilku dyplomatów izraelskich w Polsce, a pierwszym ambasadorem po 1989 r. został, urodzony w Polsce, Mordechaj Palzur. Jako dziecko z rodziną uciekł przed wojną na wschód, później został wywieziony na Syberię, a następnie dostał się do Palestyny przez Iran z armią gen. Andersa. To niesamowity dyplomata, świetnie mówiący po polsku, znający polską kulturę, któremu powierzono misję bycia pionierem przy odnowie stosunków polsko-izraelskich zerwanych na ponad 20 lat.

Każdy z kolejnych ambasadorów dołożył swoją cegiełkę do odnowy naszego pojednania, do poszerzenia łączącego nas mostu. Każdy miał jakieś związki z Polską, znał polską specyfikę. Każdy z ambasadorów dokładnie wiedział i wie, dokąd jedzie, co się tam działo w ostatnim millenium, ostatnich wiekach, co się działo w okresie międzywojennym, podczas II wojny światowej i po niej. Każdy jest blisko tej historii i jej symboliki. Każdy z nich dokładnie

wie, kim był Kazimierz Wielki i kim była jego Esterka. Każdy z nich wie, że w XIII w. wydano statut kaliski, który otworzył przed Żydami drzwi do wolnego życia obok Polaków. Każdy też wie, że w XVII w. Bohdan Chmielnicki mordował i Żydów, i Polaków. Każdy wie, jak ogromny wpływ wywarli Żydzi z Polski na ruch syjonistyczny i na stworzenie Państwa Izrael, które teraz kieruje ambasadorów na służbę. Każdy też wie, kim byli Sprawiedliwi wśród Narodów Świata i kim byli szmalcownicy. Każdy zna polską historię podczas II wojny światowej, każdy z nich wie niemal wszystko o powstaniu warszawskim i powstaniu w getcie. Każdy z nich wreszcie zna Jana Karskiego i wie, co się działo w Jedwabnem. To są ludzie, którzy chcieli służyć w Polsce, wybrali sobie ten kraj i mają w sercu misję, by w cieniu dramatycznych i tragicznych dzieł być strażnikami tych specyficznych stosunków.

W ostatnich miesiącach, od czasu nowelizacji ustawy o IPN, bardzo trudno jest być ambasadorem Izraela w Polsce. Nie wiem, czy ja dałbym radę w tej sytuacji. Nasza obecna ambasador Anna Azari wykonuje bardzo odpowiedzialną i wymagającą odwagi pracę. To nie jest miłe, gdy jest się tak krytykowanym w Internecie, nie jest miło czuć, że jednak są Polacy, którzy podchodzą do tej sprawy z uczuciem antysemityzmu, a takie zjawisko istnieje. Prowadzenie dialogu z demokratycznie wybraną większością parlamentarną nie jest „zwykłą pracą”.

Może gdyby Polska przed 1989 r. nie zerwała z Izraelem stosunków dyplomatycznych na ponad 20 lat, dialog byłby prowadzony we właściwym czasie, gdy wydarzenia, do których się odnosi, nie były tak odległe. To, co się dzieje teraz, jest spóźnione i nie wiem, czy można to

nazwać dialogiem. Bo gdy historia staje się częścią polityki, a inaczej w sytuacji Polski i Izraela być nie może, wtedy nie ma spokojnego, merytorycznego dialogu. Być może spokojna dyskusja w naszej sytuacji w ogóle nie jest możliwa, bo dotyczy spraw bardzo emocjonalnych. I trudno, by było inaczej. Żyje jeszcze część ocalałych z Zagłady, wkrótce nas nie będzie, ale jeszcze żyjemy. Żyją Polacy z tego pokolenia. Żyją niektórzy powstańcy warszawscy, część naszych ukochanych i szlachetnych Sprawiedliwych wśród Narodów Świata i ich rodziny. Z pewnością żyją jeszcze ostatni szmalcownicy. Znajdujemy się więc w sytuacji, w której bardzo łatwo jest doprowadzić do wybuchu pożaru. A każde słowo, każde zdanie może dolać oliwy do tego ognia.

W tej trudnej sytuacji zwracam się do Polaków, by zrozumieli, jak ważną i odpowiedzialną pracę wykonuje pani ambasador Anna Azari. Wierzę, że jej odwaga pomoże wrócić do sytuacji istniejącej do grudnia ubiegłego roku. © © *oprac. raw*

„Do Rzeczy” poleca:

- Najbardziej osobista książka **Szewacha Weissa**
- Za co najmocniej **kocha Polskę?**
- Jak toczyć bitwę o **prawdę historyczną**, by ją wygrać?
- Kulisy spotkań z najwybitniejszymi **politykami świata** w XX w.



Książka dostępna w placówkach Poczty Polskiej oraz u wydawcy: prenumerata@pmpg.pl, tel. 22 529 12 00

Skazy na książkach

Książka Piotra Zychowicza nie odkrywa niczego nowego o żołnierzach wyklętych. Autorowi najprawdopodobniej chodziło o wywołanie sensacji i zwyczajny lans





Narodowy Dzień Pamięci Żołnierzy Wyklętych, jedno z najmłodszych świąt w polskim kalendarzu, jak żadne inne skupia wokół siebie wiele emocji i zainteresowania. Z roku na rok jesteśmy świadkami coraz liczniejszych inicjatyw animowanych zarówno przez samorządy, podmioty społeczne, jak i struktury rządowe. Część z nich spotyka się z protestami różnych środowisk chcących za wszelką cenę powrócić do obowiązującej przed latami 1989 i 2010 narracji. Półki księgarń corocznie – zwłaszcza od 2010 r. – uginają się wprost od publikacji ukazujących żołnierzy wyklętych w różnych projekcjach – bitewnych, rodzinnych, organizacyjnych, regionalnych. Podobnie jak sklepy z odzieżą patriotyczną oferujące różnego rodzaju stroje, gadżety z mniej lub lepiej dobranymi symbolami Polski Walczącej, WiN, NZW, ZJ, NSZ. Zjawisko to zaczyna tworzyć wrażenie pewnego przesytu oraz przeświadczenia, że wszystko lub prawie wszystko zostało już w ramach tematu, jakim jest antykomunistyczne podziemie niepodległościowe, zbadane i opisane, a następnie w sposób rozumny przetrawione przez popkulturę, która wybrała w ramach zadania popularyzowania podziemia antykomunistycznego konkretne postacie i symbole. Ze smutkiem trzeba skonstatować, że jest to wrażenie błędne. Kiedy weźmiemy do ręki sporą część najnowszych publikacji dotyczących podziemia antykomunistycznego, okazuje się jednak, że rzadko niosą ze sobą nowe ustalenia – bazując raczej na dokonaniach badawczych sprzed wielu lat, będących dziełem historyków, którzy jako pierwsi publikowali prace naukowe poświęcone żołnierzom wyklętym.

LIGA REPUBLIKAŃSKA I FUNDACJA PAMIĘTAMY

W przestrzeni publicznej coraz lepiej ma się kategoria tzw. przeżuwaczy oraz tych wszystkich, którzy przypisują sobie pierwszeństwo w pracach nad tak popularną obecnie tematyką. Jesteśmy wręcz świadkami nieustannego festiwalu, w ramach którego – wbrew faktom – można powiedzieć wszystko na ten temat. Trudno jednak znaleźć realne dowody owych mitycznych w gruncie rzeczy dokonań – zwłaszcza w zestawieniu z realnym wkładem kilku środowisk, które ponad 20 lat temu – wbrew powszechnie obowiązującej jeszcze

wówczas wykładni – podjęły trud badań naukowych oraz stawiania pierwszych materialnych znaków poświęconych żołnierzom wyklętym. To z całą pewnością środowiska skupione wokół śp. prof. Janusza Kurtyki i pomnikowego periodyku „Zeszytów Historycznych WiN-u” oraz środowisko warszawskie zgromadzone wokół śp. prof. Tomasza Strzembosza. Czy się to obecnie komuś podoba, czy też nie, to spod piór historyków z tych dwóch zbiorowości wyszła jak dotąd większość znaczących publikacji naukowych poświęconych podziemiu antykomunistycznemu – z „Atlasem podziemia...” na czele. Trudno to pojąć zwłaszcza dzisiaj – kiedy historia jako nauka zjadana jest tak łapczywie przez politykę, dzieląc tak bliskie kiedyś sobie osoby. Tak jak na płaszczyźnie naukowej pierwszeństwo należy się obu wymienionym powyżej środowiskom badaczy – tak w przestrzeni publicznej, materialnej palma pierwszeństwa należy się Lidze Republikańskiej i fundacji Pamiętamy. To one właśnie, a nie bliżej nieokreślone inicjatywy samorządowe z Opola czy innych ośrodków, były pierwszymi, które działając społecznie, wprowadziły do polskiego krajobrazu upamiętnienie

Najnowsze publikacje dotyczące podziemia antykomunistycznego rzadko niosą ze sobą nowe ustalenia

żołnierzy wyklętych (nomen omen – to również działacze Ligi stoją za ową najbardziej rozpoznawalną nazwą poświęconą żołnierzom podziemia – żołnierzem wyklętym). To działacze Ligi i fundacji oraz współpracujący z nimi historycy w czasach znacznie mniejszej popularności tego tematu mieli determinację, by jeździć po całej Polsce na posiedzenia lokalnych samorządów i w toku niezwykle burzliwych dyskusji obalać antymity na temat wyklętych i przekonywać miejscowych włodarzy, że żołnierzom podziemia należy się dobra pamięć współczesnych, bo walczyli o wolność Polski i za tę walkę płacili najwyższą cenę. Wymiernym dowodem ich dokonań jest dwadzieścia kilka pomników – postawionych za samodzielnie pozyskane środki. Dzisiaj

Obchody Dnia Pamięci Żołnierzy Wyklętych w Krakowie, 4 marca 2018 r.
FOT. BEATA ZAWRZEL/REPORTER

■ odwaga bardzo staniała. Nikt już zdaje się o owych dokonaniach nie pamiętać, a o osobach uczestniczących we wspomnianych działaniach nowi koryfeusze historycznej niwy piszą jako o „brązownikach”, „propagandzistach” i „badaczach plemiennych”. Czym jednak w zestawieniu ze wspomnianymi ludźmi mogą się pochwalić? Czy uczestniczyli w pracach nad ustawą z 2010 r. lub w przygotowaniu tablic poświęconych żołnierzom wyklętym na Grobie Nieznanego Żołnierza, w organizacji pierwszych rajdów dla dzieci i młodzieży? Czy znajdujemy ich w gronie uczestników projektów naukowych poświęconych podziemiu lub projektów poświęconych lokalizowaniu śladów komunistycznych zbrodni? Czy mogliśmy ich spotkać jako wolontariuszy przy poszukiwaniu tajnych miejsc pochówków ofiar tych zbrodni? Nie. Mają oni jednak nieprzepartą potrzebę dokonywania bezkompromisowych ocen i rozrachunków, stawiając siebie w roli sędziów i obrońców zarazem.

Nieprzypadkowo tuż przed 1 marca 2018 r. na półki księgarń trafiła książka red. Piotra Zychowicza „Skazy na pancerzach. Czarne karty epopei żołnierzy wyklętych”. Dla osób nieznających bliżej tematyki podziemia niepodległościowego zawiera ona szokujące wręcz zestawienie kilkunastu niezwykle drastycznych działań dokonanych przez żołnierzy wyklętych w latach 1944–1948. Wyjętych spośród – co warto podkreślić – tysięcy akcji, walk i potyczek stoczonych przez to podziemie w okresie powojennym. Już sama kumulacja tak fatalnych zdarzeń w jednej publikacji ma, wbrew zarzekaniu się autora, jednoznaczny, negatywny wydźwięk dla obrazu antykomunistycznego podziemia niepodległościowego. Można sądzić, że jest to zabieg celowy – oparty właśnie na chęci wywołania gwałtownych emocji, tak charakterystycznych i powszechnych w świecie mediów i tabloidów, a niepożądanych w badaniach naukowych. Nie o rzetelne badania tu jednak chodzi. Kolejnym pytaniem, które ciśnie się na usta, jest pytanie o cel, jaki postawił sobie autor, doprowadzając do wywołania takich, a nie innych emocji u potencjalnych odbiorców. I tu dochodzimy do sedna sprawy. Trudno bowiem nie skonstatować, biorąc pod uwagę drogę, jaką wybrał już kilka lat temu, określając np. powstanie warszawskie mianem „obłędu”, iż najprawdopodobniej chodzi o wywołanie sensacji i zwyczajny



IV Krajowa Defilada Pamięci
Żołnierzy Niezłomnych w Gdańsku,
4 marca 2018 r. FOT. LUKASZ DEJNAROWICZ/FORUM

publiczny lans, a być może także sukces merkantylny. Nie zaś o bezkompromisowość w odśłanianiu prawdy, którą się sam bezpodstawnie szczyci. Odbiorcom pozostawiam ocenę, czy wykorzystywanie do tego tak poważnych spraw etyki zawodowej, dziennikarskiej czy historycznej. Pozostaje przecież szeroki wachlarz innych sposobów pozwalających inteligentnemu człowiekowi na zwrócenie na siebie uwagi.

NIC NOWEGO

Z całą pewnością wynik owej pracy nie pozwala potraktować jej poważnie na płaszczyźnie poznawczej. Nie odkrywa ona bowiem niczego nowego. Pan redaktor idealnie wpisał się w przywoływaną wcześniej kategorię „przeżuwaczy”, których jedyną zasługą jest kompilowanie lub zestawianie w nowy (a jednak ciągle wtórny) sposób ustaleń innych badaczy. Wszystkie przywołane przez niego historie są w świecie nauki już od wielu lat znane i były przedmiotem wielu dyskursów – tak naukowych, jak publicystycznych. Co więcej, część z nich jako pierwsi ujawnili i opisali historycy, których zdecydował się w swojej publikacji stygmatyzować mianem „brązowników” i „propagandzistów”, odbierając im prawo do własnej – naukowej – niezależnej oceny genezy poszczególnych zdarzeń. Trudno w tej sytuacji zgodzić się z jego podstawową tezą, że

podobne fakty – jako niewygodne – były ukrywane i dopiero jego odważna decyzja pozwoliła ukazać je w pełnej krasie opinii publicznej. Poza warstwą ocenną, sformułowaną w sposób charakterystyczny dla pism brukowych (epatowanie czytelnika okrucieństwem i krwią), przywoływana książka nie wnosi nic nowego. Nie będąc publikacją naukową, pozbawiona jest aparatu pozwalającego ocenić rzeczywisty warsztat badawczy autora i podstawy źródłowe do formułowania stawianych tez. Można jedynie domniemywać, że autor pozbył się go celowo. Zamieszczenie aparatu naukowego obnażyłoby bowiem braki poznawcze autora w opisywaniu omawianego zjawiska. A są one widoczne gołym okiem. Autor podchodzi do problematyki lat wojny i konspiracji niepodległościowej z perspektywy współczesnego „zimnego chirurga”, który w żadnym razie nie chce uwzględniać specyfiki tamtych czasów. A była ona szczególna.

Po raz pierwszy na taką skalę zastosowana została przez praktycznie wszystkie biorące w niej udział strony wojna totalna, obliczona na zabicie jak największej liczby obywateli strony przeciwnej, nie tylko wojskowych, lecz także osób cywilnych. Działające na terytorium Polski wojska okupacyjne – niemieckie i sowieckie, a także współdziałające z nimi formacje kolaboranckie litewskie, białoruskie, ukraińskie, rosyjskojęzyczne – jako podstawę stosowały wobec

społeczności polskiej zasadę odpowiedzialności zbiorowej. Strona polska – reprezentowana przez AK czy też inne organizacje konspiracji wojskowej (BCh, NSZ) – zastosowała je jako ostatnia, i to w dalece ograniczonym, wręcz śladowym stopniu. Czynienie z tego faktu generalnych zarzutów świadczących o patologii w ich szeregach jest po prostu nieuczciwe (przy oczywistym wskazaniu amoralności tego typu działań i samej wojny). Podobnie jak zastosowanie wobec podziemnej armii ochotniczej standardów właściwych dla regularnego wojska, którym owa podziemna armia nie była i w warunkach konspiracji po prostu być nie mogła. Idąc tropem swoistej dialektyki stosowanej przez autora – w niedługim czasie powinniśmy spodziewać się jego nowych rewelacji mówiących o „zbrodniach” AK wobec Niemców na Zamojszczyźnie czy też wobec Ukraińców na Zasaniu, nie mówiąc już o przypadkowych ofiarach niemieckich i polskich podczas akcji Kedywu z lat wojny. Tylko jaki to ma sens?

Trudno powiedzieć, czy świadomie, czy też nieświadomie autor wpisuje się również w niezwykle żywotny „mit założycielski” wymyślony dawno temu przez komunistycznych propagandzistów – mówiący o zbandyceniu konspiracji powojennej. Jest on obecny także dzisiaj w dyskursie publicznym, zwykle z dodatkową tezą przeciwstawiającą „dobrą – uczciwą” Armię Krajową „zwyrodniałej i patologicznej konspiracji antykomunistycznej”. A przecież mówimy o organizacjach masowych, grupujących w swoich szeregach tak bohaterów, jak ludzi o ułomnych osobowościach. Wie o tym każdy historyk zajmujący się tą tematyką. Uczciwie zadane pytanie nie powinno więc brzmieć, czy owe patologie występowały. Jest to bowiem pytanie retoryczne. Powinno brzmieć: Jaki był do nich stosunek dowództw owych konspiracji? Tylko wtedy bowiem uzyskujemy odpowiedź, czy mamy do czynienia z patologią usankcjonowaną (tzn. patologiczną działalnością całej organizacji), czy też mamy do czynienia z marginesem – zwalczanym konsekwentnie, ale nigdy nie wypłenionym, tak w okresie funkcjonowania Armii Krajowej, jak później. Gdyby autor zadał sobie trud dotarcia do zachowanych w różnych archiwach setek dowodów, świadectw dających szansę na rzetelną odpowiedź na to pytanie, z całą pewnością jego tezy byłyby mniej sen-

sacyjne. Tyle tylko że na tym kompletnie mu nie zależało.

BŁĘDY I PRZEKŁAMANIA

Trudno wreszcie przejść obojętnie wobec błędów merytorycznych i załamania, których dopuścił się autor omawianej publikacji. Warto przytoczyć tylko kilka, będących i tak wystarczającym świadectwem swoistego pojętego profesjonalizmu, w którym liczy się przede wszystkim osiągnięcie z góry założonego celu. Gdyby autor uważniej przeczytał publikacje dotyczące tematu, spostrzegłby np., że Lech Leon Beynar „Nowina” (Paweł Jasienica) nie był uczestnikiem bitwy pod Worzianami – nie mógł zatem składać relacji opisującej jej przebieg, na którą się powołuje (pomylił go z Wacławem Beynarem – patrz: „Zeszyty Historyczne WiN-u” nr 10, s. 116). Same dywagacje dotyczące powodów, które stały za rozstrzelaniem więzionych wówczas do niewoli żołnierzy niemieckich, pozostawiam bez komentarza. Autor przyjmuje bowiem jako wiarygodny tylko jeden wariant, mający udowadniać rzekome okrucieństwo mjr. Łupaszk. Wypada jednak zapytać, skąd ma wiedzę na temat braku przewin owych żołnierzy uczestniczących przecież nie w zebraniu kółka różańcowego, ale w pacyfikacyjnej operacji przeciwpartyzanckiej wymierzonej w ludność cywilną i polski ruch niepodległościowy. Równie nierzetelnie postępuje red. Zychowicz z zamieszczonym fragmentem relacji Zygmunta Błażejewicza – pomijając niepasujący do swych wywodów fragment mówiący o jego rozterkach i wyrzutach sumienia po akcji w Brzezinach. Redaktor Zychowicz na wielu stronach swej książki zapewnia o szacunku, jaki ma rzekomo dla żołnierzy wyklętych, a w szczególności dla mjr. Łupaszk. Jednocześnie, rezygnując z samodzielnej analizy sytuacji, w afirmacyjny sposób przyjmuje ocenę tej postaci sformułowaną przez dr. Pawła Rokickiego w książce „Głinciszki i Dubinki” (Warszawa 2015), której autor pisze o Łupaszcze jako o zbrodniarzu wojennym. Szacunek dla kogoś, kogo uważa się za zbrodniarza, to jakieś rozdwojenie jaźni. Redaktor Zychowicz, podobnie jak dr Rokicki, nie chce przyjąć do wiadomości, że nie ma żadnego rzeczywistego dowodu (dokumentu lub wiarygodnych relacji), potwierdzającego, aby bohaterski major

wydał rozkaz nakazujący zabijanie kobiet i dzieci podczas odwetowego rajdu dwóch pododdziałów 5. Brygady na teren Litwy. Bo za taki dowód nie może być uznane jedno ogólnikowe zdanie z relacji por. Jana Wiącka „Rakoczego”, oficera najwyższego stopniem w gronie uczestników masakry w Dubinkach, a zatem najbardziej odpowiedzialnego za to, co się tam wydarzyło. Jest oczywiste, że por. Wiącek jest w tej sprawie stroną i starał przedstawić siebie w korzystnym świetle.

Wszystko to jest niestety smutnym potwierdzeniem starej prawdy, że cel uświęca środki. Tylko jaki to ma związek z nauką? Żaden. Autor w typowy dla młodego pokolenia sposób dzieli naukowców na tych, z którymi miał wcześniej polemiki i których traktuje, delikatnie rzecz ujmując, obcesowo, przechodząc do porządku dziennego nad ich naukowym dorobkiem, i pozostałych, którym udziela swoistego

namaszczenia jako naukowcom obiektywnym. Oczywiście ma do tego – jak każdy – prawo. Jako osoba publiczna – dziennikarz – powinien jednak dokonywać owej oceny w sposób transparentny i obiektywny. Tymczasem wytykając innym obronę dobrego imienia strony polskiej jako coś nagannego, sam czyni coś znacznie gorszego – posługuje się manipulacją.

Na temat powojennego podziemia niepodległościowego napisano w minionych kilkudziesięciu latach bardzo wiele – do 1989 r. wyłącznie źle. Historyków czeka wiele pracy, aby ukazać w pełnej złożoności

skomplikowaną historię tego zjawiska – bo na to w pełni zasługuje. Na tej drodze z pewnością pojawi się jeszcze dużo dobrych i niestety – jak pokazały ostatnie lata – znacznie więcej słabych książek. Naprawdę szkoda tracić czasu na lekturę publikacji, których jedynym celem pozostaje chęć zdobycia owej minuty wątpliwej wartości sławy, po której nikt nie będzie zarówno o nich, jak i ich autorach pamiętać – taką wypada mieć nadzieję.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

dr Kazimierz Krajewski
dr Tomasz Łabuszewski
prof. Piotr Niwiński

Odpowiedź Piotra Zychowicza ukaże się w numerze „Do Rzeczy”, który zostanie wydany po świętach – 3 kwietnia 2018 r.



PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Przekleństwo plemienia Osagów

Temat zbrodni dokonanych przez Amerykanów na Indianach od dziesięcioleci wzbudza w Stanach Zjednoczonych olbrzymie emocje. Obok kwestii niewolnictwa chyba najbardziej elektryzuje amerykańską opinię publiczną. Trudno się więc dziwić, że książka „Czas krwawego księżycza” spotkała się z oceanem z tak wielkim zainteresowaniem.

To zapis dziennikarskiego śledztwa w sprawie tajemniczych mordów dokonanych na członkach plemienia Osagów. Dramat ten rozegrał się na terenie Oklahomy na początku lat 20. Najpierw wydawało się, że Osagowie mieli olbrzymie szczęście. Na należących do nich terenach odkryte zostały bowiem pokładne złoża ropy naftowej.

W efekcie Indianie z dnia na dzień stali się milionerami.

Jeździli limuzynami, zbudowali sobie wspaniałe rezydencje. Amerykańska prasa okrzyknęła Osagów najbogatszym narodem w historii świata. Tak rzeczywiście było. Wraz ze wzrostem cen ropy członkowie plemienia otrzymywali coraz bardziej oszałamiające sumy.

Niestety, dla niektórych z nich ropa naftowa okazała się przekleństwem. Ich bajeczne bogactwo

przyciągnęło bowiem sępy. Czyli zdemoralizowanych białych, którzy zwietrzyli szansę łatwego wzbogacenia się kosztem „naiwnych czerwonoskórych”. Byli to adwokaci, urzędnicy, policjanci, drobne cwaniaczki, a wreszcie – bezwzględni mordercy.

Nagle prominentni członkowie plemienia Osagów zaczęli zniknąć. Byli mordowani przez „nieznanych sprawców”, którzy mieli nadzieję na przejęcie ich majątku. W jaki sposób? Otóż część z nich wcześniej... weszła w związek małżeński z Indianami lub Indiankami! David Grann opisuje np. historię pewnej żony, która regularnie podtrzymywała swojego indiańskiego męża! Innych Indian zastrzelono, a jeszcze innych... wysadzano w powietrze. W sumie kilkadziesiąt osób.

Cały przerażający proceder był kryty przez lokalnych oficjeli i policjantów, którzy – oczywiście – otrzymywali za milczenie swoją dolę.



★★★★★
DAVID GRANN
„CZAS KRWAWEGO
KSIĘŻYCZA.
ZABÓJSTWA
INDIAN OSAGÓW
I NARODZINY FBI”
W.A.B. 2018

David Grann napisał naprawdę przerażającą książkę o ciemnej stronie ludzkiej duszy. Jestem pewien, że na jej kanwie powstanie niedługo wielki hollywoodzki film. Jeżeli nakręci go Clint Eastwood, to Oscar murowany. ©©



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Rozmowa z Piłsudskim

Na spotkaniach autorskich czasami dostaję pytanie: Czym różnią się nasze obecne elity polityczne od tych z czasów II Rzeczypospolitej? Z reguły odpowiadam, że jakie czasy, takie elity. I taka jest prawda, zawsze miałem wrażenie, że gdyby Piłsudski i Dmowski wiedzieli, kto dzisiaj odwołuje się do ich spuścizny, chyba

godziną rozmowę w cztery oczy. O czym rozmawiali, tego zapewne nigdy się nie dowiem. Chyba jednak całkowicie wyczerpali temat, albowiem do końca pobytu w Kraju Kwitnącej Wiśni nie poruszyli już spraw politycznych. Spędzali jednak razem dużo czasu, spotykając się niemal codziennie. Dmowski (który przybył do Japonii wcześniej) oprowadzał Piłsudskiego po zabytkach stolicy, wspólnie obejrzyli nawet część tradycyjnego przedstawienia w jednym z miejscowych teatrów. Czy możemy sobie wyobrazić dzisiaj podobną scenę z udziałem liderów partii rywalizujących o władzę w naszym kraju? Raczej bardzo wątpliwe.

Elity polityczne II Rzeczypospolitej imponowały także komunistom z PRL

przewróciłiby się w swoich grobach. Trudno bowiem znaleźć partię polityczną, która nie wspominałaby o okresie międzywojennym i nie wywodziła stamtąd swoich inspiracji. A przecież Piłsudski i Dmowski, chociaż dzieliło ich niemal wszystko, gdy jednak zaszła taka potrzeba (np. podczas konferencji paryskiej), potrafili zgodnie współpracować dla dobra Polski.

Wprawdzie mieli też osobiste porachunki, gdyż ich wzajemna niechęć zaczęła się od rywalizacji o kobietę, jednak gdy przypadkowo w tym samym czasie przebywali w Tokio w 1905 r. (w związku z wojną rosyjsko-japońską, kiedy obaj poszukiwali subsydiów na działalność przeciwko caratowi), potrafili zachować się, jak na dżentelmenów przystało. Po przypadkowym spotkaniu na ulicy udali się do hotelu, gdzie odbyli wielo-

inna sprawa, że elity polityczne II Rzeczypospolitej imponowały także komunistom z PRL. Wprawdzie oficjalnie nie przyznawano się do tego, ale w prywatnych rozmowach bywało już inaczej. Profesor Henryk Jabłoński, pełniący funkcję przewodniczącego Rady Państwa od 28 marca 1972 r. (z wykształcenia historyk), do końca życia przechwalał się, że kiedyś osobiście rozmawiał z Piłsudskim. Faktycznie miał rację, chociaż nie była to specjalnie długa pogawędka. Otóż student historii Jabłoński biegł kiedyś po korytarzu pewnego historycznego archiwum i przypadkowo wpadł na jakiegoś starszego pana. Ten powiedział do niego: „Uważaj, gówniarzu” i pogroził pięścią. To był Piłsudski i tak wyglądała ta rozmowa. Jednak faktycznie – miała miejsce. ©©

CZYTAJ CO TYDZIEŃ W LEPSZEJ CENIE

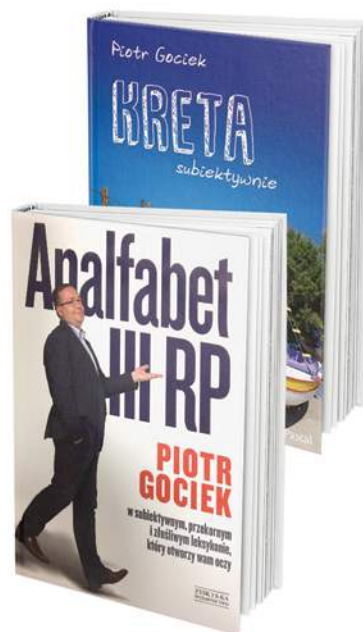
TYGODNIK LISICKIEGO
**DO
RZECZY**

PRENUMERATA PÓŁROCZNA TYGODNIKA „DO RZECZY”

DWIE KSIĄŻKI
“ANALFABET III RP”
“KRETA SUBIEKTYWNIE”

+

Cena: 146 zł
Oszczędność: 113zł



PRENUMERATA ROCZNA TYGODNIKA „DO RZECZY”

OPASKA SPORTOWA MANTA SWT9303
KROKOMIERZ, MONITOROWANIE TĘTNA, LICZNIK SPALONYCH KALORII,
WSKAŹNIK AKTYWNOŚCI FIZYCZNEJ, PRZYPOMNIENIE O AKTYWNOŚCI,
LICZNIK DYSTANSU, MONITOROWANIE SNU

+

Cena: 239 zł
Oszczędność: 289zł



 **MANTA**
Polska firma rodzinna

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WPŁATA NA KONTO: 62 1140 1010 0000 5184 9500 1007
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy z najbliższym wydaniem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl TELEFON: 22 529 12 10 INTERNET: prenumerata.dorzeczy.pl

eprasa.pl a020a897d1



Tomasz Wróblewski z Seulu

Negocjacje Trumpa z Kimem mogą odsunąć nuklearną groźbę, ale w rzeczywistości zarządzanie regionem przejmą Chińczycy

Równno 35 lat temu Ronald Reagan ogłosił swoją krucjatę przeciwko „imperium zła”. Ówczesni uważali go za szaleńca i bufona, a lewicowe media wróżyły III wojnę światową. Trzy lata później Reagan wyciągnął rękę do Michała Gorbaczowa i zaproponował koniec zimnej wojny. Nie wiemy, czy historia podobnie oceni kiedyś koreański szczyt Trumpa. Mimo pewnych podobieństw do przełomu i upadku Kim Dzong Una Trumpowi zdaje się być dziś dalej niż Reaganowi w 1983 r., za to bliżej jest do końca amerykańskiej mocarstwowości.

SANKCJE

Jeszcze pół roku temu przejście graniczne na moście w Qingdao, łączącym główną drogę z Pjongjangu z północną prowincją, tętniło życiem. Było jednym z głównych ośrodków wymiany handlowej z rządem. To tędy na północ jechały ciężarówki z mrożonymi owocami morza, płynęły barki z węglem czy tanią odzieżą produkowaną w licznych przygranicznych manufakturach zarządzanych przez chińskich biznesmenów. Z powrotem jechały tędy maszyny, samochody ciężarowe, a nawet niektóre dobra luksusowe dla północnokoreańskich elit. Dzisiaj, według niezależnych raportów i obserwatorów monitorujących granicę z Koreą Północną, ruch praktycznie ustał. Z chińskich i rosyjskich bazarów zniknęli mali i duzi pośrednicy, zniknęły tanie papierosy luzem transportowane do Chin. Z przejść granicznych zniknęli objuczeni wielkimi torbami handlarze, zwykle w trudnych okresach sankcji podtrzymujący namiastkę handlu. Trump po raz pierwszy ma wrażenie, że sankcje działają. Przyznają to nawet południowokoreańskie media, zwykle oskarżające Zachód o nadmierną pobłażliwość wobec reżimu Kima.

Po latach zwodzenia i udawania oburzenia koreańskim programem zbrojeń nuklearnych Chiny faktycznie zdają



Azjatycka

się przestrzegać ONZ-owskich sankcji. Według oficjalnych danych Pekinu import towarów z Korei Północnej do Chin spadł o 82 proc. A według południowokoreańskich specjalistycznych grup monitorujących wymianę handlową – o 60 proc. Tak czy owak to znaczący cios dla i tak dość prymitywnej oraz pozbawionej normalnej wymiany handlowej Korei – kraju w 90 proc. uzależnionego od importu ropy, w 50 proc. od importu żywności. Jeżeli zapowiadany na maj szczyt z udziałem prezydenta Trumpa nie przyniesie poprawy relacji, to w ciągu pół roku sytuacja w Korei Północnej może faktycznie przerodzić się z trudnej w tragiczną.

Nowy pakiet sankcji wprowadzony przez Stany Zjednoczone zakłada totalny, międzynarodowy bojkot statków

i przewoźników, którzy wbrew zakazom podejmą się przewozu z i do Korei Północnej towarów. W praktyce oznacza to, że jeżeli jakiś statek wpłynie do koreańskiego portu albo przejmie koreańskie towary na morzu, to może nigdy nie dostać prawa wejścia do żadnego portu morskiego państwa, z którym Stany Zjednoczone utrzymują stosunki handlowe.

AKCEPTOWALNE STRATY

Mało kto wierzy, że sankcje ostatecznie złamią reżim Kima i zmuszą go do rozbrojenia nuklearnego. Raz, że reżim zbyt wiele zainwestował w zbrojenia nuklearne. A dwa – że koreańska tolerancja na głód i wyrzeczenia zdaje się być bezgraniczna. Przyjmując nawet dane południowokoreańskich ośrodków monitorowania katastrof humanitarnych, według których



dzis 60 tys. ludzi może umierać na północy z głodu, to wciąż dla reżimu Kima są to akceptowalne straty. Pamiętajmy też, że Korea ma inne źródła dochodu, takie jak choćby cybergangsterka, fałszowanie obcych walut czy oferowanie swoich usług zbrojeniowych bandyckim reżimom na Bliskim Wschodzie czy w Afryce. Nawet jeżeli Korea Północna musiałaby zrezygnować z eksportu swojej siły roboczej i przyjąć z powrotem tysiące pracowników, w tym tych zatrudnionych w Polsce, to wciąż uczestniczy w zyskach z nierządu i handlu narkotykami. Głównie w Azji.

Z danych amerykańskiego wywiadu wynika, że blisko 50 ton towaru, oficjalnie zadeklarowanego jako materiał budowlany, Koreańczycy przesłali w latach 2017 i 2016 do Syrii. W rzeczywistości miał to być sprzęt do produkcji

broni chemicznej. Chińska firma zarejestrowana w Hongkongu, kontrolowana przez rodzinę Kima, wysłała łącznie pięć statków z podejrzanym ładunkiem do Syrii. Potencjalne zyski z operacji liczone są w setkach milionów dolarów.

Doświadczenie wcześniejszych lat każe założyć, że Korea Północna wciąż dysponuje sporymi zasobami importowanych dóbr, w tym dóbr luksusowych, akumulowanych w latach względnej prosperity, kiedy handel węglem jeszcze kwitł. Z danych ośrodka badań nad Koreą Północną prof. Kim Byung-Yeona wynika, że do dyspozycji najważniejszych rodzin w Korei Północnej jeszcze rok temu pozostawało ok. 3 mld dol. Ta suma mogła się skurczyć obecnie do 2 mld. To z pewnością jest wyzwaniem dla reżimu. Jednak czy to oznacza już rozkład państwa, utratę

kontroli i gotowość do bezwarunkowego kompromisu?

W przeszłości reżim Kimów wielokrotnie zdawał się leżeć na łożach i błagał o wsparcie humanitarne, obiecywał ustępstwa, czasem nawet udostępniał zachodnim dziennikarzom obrazy głodujących wsi. Dzisiaj (z wyjątkiem nielicznych lewicowych ugrupowań) trudno jest w Korei Południowej wywołać entuzjazm dla pomocy głodującym braciom i siostrom z północy. Pieniądze nigdy nie szły na zaspakajanie głodu, zawsze na zwiększanie nakładów zbrojeniowych. I tym razem, kiedy Donald Trump ogłosił swoją gotowość do rozmów z Kimem, zapewniając jednocześnie, że kogoś jak kogoś, ale jego to reżim nie wykiwa, w Korei Południowej pojawiło się mnóstwo obaw o to, czy aby szczyt nie zostanie wykorzystany do od-

budowy mocno ostatnio nadwyrężonego potencjału zbrojeniowego.

Obawy dzielą również Amerykanie. Po pierwsze, Donald Trump, z czysto osobistych ambicji, za wszelką cenę chciałby dowiedzieć, że jest doskonałym negocjatorem. Głosił to od początku kampanii wyborczej. On i tylko on jest w stanie doprowadzić do porozumienia z Rosją, tylko on zmusi Chiny do obniżenia deficytu handlowego, Europę do nowych umów celnych, a Meksyk do sfinansowania budowy muru na granicy. Na razie talenty negocjacyjne Trumpa nie przełożyły się na światową politykę. Tym bardziej będzie starał się doprowadzić do jakiegoś pokojowego rozstrzygnięcia z Koreą. To samo w sobie może być groźne dla procesu negocjacyjnego. Rozbudzone nadzieje są słabym doradcą i dają drugiej stronie większy margines do lawirowania, wymuszania ustępstw. Najlepszy dowód, że Donald Trump ogłosił przełom w stosunkach z Koreą Północną, zanim jeszcze nawet ustalono dokładną datę i miejsce spotkania na szczycie.

Sama w sobie zgoda na spotkanie w cztery oczy jest raczej ustępstwem, uwiarygodnieniem reżimu Kima i nagrodzeniem go za zbrojenia nuklearne niż sukcesem. Co nie zmienia faktu, że faktycznie ton, w jakim dziś wypowiada się Pjongjang, jest nieco inny od tego sprzed kilku miesięcy. Korea Północna mówi wprost o gotowości do rozbrojenia nuklearnego, nie stawia warunków wstępnych co do sankcji ani nawet wyprowadzenia amerykańskich wojsk z Korei Południowej. Nawet doroczne, zaplanowane na marzec, amerykańsko-południowokoreańskie manewry wojskowe nie są dziś przedmiotem dyskusji i po raz pierwszy Kim nie zapowiada działań odwetowych.

Pytanie: Czy trudna sytuacja ekonomiczna i większa otwartość na porozumienie z Zachodem faktycznie wystarczą do przeprowadzenia skutecznych negocjacji? Zwykle spotkania na szczycie tej rangi wymagają długich miesięcy przygotowań. Licznych spotkań urzędników średniego szczebla, zaangażowania zespołu profesjonalnych negocjatorów i ekspertów do spraw technicznych. Budowy wzajemnego zaufania, licznych na wpół formalnych kontaktów, które można przekuć w coś więcej niż oficjalne stanowiska stron. Bezpośrednie kontakty pozwalają doradcom na wychwycenie fałszywych gestów czy obietnic, których druga strona od początku nie ma zamiaru dotrzymać. Sławne spotkanie Regana w Rejkiawiku, podczas którego usta-

lono zasady powolnej kapitulacji Związku Sowieckiego, poprzedzone były miesiącami nieformalnych relacji ekspertów, badaniem gruntu, pracą wywiadowczą. Kiedy przyszło co do czego, amerykańscy dyplomaci wiedzieli już, co kto po rosyjskiej stronie powie i jak zareaguje. Dzisiaj Amerykanie nie tylko nie dysponują takim doświadczeniem, lecz także nie mają nawet swojego ambasadora w Seulu, który mógłby pełnić funkcję głównego architekta porozumienia. Z kolei człowiek, który miał zająć miejsce dawnego ambasadora, właśnie odrzucił nominację Trumpa. Wieloletni ekspert Departamentu Stanu, zajmujący się Koreą Północną od blisko 20 lat, niespodziewanie przeszedł na emeryturę. Brak doświadczonego zespołu do prowadzenia negocjacji z Koreą Północną podnoszony był przez Tillersona, który od początku sprzeciwiał

Waszyngton odrzuca na dziś możliwość ograniczenia amerykańskiej obecności wojskowej na Półwyspie Koreańskim

się spotkaniu na szczycie. Kto wie czy dla Trumpa to nie był ostateczny argument za zmianą na stanowisku sekretarza stanu. Waszyngton może oczywiście posiłkować się ekspertami rządu w Seulu, ale ten też właśnie dowiedział się, że zostanie objęty amerykańskimi sankcjami antydumpingowymi Trumpa.

ARGUMENTY ZA SZCZYTEM

Zwolennicy podjęcia rozmów z Koreą Północną zwracają uwagę, że niezależnie od pułapek, które mogą czyhać na Stany, rozładowanie napięcia na Półwyspie Koreańskim jest ze wszech miar pożądane. I nie tylko z uwagi na zagrożenie nuklearne. Amerykańska administracja od dłuższego czasu przekonana jest, że kryzys z Koreą jest sztucznie podtrzymywany dzięki Chinom, które ustawiają się w roli nieodzownego pośrednika. Korea nie tylko pozwala odwracać uwagę Ameryki od innych rejonów w dalekiej Azji, gdzie Chińczycy zwiększają swoją militarną dominację, lecz także staje się częścią negocjacji handlowych. Teraz, kiedy napięcie przekroczyło dopuszczalny nawet dla Chin poziom zagrożenia, kiedy pojawiła się realna możliwość nukle-

arnego uzbrojenia Korei Południowej i Japonii, rząd w Pekinie na gwałt stara się wymusić na Pjongjangu ustępstwa. Dalej jednak jest to ta sama gra co wcześniej, gdzie Waszyngton uzależniony jest od dobrej woli Pekinu. Stąd też przewrotny pomysł zbudowania bezpośrednich relacji koreańsko-amerykańskich bez zbędnych pośredników. Jeżeli, jak ma nadzieję Trump, będzie to początek normalizacji stosunków na Półwyspie Koreańskim, to dla Ameryki byłaby to też jedyna w swoim rodzaju szansa, żeby przeprowadzić całą operację bez Chin i rozpocząć bardziej niezależną politykę w regionie.

Departament Stanu w swoich ostatnich komunikatach stara się chłodzić nastroje. Propozycja szczytu pozostaje w mocy, ale przystąpienie do rozmów ma być uzależnione od tego, czy Korea Północna wykaże dobrą wolę i wstrzyma dalsze testy z bronią nuklearną. Waszyngton odrzuca na dziś możliwość ograniczenia amerykańskiej obecności wojskowej na półwyspie, podkreślając, że niezależnie od potencjału nuklearnego Korea Północna wciąż dysponuje też przewagą konwencjonalną w regionie. Mało tego – Departament Stanu oznajmił, że sankcje gospodarcze, włącznie z ostatnimi restrykcjami dla statków towarowych, pozostają w mocy i będą surowo egzekwowane. Wszystko to ma uspokajać sceptyków i ograniczać potencjalne obawy związane ze szczytem. Istnieje jednak niedopowiedziane ryzyko, że z braku profesjonalnej ekipy negocjacyjnej szczyt zostanie zdominowany przez zawodowych dyplomatów, którym Trump postawił zadanie osiągnięcia sukcesu i którzy sami z siebie od dłuższego czasu forsują pogląd, że dla świętego spokoju Ameryka powinna uznać Koreą Północną za mocarstwo atomowe. W przełomowym momencie Korea Północna może doskonale odegrać swoją rolę małego, niegroźnego imperium z pięknymi cheerleaderkami i żalosnym przywódcą, którego lewicowe media uznają za mniejsze zło od groźby wojny atomowej. Końcowe ustalenia pełne zapewnień o większym otwarciu Korei Północnej na obserwatorów humanitarnych i łączenie rodzin zaskakująco szybko mogą dać wyczekiwane porozumienie. I kto wie, może nawet groźba atomowej konfrontacji zostanie odsunięta? Końcowym efektem nie będzie jednak wolny Półwysep Koreański, tylko ostateczne przekazanie kontroli nad przepastnym kontynentem Chinom i symboliczny koniec amerykańskiej supermocarstwowości. © Wszelkie prawa zastrzeżone

Dymisja dotychczasowego sekretarza stanu Rexa Tillersona była w zasadzie przesądzona od momentu, gdy w zeszłym roku publicznie nazwał prezydenta Donalda Trumpa „pie... kretynem”. Po kilku miesiącach publicznych sporów między prezydentem a szefem amerykańskiej dyplomacji gospodarz Białego Domu wreszcie znalazł kogoś, kto nadaje z nim na tych samych falach.

54-latek ukończył prestiżową akademię wojskową West Point. Związków z armią nie ograniczył do wiedzy teoretycznej: w latach 1986–1991 aktywnie służył, biorąc m.in. udział w pierwszej wojnie w Zatoce Perskiej.

W 1994 r. skończył studia na Harvardzie, a cztery lata później spróbował sił w biznesie. Wraz z przyjaciółmi z West Point założył firmę Thayer Aerospace, którą kierował przez ponad dekadę. Był też szefem Sentry International – przedsiębiorstwa specjalizującego się w sprzęcie używanym do wydobywania ropy naftowej.

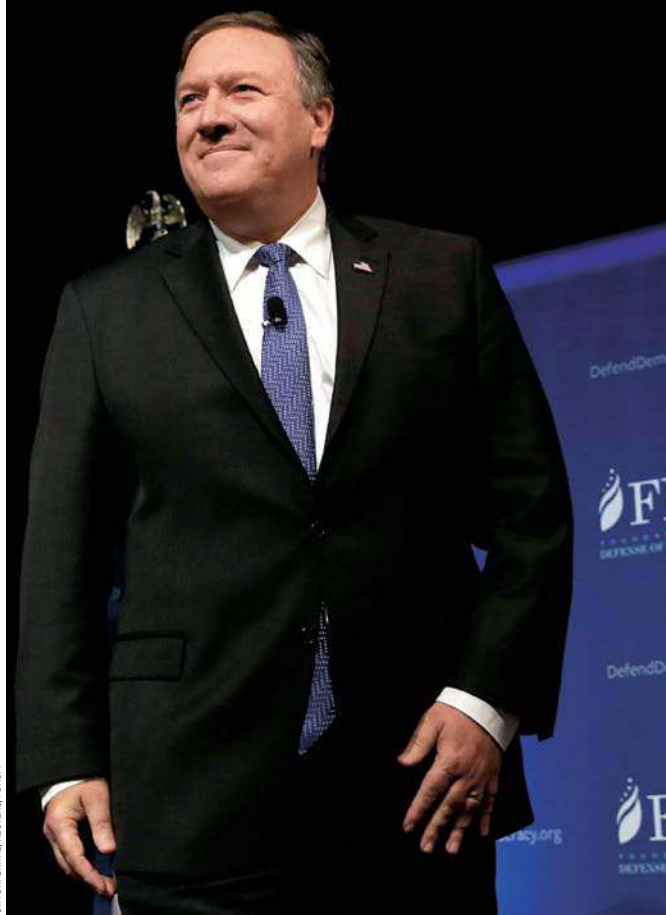
W 2010 r. jako członek ultrakonserwatywnej Tea Party został wybrany do Izby Reprezentantów. Rozpoznawalność wśród Amerykanów zapewniła mu surowa krytyka polityki zagranicznej prowadzonej przez Partię Demokratyczną, a zwłaszcza Hillary Clinton. Podobnie jak Donald Trump bardzo ostro komentował „historyczne” porozumienie, które w 2015 r. Barack Obama zawarł z Iranem.

Ma też „jastrzębie” poglądy na kwestię stosowania tortur – uważa podtapianie za uzasadnione – oraz kwestię śledzenia obywateli. Jest zwolennikiem kary śmierci dla Edwarda Snowdena, który ujawnił szczegóły totalnej inwigilacji prowadzonej przez amerykański wywiad.

Jastrząb z CIA

nowym szefem dyplomacji

Mike Pompeo, były żołnierz, kongresmen, biznesmen i szef najpotężniejszej agencji wywiadowczej świata, to sekretarz stanu, który patrzy na świat podobnie jak Donald Trump



FOT. YURI CRIPAS/GETTY IMAGES

Pompeo, w przeciwieństwie do Tillersona, podziela też sceptycyzm prezydenta USA w sprawie odpowiedzialności człowieka za zmiany klimatu. Od 2016 r., gdy Trump powołał go na szefa CIA, Pompeo blisko współpracował z gospodarzem Białego Domu.

– Pracuję już z Mikiem Pompeo od jakiś czas. Niesamowita energia, niesamowity intelekt – tak nowego sekretarza stanu zachwalał dziennikarzom prezydent USA. Energia będzie mu potrzebna. Prawdopodobnie Pompeo najwięcej czasu spędzi, zajmując się sprawami Korei Północnej, Syrii, Iranu, Rosji oraz Izraela.

Po odejściu Pompeo na czele Centralnej Agencji Wywiadowczej stanąć ma jej dotychczasowa wicedyrektorka Gina Haspel. To pierwsza kobieta w historii USA, której powierzono stanowisko szefa CIA. 62-letnia, z wykształceniem prawniczym, pracę w agencji zaczęła 33 lata temu. Służyła m.in. w Wielkiej Brytanii oraz w Turcji. Po atakach na World Trade Center niezwykle doświadczona oficer wywiadu nadzorowała tajne więzienie CIA w Tajlandii. Osobiście brała też udział w przesłuchaniach terrorystów z Al-Kaidy, którzy trafili do ośrodka Centralnej Agencji Wywiadowczej w polskich Starych Kiejkutach: Abdula Rahima al-Nashiriego oraz Abu Zubajdy – regularnie podtapianego Saudyjczyka, który podczas śledztwa stracił oko.

Temat ten bez wątpienia pojawi się podczas oficjalnych przesłuchań Haspel w amerykańskim Senacie. Zarówno ona, jak i Pompeo przed formalnym objęciem nowych stanowisk muszą bowiem uzyskać zgodę Senatu. ©© **Jacek Przybylski**



Jacek Przybylski

Używając broni chemicznej do przeprowadzenia zamachu na podwójnego agenta żyjącego na brytyjskiej ziemi, Putin złamał wszelkie zasady. Spokojna reakcja premier Theresy May nie odstraszy Rosji od przekraczania kolejnych granic

Mamy bardzo prostą zasadę: rubel za wejście, dwa za wyjście. To znaczy, że wstąpić do organizacji jest trudno, ale jeszcze trudniej ją opuścić. Teoretycznie dla wszystkich jej członków przewidziano tylko jedno wyjście: przez komin. Dla jednych z najwyższymi honorami, dla innych hańbiące, ale komin jest jeden. Tylko przez ten komin odchodzimy z organizacji” – pisał w „Akwarium” Wiktor Suworow, historyk i były oficer sowieckiego wywiadu wojskowego GRU.

Władze na Kremlu już po upadku Związku Sowieckiego wielokrotnie przypominały zdrajcom o tej prostej zasadzie. Ostatnio ofiarami rosyjskich służb szukających zemsty padli 66-letni Siergiej Skripal, były pułkownik rosyjskiego wywiadu wojskowego, oraz jego 33-letnia córka Julia. 4 marca oboje zostali odnalezieni nieprzytomni na ławce w centrum niewielkiego miasteczka Salisbury w południowej Anglii.

Skripal został schwytany przez Rosjan, a dwa lata później usłyszał wyrok 13 lat więzienia za przekazywanie oficerom brytyjskiego MI6 danych na temat siatki agentów Rosji w Europie. Za zdradę własnych ludzi miał zainkasować 100 tys. dol.

W 2010 r. pułkownik został oficjalnie ułaskawiony przez ówczesnego prezydenta Dmitrija Miedwiediewa i następnie wraz z trzema innymi szpiegami wymieniono go na lotnisku w Wiedniu na 10 rosyjskich szpiegów aresztowanych w Stanach Zjednoczonych. Skripal pod zmienioną tożsamością zamieszkał w Wielkiej Brytanii. Mógł poczuć się bezpiecznie, ponieważ przez lata w szpiegowskich rozgrywkach obowiązywała niepisana zasada, że po takiej wymianie



byli agenci po prostu wypadali z gry i ani oni, ani ich bliscy nie byli już dłużej celem ataku. Próbuąc otruć Skripala, Putin – być może już na zawsze – zmienił tę zasadę na ulubioną regułę dyktatorów: „Nie ma żadnych zasad”. Jednocześnie obecny przywódca Rosji jasno dał do zrozumienia, że skoro to nie on ułaskawił pułkownika zdrajcę, to nie zamierza przestrzegać ugód zawartych przez innych. Zarówno w tej, jak i w innych sprawach.

Aby nadać sprawie rozgłos, Rosja nie wybrała prostej metody likwidacji zdrajcy. Skripal – który po 15 latach bez dostępu do tajnych danych rosyjskiego wywiadu nie stanowił już szczególnego zagrożenia dla Rosji – mógł przecież wpaść pod ciężarówkę, pechowo nadziać się na jakiś nóż, powiesić się lub strzelić sobie kilka razy w plecy. W takim scenariuszu zgon wyglądałby zagadkowo, ale nie groził poważnymi konsekwencjami na scenie międzynarodowej. Decydując się na użycie w biały dzień broni chemicznej na

terytorium suwerennego zachodniego kraju, Kreml wybrał niezwykle skomplikowaną formę egzekucji i świadomie trafił na czołówki gazet, dokonując zamachu, który niebezpiecznie zbliża się do cienkiej granicy aktu wypowiedzenia wojny.

– Albo było to bezpośrednie działanie Rosji przeciw naszemu państwu, albo rosyjski rząd stracił kontrolę nad swoją substancją paralityczno-drgawkową i pozwolił, aby wpadła w inne ręce – oznajmiła w zeszłym tygodniu w Izbie Gmin szefowa brytyjskiego rządu Theresa May, dając władzom w Moskwie czas do północy z wtorku na środę na przedstawienie informacji dotyczących tego, w jaki sposób zabójczy środek chemiczny został wykorzystany do próby otrucia byłego szpiega na terytorium Wielkiej Brytanii. May zażądała też od Kremla przedstawienia szczegółowych informacji na temat rozwoju rosyjskiego arsenału broni chemicznej.

Z opinią, że za atakiem najprawdopodobniej stała Rosja, zgodziły się też Stany



Do ataku na podwójnego szpiega celowo użyto trucizny jednoznacznie wskazującej na to, że za zamachem stała Rosja. FOT. PETER NICHOLLS/REUTERS/FORUM

Zjednoczone oraz europejscy sojusznicy Wielkiej Brytanii: Francja, Niemcy i Polska. We wspólnym oświadczeniu prezydent USA Donald Trump, premier Wielkiej Brytanii Theresa May, prezydent Francji Emmanuel Macron oraz kanclerz Niemiec Angela Merkel potępił próbę otrucia Skripała, podkreślili, że był to pierwszy przypadek „ofensywnego użycia środka paraliżującego w Europie od zakończenia drugiej wojny światowej” i że atak tego rodzaju nie tylko narusza brytyjską suwerenność, lecz także stanowi „jednoznaczne naruszenie konwencji o zakazie broni chemicznej i złamanie prawa międzynarodowego”.

ŚMIERTELNY „NOWICJUSZ”

Moskwa dobrze wie, że tym razem nie może użyć argumentu, że taką truciznę „można kupić w każdym sklepie”. Jak ujawniła premier May, w ataku na podwójnego szpiega i jego córkę użyto bowiem broni chemicznej typu „nowiczok”. Wyprodukowany w moskiewskim

instytucie wynalazek z czasów zimnej wojny był już wcześniej używany do dokonywania zabójstw zarówno przez agentów Związku Sowieckiego, jak i współczesnej Rosji. Środek należący do tzw. Związków V, czyli grupy paralityczno-drgawkowych bojowych środków trujących, to prawdopodobnie najbardziej trująca substancja na świecie, dużo groźniejsza nawet od takich substancji jak sarin czy VX.

Trucizna do organizmu przedostaje się poprzez skórę lub drogi oddechowe. Nawet bardzo niewielka ilość tego środka zaburza wydzielanie hormonu, który odpowiada za połączenia między komórkami nerwowymi a mięśniami. W konsekwencji już po kilkudziesięciu sekundach od kontaktu z trucizną zaatakowany człowiek traci przytomność, dostaje drgawek i – bez specjalistycznej pomocy – szybko umiera.

O tym, jak toksyczna jest ta substancja, może świadczyć fakt, że po próbie otrucia Skripała do szpitala trafili nie tylko były oficer GRU oraz jego córka, lecz także

35 innych osób. 34 już wypuszczono do domów, ale Nick Bailey, oficer brytyjskiej policji, który był zaangażowany w akcję ratowniczą, zanim na miejscu zjawiła się jednostka wojska specjalizująca się w zwalczaniu skażeń chemicznych, w zeszłym tygodniu wciąż był w stanie ciężkim.

Użycie akurat tej trucizny to jak pozostawienie na miejscu zbrodni wizytówki rosyjskich służb. Władze w Moskwie zupełnie świadomie przekroczyły więc czerwoną linię. Być może zrobiły to, aby tuż przed wyborami prezydenckimi wysłać jasny sygnał, jaki los czeka wrogów Putina oraz tych, którzy mogliby myśleć o przejściu na stronę Zachodu. – Przekaz jest prosty: znajdziemy was, złapiemy i zabijemy – i choć w szyderczy sposób temu zaprzeczmy, to świat i tak nie będzie miał żadnych wątpliwości, że to zrobiła Rosja – tłumaczył motyw działania Kremla szef brytyjskiej dyplomacji Boris Johnson.

Spektakularna akcja służb specjalnych mogła mieć również za zadanie ostrzeżenie Rosjan przed „zewnętrznym wrogiem” i pokazanie siły militarnej kraju, który – według kremlowskiej propagandy – jest państwem wciąż niesprawiedliwie atakowanym przez egoistyczny Zachód. Wprawdzie Putin tak czy owak ma zapewnione miażdżące zwycięstwo w wyborach, ale „sukces” rosyjskich agentów w Wielkiej Brytanii odwrócił uwagę opinii publicznej w Rosji od tragicznej serii w Syrii, w której w ostatnich tygodniach zginęło wielu rosyjskich żołnierzy.

Rosjanie jeszcze przed upływem ultimatum brytyjskiego rządu zaprzeczyli oczywiście, aby mieli cokolwiek wspólnego z próbą otrucia swego dawnego agenta. Resort dyplomacji w Moskwie ogłosił, że „działania brytyjskich władz mają jawnie prowokacyjny charakter, Rosja nie ma związku z incydentem w Salisbury z 4 marca”. Rzeczniczka MSZ Marija Zacharowa wyraziła też w telewizji publiczne oburzenie, że takie mocarstwo atomowe, jakim jest Wielka Brytania, stawia komuś ultimatum. Jak podkreśliła, „teraz wszyscy powinni zrozumieć”, dlaczego Putin w swym marcowym orędziu zwrócił uwagę na nowoczesne uzbrojenie rosyjskiej armii. Szef senackiej komisji spraw zagranicznych zarzucił zachodnim politykom, że „obsesyjnie obwiniają Rosję o wszystkie grzechy tego świata”. Przewodniczący Dumy Państwowej

■ Waczesław Wołodin poszedł w tej retoryce jeszcze dalej. Oświadczył, że za próbę otrucia byłego rosyjskiego szpiega odpowiada Wielka Brytania, i uznał, że oskarżenia Londynu pod adresem Moskwy to ingerencja w wewnętrzne sprawy Rosji przed wyborami prezydenckimi, które odbędą się 18 marca. Moskwa wezwała więc na dywanik w MSZ brytyjskiego ambasadora w Rosji Laurie Bristowa.

POZDROWIENIA Z ROSJI

W państwowych rosyjskich mediach relacje dotyczące próby otrucia Skripała szły dwutorowo. Z jednej strony oficjalnie zaprzeczano, że Rosja ma z nią cokolwiek wspólnego. A z drugiej jasno dawano do zrozumienia, że podobny los czeka wszystkich zdrajców. – Nikomu nie życzę śmierci, ale z czysto edukacyjnych powodów chciałbym ostrzec wszystkich, którzy marzą o takiej karierze. Zawód zdrajcy jest jednym z najbardziej niebezpiecznych na świecie – przekonywał w zeszłym tygodniu na antenie rosyjskiej telewizji państwowej prezenter Kirił Klejmenow, po czym ostrzegł tych, którzy zdradzili swój kraj: „Nie wybierajcie Wielkiej Brytanii jako miejsca zamieszkania”. I dodał, że „chorobami zawodowymi zdrajców” są m.in. samobójstwa, wypadki samochodowe, a także zawały i udary. Ostrzeżenie brzmi tym mocniej, że w ciągu ostatnich lat z życiem pożegnało się już wielu dawnych wrogów ekipy Putina.

Próba zabicia Skripała przypomina choćby sprawę byłego agenta KGB Aleksandra Litwinienki, byłego pułkownika rosyjskiego kontrwywiadu FSB otrutego w 2006 r. w Londynie za pomocą radioaktywnego polonu-210. Prowadzone wówczas przez Brytyjczyków śledztwo wykazało, że wykonanie wyroku śmierci

na Litwinience zatwierdził najprawdopodobniej ówczesny szef FSB Nikołaj Patruszew oraz sam prezydent Rosji, a zarazem były agent KGB, Władimir Putin.

W zeszłym tygodniu Brytyjczycy ogłosili oficjalnie, że prowadzą śledztwo w sprawie 14 przypadków śmierci uznanych już przez zachodnie służby specjalne za zabójstwa dokonane na zlecenie Kremla, które zostały opisane przez serwis BuzzFeed News. Na liście osób najprawdopodobniej zamordowanych na zlecenie Kremla znalazł się m.in. oligarcha Borys Bieriezowski. Oficjalnie były magnat popełnił samobójstwo. W tę wersję nie wierzą jego przyjaciele. Jedną z osób twierdzących, że Bieriezowski został uduszony, był jego bliski współpracownik Nikołaj Głuszkow, który próbował prowadzić w tej sprawie śledztwo na własną rękę. Niestety, raczej nigdy się nie dowiemy, co ustalił, ponieważ w 12 marca późnym wieczorem jego rodzina odnalazła w domu w Londynie ciało 68-letniego Głuszkowa, który otrzymał w Wielkiej Brytanii azyl polityczny.

PACYFIŚCI I APOLOGECI ROSJI

Powodów działania Kremla mogło być wiele – jednym z nich może być przekonanie o słabości Europy Zachodniej, a co za tym idzie względnej bezkarności. Prezydent Rosji, państwa, które nielegalnie okupuje Krym, zestrzeliło holenderski samolot pasażerski i prowadzi operację zbrojną na Ukrainie, po krótkim okresie ostracyzmu znów jest przyjmowany na zachodnich salonach i ponownie rozmawia z zachodnimi przywódcami. Użycie broni chemicznej na terenie Wielkiej Brytanii było tym bardziej bezczelne, że kompromituje obecną szefową brytyjskiego rządu – Theresa May po śmierci

Litwinienki obiecała bowiem wdowie po nim, że coś podobnego nie zdarzy się na Wyspach już nigdy więcej.

Operacja tego rodzaju jest więc zaplanowanym policzkiem wymierzonym przez Rosję Wielkiej Brytanii – jednemu z najgorętszych krytyków Rosji w Europie Zachodniej. Jeszcze przed próbą otrucia Skripała, w styczniu obecnego roku, gen. Nick Carter, szef brytyjskiego Sztabu Generalnego, głośno ostrzegał, że Rosja – testująca w Syrii nowe systemy uzbrojenia – stanowi poważne zagrożenie dla Zachodu. Alarmował on również, że wojna z Rosją może być nieuchronna i – co najgorsze – może być przegrana. – Syria jest mniej więcej tym, czym była Hiszpania dla Adolfa Hitlera i jego Wehrmachtu – ostrzegał brytyjski generał, podkreślając, że Rosja może uderzyć w NATO wcześniej, niż się tego spodziewamy.

Już po ataku chemicznym na brytyjskiej ziemi cytowany przez „The Daily Telegraph” były szef dyplomacji William Hague oznajmił, że po próbie otrucia Skripała „apologeci oraz pacyfiści będą musieli zdać sobie sprawę z prawdziwego zagrożenia, jakie stanowi Putin”. Sekretarz generalny NATO Jens Stoltenberg potępił zaś „lekkomyślny wzorzec zachowania się Rosjan w ciągu ostatnich lat” i zauważył, że atak z użyciem broni chemicznej wpisuje się w strategię polegającą na rozbudowie rosyjskiego arsenału nuklearnego, operacjach militarnych w Gruzji i na Ukrainie oraz próbie ingerencji w zachodnie systemy polityczne.

Co na to wszystko brytyjski rząd? Po zabiciu w 2006 r. Aleksandra Litwinienki władze w Londynie wydalili czterech dyplomatów. Tym razem odpowiedź Wielkiej Brytanii była bardziej zdecydowana: Theresa May zapowiedziała wydalenie z kraju 23 rosyjskich „dyplomatów”, którzy zdaniem rządu w Londynie są „niezgłoszonymi oficerami wywiadu”.

Gdy zamykaliśmy to wydanie tygodnika, Moskwa jeszcze nie zareagowała na ruch Londynu, ale analitycy spodziewali się, że Rosja wyrzuci z kraju dokładnie taką samą liczbę brytyjskich dyplomatów. Słaba reakcja władz w Londynie – które myśląc o sankcjach wobec Moskwy, muszą pamiętać m.in. o interesach brytyjskich spółek naftowych działających w Rosji – nie odstraszy Putina od podobnych działań w przyszłości. Przeciwnie: można się spodziewać, że coś, co dzisiaj jest wyjątkiem, niedługo stanie się normą.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Sprawa Skripała przypomina sprawę byłego agenta KGB Aleksandra Litwinienki, otrutego na zlecenie Putina w 2006 r. FOT. NATASJA WEITSZ/GETTY IMAGES



NIEBEZPIECZNA WOLNOŚĆ SŁOWA

Rząd Wielkiej Brytanii tak mocno stoi po stronie wolności i równości, że niektórym tej wolności musi odmawiać. Przez trzy dni na lotnisku w Londynie policja przetrzymywała austriackiego aktywistę Martina Sellnera i jego dziewczynę – amerykańską youtuberkę Brittany Pettibone. Sellner miał wygłosić przemówienie w Hyde Parku – tam, gdzie w imię wolności słowa można swobodnie wypowiadać wszelkie sądy. Brytyjski rząd ocenił jednak, że przemowa Austriaka – poruszającego często kwestię migrantów – może być zbyt niebezpieczna. God Save the Queen, bo na naród już za późno.

FOT. REUTERS/FORUM

WSTYDŹ SIĘ, BIAŁY CZŁOWIEKU

Pani Bozoma Saint John, szczycha marketingu Ubera, zaapelowała do ludzi białych, by zaczęli działać w sprawie urozmiaienia swoich miejsc pracy. „Chcę, żeby ludzie rozglądali się w swoich biurach i mówili: »Och, spójrz, tu jest wielu białych ludzi. Zmieńmy to!«”. Saint John nie wyjaśniła jednak, czy np. należy zwalniać białych pracowników albo dyskryminować ich przy zatrudnianiu. Na często podnoszoną uwagę – że niewiele kobiet i mniejszości etnicznych w Dolinie Krzemowej to efekt tego, iż brakuje ich w ogóle wśród kandydatów do pracy – Saint John odpowiedziała: „Pieprzenie”. A nam się wydawało, że tym słowem można raczej określić to, co ona mówi.

WYNIK USTALONY PISTOLETEM

W trakcie meczu greckiej ekstraklasy prezes klubu PAOK Saloniki – Rosjanin Iwan Sawwidi wbiegł na murawę z pistoletem (choć należy uczciwie przyznać – pistolet

był w kaburze), bo sędzia nie uznał bramki strzelonej przez jego podopiecznych. Sędziowie uciekli, piłkarze drużyny przeciwnej odmówili dalszej gry. Jednak interwencja okazała się skuteczna – dwie godziny po przerwaniu meczu sędzia zmienił swoją decyzję.

FESTIWAL SERA BEZ SERA

Brytyjski festiwal sera w Brighton zakończył się skandalem. Zwiedzający, którzy musieli kupić bilet wart w przeliczeniu ok. 100 zł, nie mogli bowiem posmakować tego, na co mieli ochotę. Zastali tylko dwóch wystawców i zaledwie trzy stragany. Organizator tłumaczył, że firmy nie dotarły przez zaskakującą zimową aurę.

NERKA ZA ŚLUB

20-latek z Ukrainy chciał spełnić marzenie ukochanej o wyjątkowym ślubie i wydał na uroczystość 15 tys. dol. Miesiąc później młody mężczyzna zmarł. Wówczas rodzina i narzeczona dowiedzieli się, że spełnił marzenie dziewczyny, sprzedając własną nerkę handlarzom organów – na ciele miał ślad po operacji. ©©

Łukasz Zboralski



**PIOTR KOWALCZYK
Z RZYMU**

PIECZEŃ RZYMSKA

Wściekłość i wrzask

Po klęsce wyborczej włoski obóz postępu nadal tkwi w głębokim stuporze, a złośliwy los już nawet nie chichocze, ale zanosí się śmiechem.

Matteo Renzi, okrzyknięty Mesjaszem lewicy, stanął na czele Partii Demokratycznej i w ostatnich wyborach do PE zdobył dla niej 40 proc. głosów. Potem wysadził z siodła swego kolegę Enrico Lettę i został najmłodszym premierem w historii Włoch. Tę oszałamiającą karierę Renzi zawdzięczał przede wszystkim obietnicy, że „ześlomuje” partyjnych dinozaurów i zbuduje wszystko od nowa – i kraj, i partię.

Teraz towarzysze „ześlomowali” Renziego, jego pretorianom pali się grunt pod nogami, a kraj, jaki był, taki jest.

Italia po tych wyborach do czekała się swego pierwszego czarnoskórego senatora Toniego Iwobi (62 lata), urodzonego w Nigerii. Wbrew pozorom nie kandydował z ramienia kochających imigrantów postępców. Był kandydatem Ligi! Czyli zagłosowali na niego ludzie, których obóz postępu nazywa rasistami, ksenofobami i populistami.

Iwobi dzięki zdolnościom i pracy skończył studia oraz założył firmę informatyczną w Italii. Jest żywym

pomnikiem integracji doskonałej. Powiada, że trzeba nielegalnych imigrantów wysłać do domu, a dzieciom imigrantów owszem, należy przyznawać obywatelstwo, ale przedtem powinny zdać egzamin z języka, kultury i tradycji Włoch.

W bezsilnej wściekłości progresiści wrzeszczą, pienią się i wyzywają senatora od czarnuchów, małąp i brudasów, a kilku polityków lewicy stwierdziło, że to odrażający czarny rasista.

Odrażające jest również to, co często wychodzi spod błyszczącego lakieru, gdy tylko trochę poskrobać postępowca... ©©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

Wielki skok jest wymierny. Podczas gdy w wyborach parlamentarnych z 2013 r. Liga miała bardzo mizerne czteroprocentowe poparcie, teraz znalazła się w ścisłej czołówce. Głosowało na nią aż 17,4 proc. Włochów, co dało jej trzecie miejsce wśród partii politycznych (za Ruchem Pięciu Gwiazd – 32 proc. i Partią Demokratyczną – 18 proc.), za to pierwsze w obozie centroprawicy. Jeszcze całkiem niedawno nikt by w to nie uwierzył.

Bardziej znaczące jednak są dwa inne aspekty. Po pierwsze, w bloku centroprawicy – który odniósł zwycięstwo jako koalicja, zdobywając 37 proc. głosów – Liga wyprzedziła Forza Italia, partię Silvia Berlusconi, najważniejszego polityka Włoch ostatniego ćwierćwiecza. Ma to swoją wymowę, bo choć oba ugrupowania współpracują ze sobą od lat, w rządach Berlusconi Liga zawsze była tylko skromnym, choć bardzo potrzebnym koalicjantem. Po drugie – i ważniejsze – swój wielki sukces Liga zawdzięcza temu, że przestała być Ligą Północną i stała się ligą ogólnowłoską, aktywną na terenie całego kraju, od Doliny Aosty do Sycylii. Podkreśla to zmiana nazwy na – po prostu – Ligę. Jednak choć partia w nowym wydaniu wszędzie zdobyła sympatyków i ich głosy, dla wielu dawnych działaczy Ligi Północnej jest to nieledwie herezja.

POD SŁOŃCEM ALP

Wielka zmiana jest autorskim dziełem Mattea Salvini. Czy stanie on na czele rządu, trudno na razie powiedzieć, bo prezydent Sergio Mattarella konsultacje w tej sprawie zacznie dopiero po 23 marca, gdy już zorganizuje się parlament. Nie wiadomo, czy na przejęcie rządów zdecyduje się Ruch Pięciu Gwiazd, który do tej pory kategorycznie to wykluczał, ani jakie koalicje mogą się zarysować. Nie ulega jednak wątpliwości, że we wszelkich układankach nie da się pominąć odrodzonej Ligi.

Dzisiaj ta partia w niczym nie przypomina ugrupowania, które powstało w 1991 r. jako rodzaj federacji regionalnych organizacji z północnych i środkowych Włoch – Ligi Lombardzkiej, Autonomicznego Piemontu, Sojuszu Toskańskiego i innych. Łączył je wspólny cel, jakim była obrona bogatej północy przed zakusami biedniejszych regionów kraju, a docelowo – oderwanie regionów północnych od Włoch i utworzenie w dolinie Padu bardzo szeroko rozumianej, bo sięgającej od Alp do środkowych Włoch, nowego państwa

Matteo Salvini z sukcesem zreformował partię. Czy stanie na czele rządu, by zreformować kraj?

FOT. GUGLIELMO MANGIAPANE/REUTERS/FORUM

Liga już nie Północna



Teresa Stylińska

O krok od tworzenia rządu we Włoszech jest dziś Liga Północna. Partia, która w ciągu kilku lat wykonała prawdziwy „wielki skok”, przechodząc od roli marginalnego ugrupowania do ścisłej czołówki politycznej Włoch. Jej lider, 44-letni Matteo Salvini, ma realne szanse na zostanie premierem

pod nazwą Padania. Liga Północna od zarania była więc partią otwarcie separatystyczną, co na północy przysporzyło jej wielu zwolenników, którzy z radością przyjęli ogłoszenie niepodległości Padanii. 15 września 1996 r. w Wenecji Umberto Bossi, twórca i przywódca Ligi, odczytał deklarację niepodległości wzorowaną na amerykańskiej, poczynając od pierwszych słów: „My, naród Padanii...”.

Padania, choć istniejąca wyłącznie w sferze marzeń i planów, została wyposażona w atrybuty państwa – od flagi ze stylizowanym zielonym „słońcem Alp”, przez hymn „Va, pensiero” z opery „Nabucco” Verdiego, do rządu rezydującego kolejno w Wenecji i Vicenzy. Idea wykrojenia takiego państwa, choć mało realistyczna, za punkt wyjścia miała jednak całkiem trzeźwe, ekonomiczne kalkulacje. Na północy skupiają się gros produkcji przemysłowej (samochody, śmigłowce, komputery, przemysł odzieżowy), wielkie banki, produkcja artykułów spożywczych wysokiej klasy. Trzy największe regiony – Piemont, Lombardia i Veneto (pozostańmy przy zgrabnej włoskiej nazwie zamiast mało poręcznej Wenecji Euganejskiej) – zapewniają aż jedną trzecią dochodów kraju.

Dlaczego więc północ miałyby dzielić się tym, co w pocie czoła przez lata wypracowała, z południem – biednym, zafakowanym, skorumpowanym i opanowanym przez mafię (choć dzisiaj doskonale wiadomo, że mafia dawno już wkroczyła na północ i tu właśnie dokonuje najbardziej intratnych operacji)? Dlaczego ma utrzymywać mieszkańców Sycylii, Basilicatu, Kalabrii czy Apulii, o których każde dziecko na północy wie, że są brudni, leniwi i śmierdzą? Jeszcze niedawno nie inaczej opisywał ich sam Matteo Salvini.

WŁÓDZIEJSTWO W RZYMIE

Z czasem nastąpiło złagodzenie postulatów, na których realizację nie było większych szans. Radykalny separatyzm ustąpił miejsca federalizmowi. Liga Północna była za słaba, by deklaracje przekuć w czyny, ale jako koalicjant w rządach Berlusconi, który niezmiennie potrzebował jej poparcia, mogła sobie pozwolić na pewne symboliczne gesty. Gdyby nie to, 150-lecie zjednoczenia Włoch, przypadające w 2011 r., obchodzono by na pewno z o wiele większym rozmachem. Obiekcje Ligi („Te obchody są bez sensu” – mówił otwarcie Umberto Bossi, wówczas minister w rządzie Berlusconi) sprawiły,

że w Rzymie ograniczono się do niezbędnego minimum. Splendor trwających cały rok uroczystości wziął na siebie, nie bez zadowolenia, Turyn, stolica Piemontu, gdzie zrodziła się idea zjednoczenia.

Niekiedy jednak stanowisko Ligi rozmija się fundamentalnie ze zdaniem większości Włochów. Giuseppe Garibaldi, czczony powszechnie jako jeden z największych bohaterów Włoch, dla Ligi jest postacią zdecydowanie negatywną. Mało kto, jej zdaniem, zaszkodził Włochom tak bardzo jak on. To Garibaldi przecież przyłączył południe do nowo powstającego królestwa, wbrew intencjom inicjatorów zjednoczenia – króla Wiktora Emanuela i hrabiego Cavoura.

Chociaż Liga przez wiele lat wspierała krajem, to nie oszczędzała też Rzymu, w którym dostrzegała źródło korupcji i poślizgnięcia dla wszelkiego zepsucia. Nośnym hasłem: „Roma ladrona” (Złodziejski Rzym) piętnowano brud moralny, który ze stolicy rozlewał się na całe państwo. Krucjata moralna skończyła się jednak wielką kompromitacją, gdy na jaw wyszło, że Umberto Bossi inkwizytorskie zapędy miał tylko w stosunku do innych. Sam fundusze partii traktował jak własne i czerpał z nich do woli. Skandal, zakończony ustąpieniem Bossiego z funkcji lidera (w ubiegłym roku doszedł do tego wyrok skazujący go na dwa lata i trzy miesiące więzienia), sprawił, że Liga znalazła się na równi pochyłej.

WYDOBYCIE Z BAGNA

Matteo Salvini, gdy w 2013 r. obejmował przywództwo Ligi, nie miał więc łatwego zadania. Kompromitacja Bossiego, fatalny wynik wyborczy, brak środków na działalność – to wszystko oznaczało, że Liga w dotychczasowym kształcie nie ma szans na zdobycie nowych zwolenników, nawet jeśli na północy ciągle ma wiernych sympatyków. Szansę dawało jedynie poszerzenie obszaru działania, z cichą nadzieją, że mieszkańcy południa zechcą puścić w niepamięć inwektywy, jakimi jeszcze niedawno obrzucali ich działacze Ligi.

Nowy lider dowiódł swego wyczucia i talentów politycznych, gdy wbrew starej gwardii partyjnej postanowił pójść w tym kierunku. Potrzebował jedynie programu, który przemówi do wszystkich – na południu i na północy. To zadanie okazało się nadspodziewanie łatwe, bo tematy nie tylko narzucały się same, lecz także mieściły się w nurcie idei od zawsze lansowanych przez Ligę: sprzeciwu wobec imigracji i krytycznej oceny Unii Europejskiej.

Wyniki wyborów pokazują, że Liga uderzyła we właściwy ton: na Sycylii poparło ją 10 proc. głosujących, a na uduńczonych przez imigrantów Lampedusie aż 15 proc. Salvini postuluje skuteczną ochronę granic, nie akceptuje budowy meczetów i mówi bez ogródek, że masowa obecność wyznawców islamu zagraża kulturze oraz tradycjom Włoch. „Tym bardziej że – dodaje – islam to nie religia, lecz prawo”.

A Unia Europejska? „Dawniej sądziliśmy, że naszym wrogiem jest Rzym, później jednak odkryliśmy, że decyzje zapadają nie w Rzymie, lecz w Brukseli” – tak na portalu Politico wyjaśniał stanowisko Ligi Claudio Borghi Aquilini, który odpowiada w niej za sprawy gospodarcze. To w oczywisty sposób prowadzi do podkreślania znaczenia państw narodowych i ich suwerenności. Salvini nie domaga się, by Włochy opuściły Unię, ale z sympatią spogląda na Wielką Brytanię i jej decyzję o brexicie. Odrzuca euro. Włochy nie powinny być go przyjąć, bo jest to – jak mówi – „bardzo niedobra waluta, która prędzej czy później musi zniknąć”. Faktem jest, że wymogi sojuszu z proeuropejską Forza Italia zmusiły Salviniego do złagodzenia wypowiedzi, co Berlusconi odwzajemnił, sugerując używanie dwóch walut: euro w transakcjach ze światem i lira w obiegu wewnętrznym.

Dla sukcesu Ligi nie bez znaczenia jest także charakter Salviniego, który łatwo nawiązuje kontakt z ludźmi i nie boi się niewygodnych pytań. Pod tym względem bardzo przypomina Nigela Farage’a, „współautora” decyzji o brexicie. Salvini umie też wyciągać wnioski z sukcesów i potknięć innych przywódców prawicy, choćby Marine Le Pen, która łągąc linię Frontu Narodowego, przeprowadziła go z marginesu do głównego nurtu. Nie kryje też inspiracji trumpowskich, zwłaszcza hasłem wyborczym: „America First!”. „Prima l'Italia!” – powtarza Salvini na wiecach i w wywiadach. Ponieważ lider Ligi ceni i podziwia Trumpa.

Czy Salvini w roli premiera okazałby się zdolny do skutecznego reformowania kraju, tak jak zreformował partię? Włochy z pewnością potrzebują kogoś, kto umiałby dać im nowy impuls, poprowadzić w dobrym kierunku, wyciągnąć z zapaści. Gdy ogłoszono wyniki wyborów, Salvini w pierwszym swym wystąpieniu przypominał passus z zawartego z Forza Italia porozumienia: liderowi tej partii, która zdobyła więcej głosów, „przypadnie zaszczyt wydobywania Włoch z bagna”.

Chińskie przejęcie

FOT. WISŁU FEDUSZKO/REUTERS/FOURNA



Stefan Sękowski

Koncern Geely stał się największym udziałowcem Daimlera. Do przejęć europejskich potentatów przez chińskie firmy dochodzi coraz częściej. Czy jest się czego bać?

Pod koniec lutego właściciel chińskiego koncernu motoryzacyjnego Geely, Li Shufu, wprowadził Niemców w nie lada konsternację. 23 lutego ogłosił, że posiada 9,69 proc. akcji niemieckiej firmy Daimler, produkującej m.in. samochody słynnej marki Mercedes-Benz.

Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie to, że początkowo przejęcia przez Li największego pakietu udziałów w firmie nikt nie zauważył. Według niemieckiego prawa inwestor powinien ogłosić, jak duże udziały posiada w spółce, już wtedy, gdy wynoszą one ponad 3 proc. Sprawę bada Federalny Urząd

Nadzoru Finansowego, jednak wiele na to wskazuje, że właściciel Geely wcale nie musiał tego robić. Według niemieckiego dziennika „Handelsblatt” Li kupił akcje, które plasowały go tuż poniżej obowiązkowego progu. Resztę nabył w formie opcji. A taki mikś nakłada na niego obowiązek dopiero po przekroczeniu progu 5 proc. udziałów. Ta operacja wydaje się prosta, w praktyce jednak było to wielomiesięczne skomplikowane przedsięwzięcie, w które miały być zaangażowane liczne przedsiębiorstwa, m.in. zarejestrowane w Hongkongu firmy służy. Pomagać w procesie miały nie tylko prowincjonalny chiński bank, lecz także banki inwestycyjne, jak Morgan Stanley i Bank of America Merrill Lynch.

CHIŃSKI SEN

Sprawa wywołała w Niemczech dyskusję na temat tego, czy przypadkiem nie trzeba zaostrzyć regulacji dotyczących transakcji kapitałowych. Co prawda, Geely nie przejęło kontroli nad całą firmą, ale osiągnęło prestiżowy sukces: za cenę 7,5 mld euro stało się jego największym udziałowcem. Wejście jego przedstawiciela do władz firmy nie

jest oczywiste (statut chroni przedsiębiorstwo przed sytuacjami, w których członkami rady nadzorczej mogą zostać przedstawiciele konkurencyjnych firm), jednak nie wykluczone. Geely poprzez swojego człowieka w radzie nadzorczej mogłoby nie tylko wpływać na strategiczne decyzje Daimlera, lecz także mieć dostęp do informacji dotyczących takich decyzji. A to wcale nie musi być na rękę firmie będącej symbolem nie tylko niemieckiej motoryzacji. Geely nie jest jedynie właścicielem bezpośredniej konkurencji producenta Mercedesa, ale sam konkuruje na rynku chińskim z firmami, które... współpracują z niemieckim koncernem.

Sukces właściciela firmy Geely (co swoją drogą w języku mandaryńskim znaczy „szczęście”) Li Shufu można określić jako spełnienie „chińskiego snu”. Historia biznesu tego 54-latkę zaczyna się w czasach, kiedy po latach maoistowskiego doktrynerstwa chiński przywódca Deng Xiaoping wcielał w życie swój pogląd, że nie jest ważne, czy kot jest czarny czy biały, ważne, żeby łąpał myszy. Li swoją prywatną firmę założył w 1986 r. dzięki pieniądząom pożyczonym od ro-

dziny. Pierwotnie produkował lodówki; w latach 90. zaczął również produkcję motocykli, później doszedł do samochodów. Na zewnątrz okazuje nonszalanę, stwierdzając np., że budowa samochodu nie jest trudna, wystarczą do tego przecież tylko cztery koła i dwie kanapy. Tych kanap składa sporo, w 2017 r. Geely sprzedało prawie 1,3 mln samochodów osobowych, zajmując 19. miejsce na świecie – należący do Daimlera Mercedes-Benz sprzedał ich 2,5 mln i zajął dziewiąte miejsce. Na rodzimym rynku chińskim, który jest obecnie największy na świecie i odpowiada za 30 proc. sprzedaży samochodów osobowych, jest w czołówce, zwłaszcza jeśli chodzi o przyszłościowy segment: produkcję samochodów elektrycznych.

Geely zaskoczyło wielu, kiedy w 2010 r. kupiło spółkę Volvo Cars – niedysiejszą część szwedzkiego koncernu produkującego samochody osobowe. W ubiegłym roku kupiło także część udziałów w Volvo Trucks, produkującej ciężarówki (niewykluczone, że to wstęp do ponownej fuzji przedsiębiorstw), a także brytyjskiego producenta samochodów sportowych Lotus. Obie firmy są konkurentami Daimlera, wiedza na temat jego przedsięwzięć mogłaby pomóc w walce rynkowej. Zresztą nie tylko w Europie. Daimler współpracuje w Chinach z innymi firmami motoryzacyjnymi. Wraz z państwowym BAIC ma budować samochód elektryczny, wszedł także w kooperację z inną firmą zajmującą się tym segmentem, BYD. Dotychczasowi partnerzy wcale nie muszą być zachwyceni tym, że współwłaścicielem ich kooperanta właśnie stał się ich bezpośredni konkurent. A wbrew temu, co niektórzy mogą myśleć, chiński kapitalizm – choć w dużej mierze państwowy i regulowany – opiera się także na konkurencyjnym rynku wewnętrznym.

CHIŃSKA WIZJA

Li przedstawia jednak kwestię inaczej. – Konkurencja, która jest dla nas wyzwaniem technologicznym w XXI w., nie wywodzi się z przemysłu samochodowego – tłumaczy właściciel Geely. I wskazuje, że aby jej nie ulec, należy połączyć siły. Łatwo się domyślić, o kogo może mu chodzić. Tesla od lat produkuje samochody elektryczne i prowadzi badania nad autonomicznymi autami – ledwo co przetestowała swój nowy pomysł, czyli autonomiczne ciężarówki. Także firma Waymo,

należąca do spółki Alphabet, pracuje nad samochodami, które nie będą potrzebowały kierowcy. Alphabet powstał w wyniku zmian w firmie Google, która w tym roku kończy 20 lat i jeszcze kilka lat temu kojarzona była przede wszystkim z internetową wyszukiwarką. Według tej logiki starsi gracze (Geely nie jest znów takie stare...) mieliby łączyć siły, by nie dać się prześcignąć młodym wilkom, które myślą o podboju kosmosu. I tak Daimler pracujący nad autonomicznymi taksówkami miałby w takim układzie współpracować np. z Volvo (i oczywiście z Geely), które od 2019 r. chce zrezygnować z silników spalinowych, przerzucając się w całości na hybrydowe i elektryczne. Może i tak – problem w tym, że taki sposób przejęcia części udziałów nie nastraja optymistycznie. „Handelsblatt” powołuje się na wypowiedzi ludzi powiązanych z Geely, którzy twierdzą, że akcja nie była wymierzona

Akcjonariat w Daimlerze produkującym m.in. samochody Mercedes-Benz jest mocno rozproszony, co ułatwia sukcesywne skupowanie jego części

w Niemcy, ale była podyktowana chęcią ominięcia... chińskich regulacji dotyczących wywozu kapitału z kraju. Tak też może być. Pojawia się jednak pytanie: Czy rzeczywiście chiński obywatel mieszkający i operujący głównie w kraju, w którym mimo daleko idącego urynkowania wciąż bardzo wiele zależy od władz, chciałby się tak narażać?

Obawy Niemców budzi fakt, że to nie pierwsza tego typu operacja. W 2015 r. chińska grupa Midea kupiła 5 proc. udziałów w firmie KUKA, produkującej roboty przemysłowe. To potężne przedsiębiorstwo, którego produkty są jednym z symboli niemieckich nowoczesnych technologii. Jednak to był dopiero początek – parę miesięcy później Midea kupiła kolejny pakiet akcji i posiadała już jedną czwartą udziału w firmie. W 2017 r. Chińczycy stali się jedynym udziałowcem KUKA. Wbrew zachętom niemieckiego rządu, który próbował przekonać niemieckich przedsiębiorców do tego, by firma pozostała w niemieckich rękach.

Transakcja rozpetła dyskusję, w ramach której m.in. niemiecki eurokomisarz Günther Oettinger stwierdził, że potrzebne są regulacje na płaszczyźnie unijnej, które umożliwiłyby utrzymanie przedsiębiorstw o „strategicznym znaczeniu” w europejskich rękach.

Trudno powiedzieć, na ile zakup kilku procent udziałów w Daimlerze jest tylko pierwszym krokiem do przejęcia całej firmy przez Geely. Nie jest to jednak wykluczone, biorąc pod uwagę, że akcjonariat w przedsiębiorstwie jest mocno rozproszony (największym udziałowcem po Geely jest Kuwejt, który posiada 6,8 proc. akcji), co ułatwia sukcesywne skupowanie jego części.

CHIŃSKA GRA

Zdaniem eksperta Centrum Studiów Polska-Azja Pawła Behrendta taka długoterminowa strategia jest prawdopodobna. – Tak działa wiele chińskich firm. Przypomnę, że Lenovo było początkowo podwykonawcą IBM, a potem wykupiło jego dział komputerów osobistych – mówi w rozmowie z „Do Rzeczy”. Jedno jest pewne – Niemcy mogą spodziewać się poważnego i wymagającego partnera biznesowego. Zławsza że Chińczycy już nieraz pokazali, że w biznesie grają twardo. Nie tylko jako firmy prywatne, lecz także jako państwo. – Coraz częściej dochodzi do scysji akurat na linii niemiecko-chińskiej. Przykładowo do tej pory nie było obowiązku, by w niemieckich zakładach w Chinach funkcjonowały komórki partii komunistycznej. Teraz rządzący coraz częściej na to naciskają – tłumaczy Behrendt. Dodaje, że wiele firm prywatnych jest powiązanych albo z partią, albo ze służbami. Ponadto Chińczycy potrafią bezwzględnie wykorzystywać słabość partnerów. Przykładowo pod koniec ubiegłego roku dwie chińskie firmy prywatne przejęły 70 proc. udziałów w porcie Hambantota na Sri Lance. Ta kontrowersyjna transakcja była możliwa, ponieważ rząd w Kolombo jest mocno zadłużony wobec Chińczyków. Tak może wyglądać budowa Nowego Jedwabnego Szlaku, jeśli jedna ze stron jest uzależniona od Pekinu.

Zakup akcji Daimlera – w końcu firmy z wielkim prestiżem – przez Geely, i to jeszcze w taki sposób, to znak czasu. Centrum świata przesuwają się coraz bardziej w kierunku Państwa Środka.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest zastępcą dyrektora think zine'u „Nowa Konfederacja”.



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Kontrdyrektywą
w Berlin i Paryż

Unijna dyrektywa o pracownikach delegowanych – oto broń, którą Niemcy i Francja uderzają w Europę Środkową, w tym w Polskę. Za nic mając rzekomo wspólny rynek UE, którego jednym z filarów ma być swobodna wymiana usług, najbogatsze państwa Unii bez pardonu prą do zakazania firmom z naszej części Europy płacenia swym pracownikom, delegowanym do pracy w Europie Zachodniej, według własnych, zazwyczaj niższych stawek. I do zmuszenia ich do płacenia im według stawek obowiązujących w państwach, do których są delegowani.

Wkonsekwencji firmy z naszej, biedniejszej części Europy stracą przewagę konkurencyjną, wynikającą z niższych kosztów pracy (jedną z nielicznych, jaką posiadają) i zostaną – w dużej mierze – wyeliminowane z zachodnich rynków. Dotyczy to wszystkich polskich firm działających za granicą, w tym transportowych, które opanowały aż 25 proc. rynku UE i dlatego ich zachodnia konkurencja tak bardzo chce się ich pozbyć.

Jak odpowiedzieć na to bezpardonowe uderzenie? Otóż rządy państw, które ta restrykcyjna, wymierzona w fundamenty Unii, antywspólnotowa dyrektywa UE o pracownikach delegowanych będzie dyskryminowała, a więc w pierwszym rzędzie rząd Polski, powinny bez zwłoki zacząć się domagać wprowadzenia dyrektywy, która zrekompensuje ich gospodarkom związane z tym straty. Mogłaby to być

dyrektywa UE o pracownikach niedelegowanych, nakładająca nowy obowiązek na firmy z państw Unii, które sprzedają wyprodukowane u siebie produkty w tych krajach UE, gdzie koszty pracy w ich branży są niższe. Obowiązek ten polegałby na przymusie oferowania wyprodukowanych u siebie towarów po odpowiednio niższych cenach – niższych właśnie o różnicę kosztu pracy między krajem wytworzenia produktu a krajem jego sprzedaży. Czyli np. czekolada wyprodukowana w Belgii musiałaby być u nas sprzedawana po cenie niższej o różnicę odzwierciedlającą różnicę osobowych kosztów wytworzenia takiej czekolady w Belgii i w Polsce. To samo dotyczyłoby wszystkich innych towarów. Niemieckie auta, włoskie pralki, francuskie sery, itp. musiałby być oferowane w Polsce (i innych krajach Europy Środkowej) po odpowiednio niższych cenach.

Jeśli bowiem do bojących się wspólnego wolnego rynku starych państw UE nie dociera siła argumentu, że to właśnie tego wolnego rynku trzeba strzec za wszelką cenę, bo to się opłaci całej UE – i im, i nam, i dziś, i w przyszłości – to trzeba spróbować sięgnąć po argument siły. Czyli właśnie po unijną dyrektywę o pracownikach niedelegowanych. Nie ma innej drogi, by uchronić Polskę przed kolejną próbą wyciśnięcia z niej soków przez Berlin i Paryż, bez skrupułów dyktujące warunki całej UE.

Absurdalny pomysł? Być może, wszelako chyba nie bardziej niż dyrektywa o pracownikach delegowanych. ©©



KRZYSZTOF RYBIŃSKI

RYBIM OKIEM

Kto wygra
w XXI wieku

Nowożytna historia ludzkości to odwieczne zmagania dwóch struktur: hierarchii i sieci.

Dwa najbardziej ekstremalne przykłady dominacji jednej struktury nad drugą w historii Europy to państwo totalitarne – komunizm Lenina i Stalina w Związku Sowieckim oraz nazizm Hitlera w Niemczech, przykładem dominacji sieci jest działalność rodziny Rothschildów w światowych finansach.

W czasach Stalina jego polecenie wydane telefonicznie z dachy było niezwłocznie przekazywane do Moskwy, a potem błyskawicznie stawało się obowiązującym prawem. Stalin i jego otoczenie stawiali cel, np. wyprodukować daną ilość stali albo zamordować 350 tys. wrogów systemu, a cały aparat państwa był skupiony na wykonaniu i przekroczeniu tego celu. Wszelkie próby sprzeciwu były skutecznie eliminowane. W tak sprawnie działającej strukturze hierarchicznej funkcjonowanie jakiegokolwiek niezależnej sieci było niemożliwe, a członkostwo w niej groziło torturami i śmiercią.

Z drugiej strony rodzina Rothschildów, m.in. dzięki najsprawniejszej na świecie sieci komunikacji kurierskiej, osiągnęła taką dominację w światowych finansach, że w pewnym momencie bez jej aprobaty żaden kraj nie mógł dokonać emisji obligacji, a wielu rządzących „siedziało u Rothschildów w kieszeni”. Sieć zbudowana przez jedną rodzinę była potężniejsza od struktur państwa. Okres wojen XX w. to dominacja państwa

i jego struktury, ale początek XXI w. to okres tworzenia sieci w skali bez precedensu w historii ludzkości. Mowa oczywiście o Facebooku, a także o lokalnych sieciach, takich jak np. VKontakte w Rosji i w niektórych byłych republikach sowieckich.

Otym, że struktury sieciowe zaczynają dominować nad państwowymi, świadczy chociażby rola Facebooka w ostatnich wyborach prezydenckich w USA czy w referendum w Wielkiej Brytanii, które zdecydowało o wyjściu tego kraju z Unii Europejskiej. Albo rola Twittera podczas arabskiej wiosny. Sprawne terrorystyczne struktury sieciowe skutecznie stawiają opór dominującym militarnie strukturom hierarchicznym na Bliskim Wschodzie, czego przykładem są Syria czy tzw. Państwo Islamskie. Z drugiej strony w Rosji silne struktury państwa niwelują wszelkie próby tworzenia alternatywy dla obecnej władzy przez niezależne struktury sieciowe. Inne przykłady wpływowych nieformalnych sieci w XXI w. to człowiek z Davos czy Grupa Bilderberg, czyli nieformalne spotkania decydentów politycznych, biznesowych i medialnych.

WXXI w. konflikt obu struktur wydaje się nieuchronny. W jego rezultacie zostaną zdefiniowane normy kulturowe, zakres swobód obywatelskich czy sposób dystrybucji dochodów. Decydującą rolę w tym konflikcie odegra sztuczna inteligencja. ©©

Autor jest profesorem data science w Akademii Finansów i Biznesu Vistula.

TEST „DO RZECZY”: INTELIGENTNY SKANER EPSONA

Pojemny podajnik ADF, niezła szybkość skanowania oraz duży, kolorowy wyświetlacz ułatwiający obsługę urządzenia – to największe zalety modelu WorkForce DS-780N.

Kompaktowy skaner sieciowy przeznaczony głównie do małych i średnich biur potrafi skanować dokumenty w rozdzielczości 300 dpi z prędkością 45 stron na minutę.

Urządzenie umożliwia również sprawne zarządzanie zeskanowanymi plikami, które mogą być zabezpieczone np. identyfikatorem i hasłem użytkownika. Skaner uwzględni też kody kreskowe przy sortowaniu i nazywaniu dokumentów. Umożliwia też skanowanie na konkretne dyski twarde, skanowanie do chmury (np. Dropboxa, OneDrive etc.) lub wysyłanie odczytanych arkuszy na adres e-mail czy serwery FTP.

Nieźle sprawdza się też podajnik ADF z funkcją dwustronnego skanowania. Jego zaletą jest duży pojemnik, do którego można włożyć nawet 100 arkuszy A4, a także „inteligentne” funkcje, które



zapobiegają m.in. dostawianiu się do skanera podwójnych arkuszy i zmniejszają ryzyko czasochłonnych błędów podajnika.

Ułatwia to zwłaszcza skanowanie takich nośników jak koperty czy dokumenty z naklejonymi

notatkami. Tryb powolny umożliwia skanowanie np. pogniecionych dokumentów, a tryb długich dokumentów ułatwia odczytywanie nośników o długości do 6096 mm. Ten ostatni tryb wymaga jednak dopracowania. Przy skanowaniu długich arkuszy zdarzyło się jednak, że po odczytaniu mniej więcej trzech czwartych dokumentu, urządzenie poinformowało o „zacięciu papieru” i przerwało skanowanie, mimo że do zacięcia papieru nie doszło. Na szczęście w przypadku standardowych arkuszy A4 ten błąd podczas testu nie pojawił ani razu.

Istotną zaletą jest też duży kolorowy wyświetlacz LCD, który ułatwia sterowanie urządzeniem. Sama konfiguracja skanera może jednak nie być najprostsza dla przeciętnego Kowalskiego.

Poważnym minusem tego modelu jest brak obsługi Wi-Fi. Za pomocą tego skanera nie można również skanować bezpośrednio na pamięć flash. Wadą jest również wysoka cena urządzenia, na które trzeba wydać ok. 3,8 tys. zł.

Jacek Przybylski

ROWER Z PRZYSZŁOŚCI

Jest rzeczywiście oryginalny i na swój sposób piękny. Rzucający się w oczy, niezły technicznie. Bardzo funkcjonalny. I niestety drogi. Zamiast go już teraz na Indiegogo, trzeba zapłacić blisko 4 tys. zł. Nireeka to inteligentny rower typu e-bike, którego rama została wykonana z włókna węglowego, z kilkoma przydatnymi funkcjami i mocnym silnikiem elektrycznym, waży łącznie niespełna 16 kg.

Zacznijmy od tzw. inteligentnych funkcji, bo to w przypadku e-bike'ów wcale nie jest sprawą często spotykaną. Po pierwsze, Nireeka ma wbudowaną aplikację (iOS, Android) z trybem asysty jazdy opartą na biciu serca kolarza. W praktyce oznacza to inteligentne wsparcie pedałowania. Jak działa? Proste. Jeśli system po analizie bicia serca rowerzysty wykryje, że jest on zmęczony, to uruchomi silniczek elektryczny (na trzech różnych poziomach prędkości) wspomagający jazdę. Silniczek ma moc maksymalną 500 W, a zasilany jest baterią 10,8 Ah wystarczającą na ok. 6 godzin jazdy. Dodatkowo rower posiada dwa radary ultradźwiękowe, które mają zapobiegać kolizjom z samochodami. Jak? Ekran zamontowany w pobliżu kierownicy zmienia kolor na czerwony i wyświetla alarm w przypadku wykrycia zbliżającego



się pojazdu. Informuje też, gdy nadjeżdżający pojazd lub pieszy znajdują się w określonej wcześniej tzw. martwej strefie. Nireeka dysponuje też własnym nawigatorem GPS z systemem antykradzieżowym pozwalającym na ustalenie, gdzie obecnie rower się znajduje. Ma także system autolight z trzema różnymi systemami oświetlenia dostosowywanymi się do warunków meteorologicznych. Dostawa dopiero w sierpniu.

SUPEROSTRY OBIEKTYW

Może trudno w to uwierzyć, ale wciąż jeszcze są ludzie, którzy od fotografowania telefonami komórkowymi wolą tradycyjne aparaty fotograficzne, wymagające od fotografującego wiedzy na temat tego, jaką czułość, migawkę, ostrość i różne podobne magiczne myki ustawić, by zdjęcie było doskonałe. Jaka kłótwa ciąży na tych podziwu godnych pasjonatach dobrej fotografii?

Otóż często bywa tak, że zanim wyciągną aparat z torby i ustawią wszystkie parametry, okazja do dobrego zdjęcia bezpowrotnie przepadnie. Ma im w tym pomóc CITOGRAPH 35 mm, czyli pierwszy na świecie obiektyw cyfrowy o hiperostrości, zaprojektowany tak, aby „zdjąć” zdjęcie natychmiast w taki sam sposób, w jaki widzi kadr fotografujący. Bez konieczności regulacji przesłony i ustawiania zoomu. Dlaczego? Bo gadżet dzięki stałej przysłonie i technologii hiperfokusa automatycznie ustawi parametry na wszystko znajdujące się w odległości od 3 m do nieskończoności. Do tego obiektyw typu Tessar zapewnia świetną ostrość, a ogniskowa 35 mm daje połączenie standardowego i szerokokątnego widzenia.

Cena w zależności od rodzaju aparatu, do którego pasować ma gadżet, waha się na Indiegogo od ok. 1 tys. zł w górę. Dostawa w lipcu.

Wojciech Wybranowski



FOT. MATERIAŁY PRASOWE (3)



Piotr Włoczyk

Stephen Hawking był największym geniuszem od czasów Einsteina. O ile więcej byłby w stanie osiągnąć, gdyby nie choroba?



Władca czarnych dziur

FOT. JONBERLY WHITE/REUTERS/FORUM

Urodził się 8 stycznia 1942 r., dokładnie 300 lat po śmierci Galileusza, co zresztą lubił podkreślać. Gdy umarł, media podkreślały z kolei, że dziwnym trafem doszło do tego akurat w rocznicę urodzin Alberta Einsteina – 14 marca (i tak samo jak Einstein – dożył 76 lat).

– Jego nazwisko będzie już na wieki wyryte w historii nauki. Potrafił poszerzyć kosmiczne horyzonty milionów ludzi za sprawą swoich bestsellerowych książek. Jakby tego było mało, jeszcze większą rzeszę ludzi potrafił zainspirować do działania, dając niezwykle przykład, jak przezwyciężać bariery wbrew wszelkim przeciwnościom – mówi „Do Rzeczy” prof. Martin Rees, brytyjski

astrofizyk z University of Cambridge, rówieśnik i przyjaciel Stephena Hawkinga jeszcze z czasów studiów.

Hawking był fizykiem teoretykiem, astrofizykiem, kosmologiem i matematykiem, i w każdej z tych dziedzin był absolutnym geniuszem. Zajmował się m.in. grawitacją kwantową, zawzięcie poszukiwał początków wszechświata, ale przede wszystkim badał swoje ukochane czarne dziury.

„Nazywa się je czarnymi dziurami z uwagi na ludzki strach przed unicestwieniem lub połknięciem przez nie. Ja się jednak ich nie boję, rozumiem je. W pewnym sensie czuję, że jestem ich władcą” – powiedział w jednym z wywiadów.

– Największym osiągnięciem Stephena jest jego wkład w zrozumienie grawitacji w najbardziej ekstremalnych środowiskach – na początku wszechświata i w środku czarnych dziur – mówi „Do Rzeczy” prof. Marika Taylor, fizyk teoretyk z University of Southampton, która była studentką Hawkinga.

W 1974 r. odkrył on coś, co zostało nazwane promieniowaniem Hawkinga. Okazało się, że czarne dziury „parują”, co doprowadza z czasem do ich zniknięcia. Cztery lata później tłumaczył, że to wcale nie było długo wyczekiwane odkrycie: „Ja się po prostu o to potknąłem. Byłem z tego powodu raczej wkurzony”.

Hawking chorował na stwardnienie zanikowe boczne – ALS, które leka-

rze zdiagnozowali krótko po jego 21. urodzinach. – Miał problemy z utrzymaniem równowagi i mówił już z wielkim trudem. Uważano wtedy, że raczej nie będzie mu dane pożyć wystarczająco długo, by skończyć swój doktorat – wspomina prof. Rees.

„Kiedy stawiają przed tobą perspektywę wczesnej śmierci, nagle zdajesz sobie sprawę, że życie jest wiele warte i jest mnóstwo rzeczy, które chcesz zrobić” – mówił Hawking na temat swojej choroby.

Mimo fatalnych prognoz Hawking przeżył z ALS ponad 55 lat. Nikomu innemu nie udało się żyć z tą chorobą tak długo. Już w 1980 r. przestał się on samodzielnie poruszać, a pięć lat później przestał mówić.

DETERMINACJA ŻONY

W 1985 r. Hawking zapadł na bardzo ciężkie zapalenie płuc. Był umierający i lekarze zapytali jego żonę, czy jest gotowa odłączyć męża od respiratora. Ona jednak upierała się, by walczyć o niego do końca. Dzięki determinacji żony Hawking wyszedł w końcu z tego dramatycznego stanu, ale ciężkie procedury medyczne, jakim go wówczas poddano, pozbawiły go głosu. Trzy lata po rozmowach o odłączeniu go od aparatury, Hawking wydał książkę, o której można byłoby napisać osobny, ciekawy tekst.

„Krótka historia czasu. Od Wielkiego Wybuchu do czarnych dziur”, wydana w 1988 r., ponad pięć lat utrzymywała się na liście najlepiej sprzedających się książek „The Sunday Telegraph”. Dzieło jego życia sprzedało się w ponad 10 mln egzemplarzy, co potwierdza, że udało mu się zrealizować plan: chciał napisać książkę o kosmosie, która będzie sprzedawana na lotniskach. Hawking bardzo słusznie zauważył, że po każdym umieszczonym w książce równaniu odpadałaby połowa czytelników, więc użył w niej tylko jednego równania: $E = mc^2$.

Pod koniec książki wyłożył jasno swój cel: „Gdy odkryjemy kompletną teorię, z biegiem czasu stanie się ona zrozumiała dla szerokich kręgów społeczeństwa, nie tylko paru naukowców. Wtedy wszyscy, nie tylko naukowcy i filozofowie, lecz także zwykli, szarzy ludzie, będą mogli wziąć udział w dyskusji nad problemem, dłaczego Wszechświat i my sami istniejemy. Gdy znajdziemy odpowiedzi na to pytanie, będzie to ostateczny triumf ludzkiej inteligencji – poznamy wtedy bowiem myśl Boga”.

Hawking do końca przekonywał, że można spokojnie wyjaśniać początki wszechświata bez wiary w Bożą interwencję. „Niebo to bajka dla ludzi, którzy boją się ciemności” – mawiał. Chociaż podkreślał, że nie wierzy w Boga, to nie był jednak wojującym antyklerykałem – wiele lat współpracował z Papieską Akademią Nauk.

Gdy nie był już w stanie mówić, opracowano dla niego specjalny system, dzięki któremu mógł się porozumiewać z innymi. Początkowo do układania na ekranie monitora liter i wyrazów używał przycisku. Gdy stracił władzę nawet nad palcami, dostał sprzęt do komunikacji, który mógł obsługiwać oczami i ruchem policzka. W ten sposób pisał książki, przygotowywał teksty swoich wykładów. Do końca korzystał ze starego syntezatora mowy, który wypowiadał słowa płasko, bez akcentu. Uważał bowiem, że ten komputerowy głos stał się już częścią jego osobowości.

Znając swoje ograniczenia, większość pracy wykonywał w głowie, żeby jak najmniej korzystać ze skomplikowanej maszynierii do komunikacji. „Ludzie mają o matematyce błędne wyobrażenie, że to same równania. W rzeczywistości równania to tylko ta nudna część matematyki” – tłumaczył Hawking.

– Zapamiętam Stephena jako kogoś, kto był nieprawdopodobnie zdeterminowany i odważny, mimo swojej postępującej niepełnosprawności i cierpienia. Był oddany fizyce i nauczył mnie, czym jest fach fizyka teoretyka – mówi „Do Rzeczy” prof. Marika Taylor. – Na poziomie ludzkim był niezwykle przyjazny i miał po prostu szelmowskie poczucie humoru – śmieje się prof. Taylor.

NAUKOWIEC I CELEBRYTA

Kapitałnemu poczuciu humoru Hawkinga największe światowe gazety poświęciły osobne teksty. Do rozśmieszenia widowni genialnie wykorzystywał beznamiętny komputerowy głos syntezatora. Często kończył swoje pasjonujące wykłady zwykłym: „To wszystko, co miałem do powiedzenia. Dziękuję za wysłuchanie”.

Hawking był bez wątpienia największym celebrytą wśród naukowców. Wystąpił nawet w kilku serialach, np. w „Star Treku”, „Teorii wielkiego podrywu”, a nawet w rysunkowych „Simpsonach”.

Cztery lata temu w kinach triumfy święciła „Teoria wszystkiego”, brytyjski

film opowiadający o życiu Hawkinga i jego pierwszej żony Jane. Grający genialnego fizyka Eddie Redmayne dostał za tę rolę Oscara.

Hawking był podwójnym rozwodnikiem. Pierwszą żonę zostawił w 1990 r., po 25 latach małżeństwa. Pięć lat później ożenił się ze swoją pielęgniarką, z którą jednak rozwiódł się w 2006 r.

W jednym z wywiadów stwierdził, że najwięcej czasu zajmuje mu rozmyślanie nie nad kosmosem, tylko na temat płci pięknej: „Kobiety. One są kompletną tajemnicą”.

Doczekał się trójki dzieci i tylu samo wnuków. Nie widział jednak dla nich różowej przyszłości na Ziemi. Hawking alarmował, że grozi nam scenariusz rodem z „Terminatora” – stworzenie prawdziwej sztucznej inteligencji, może, jego zdaniem, doprowadzić do końca ludzkości. Dlatego gorąco zachęcał do eksploracji kosmosu i – w dalszej perspektywie – do pozaziemskiej kolonizacji, aby dać ludzkości pewność przetrwania kataklizmu na Ziemi.

Mimo poważnej choroby udało mu się poczuć, jak to jest w kosmosie, o którym tyle pisał. W 2007 r., w wieku 65 lat, wsiadł na pokład samolotu, który wznosząc się wysoko, a następnie bardzo gwałtownie pikując, pozwala pasażerom znaleźć się na chwilę w stanie nieważkości.

Z życia starał się czerpać pełnymi garściami. Wygłaszając wykłady, zjeżdżał cały świat, dotarł nawet na Antarktydę.

Mimo tak wielkiego wkładu w rozwój nauki nie dostał Nagrody Nobla. Nie był tym jednak zdziwiony, ponieważ doskonale rozumiał, jak działa ten świat. „Nobla przyznaje się tylko za teorie, które zostały potwierdzone przez obserwacje. Tymczasem bardzo, bardzo trudno zaobserwować rzeczy, nad którymi pracuję” – powiedział w jednym z wywiadów.

W 2014 r. odwiedził go w jego gabinecie na University of Cambridge brytyjski komik John Oliver. Zapytał, co zdaniem Hawkinga ludzie powinni przede wszystkim zapamiętać z jego pracy naukowej. Naukowiec nie miał wątpliwości – czas urojony. „Ludzie myślą, że to coś, co się śni, albo kiedy gonią nas terminy. Ale to dobrze zdefiniowana koncepcja. Czas urojony to jakby drugi kierunek w przestrzeni. To jedyny element mojej pracy, którego nie wykorzystali pisarze science fiction, ponieważ... nie rozumieją tego” – zaśmiał się Hawking. © Wszelkie prawa zastrzeżone



Joanna Bojańczyk

Media wbijają ludziom do głowy, że każdy ma w urodzie coś, co wymaga poprawy. Naprzeciw tej potrzebie wychodzi rozwijający się w Polsce rynek medycyny estetycznej

Jeśli państwo nie wiedzą, kim jest Anella An, widać zaniedbali państwo lekturę Pudelka lub przynajmniej rubryki Kamili Baranowskiej w „Do Rzeczy”... Pora wiedzę uzupełnić. Wyjaśniam, że swoją popularność w serwisach plotkarskich ta pani zawdzięcza powiększonym do monstrualnych rozmiarów ustom. Z tym atutem urody wystartowała do kariery w show-biznesie. Po zaliczeniu pierwszego etapu, jakim jest wysoka klikalność, zamierza zaatakować wyższe szczeble artystycznego wtajemniczenia. Będzie śpiewać, tańczyć lub przynajmniej zdobywać lajki na Instagramie.

Można się z tego śmiać, kpić lub załamywać ręce nad upadkiem kultury, o ile to słowo da się w tym przypadku zastosować, ale wygląda na to, że dzisiaj rzeczywiście w całkiem realnym świecie początkiem kariery w show-biznesie musi być zabieg chirurgii estetycznej. Powiększenie ust, zmniejszenie nosa, podciągnięcie powiek, lifting – każdy z osobna lub wszystkie naraz. Trzeba przez to przejść. Tak jak kiedyś zdać egzamin do Akademii Teatralnej, z tym że tutaj próba jest łatwiejsza, a liczba udanych podejść jest większa.

Niełatwo znaleźć aktorkę, piosenkarkę, która by ukazała się światu z twarzą taką, jaką ją Pan Bóg stworzył. Żadna się nie przyznaje, jednak wystarczy porównać twarz sprzed kilku lat z obecną... Cudów tych dokonuje m.in. Krzysztof Gojdz, najbardziej znany „chirurg gwiazd”, multimedialny guru medycyny estetycznej, doktor posiadający abonament na kanapach TVN. Wygłasza tam wykłady o urodzie własnej (sic!), wadach potencjalnych klientek i możliwościach magicznej przemiany, jaka nastąpi po jego interwencji. Podobno kolejka oczekujących do jego gabinetu liczy się w setkach osób, ale na wszelki wypadek pan doktor wzmacnia publicity, reklamując się w Warszawie na billboardach.

Wygląda na to, że staliśmy się już społeczeństwem na tyle zamożnym, że



Twarz pod nóż

chirurgia plastyczna stała się powszechna. Czy w ogóle wypada pokazać się z własną głową bez przeróbki, nawet znajomym, przyjaciółom? Zjawisko dojrzało na tyle, że doczekało się książki. „Zrobieni. Co może chirurgia estetyczna w Polsce”. Wbrew temu, co sugeruje druga część tytułu, autor – Piotr Zachara – nie zachęca do korzystania z postępów medycyny estetycznej.

Wręcz przeciwnie, po lekturze jego książki tym, którzy marzą o inicjacji w ten świat cudów, włos może zjeżyć się na głowie... Autor podszedł do sprawy po reportersku: operuje faktami, liczbami, wypowiedziami. Piszze z ikrą, werwą, ale książka nie tylko odnosi się z dystansem do opisywanych zjawisk, lecz także czuje się w niej ironię. Nic dziwnego: Zachara w świecie mediów kobiecych porusza się wystarczająco długo, aby nabrać do niego dystansu. Pracował jako dziennikarz i redaktor, przez kilka lat szefował magazynowi „InStyle”. W swojej książce rozmawia z pacjentami, lekarzami, dziennikarzami, wciela się w „cień” znanego lekarza, obserwuje nie celebrycki, lecz codzienny rynek plastyki kosmetycznej. Przekonuje się, że kongresy naukowe są w dużej mierze przykrywką kryptoreklamy, a „nowe technologie” dyskretnie sponsorują inwestujący w nie potentaci finansowi branży...

Opowiadają dziennikarki działów urody pism kobiecych z wyższej półki. Anonimowe, ukryte w takim kamuflażu, że nawet insiderom będzie trudno je zidentyfikować. Praca w tych działach wymaga szczególnej umiejętności lawirowania na cienkiej granicy reklamy, PR oraz informacji. Ich zadaniem jest bardziej coś zachwalać, niż doradzać, są one redakcyjną przykrywką działów reklamy. Piękne twarze modelek mają sprawić, żeby na łazienkowych półkach pojawiały się wciąż nowe produkty. Jednak nie tylko o słoiczki z kremami tu chodzi. Dziennikarki korzystają z bezpłatnych zabiegów estetycznych, za które nie płacą; wystarczy, że potem zachęcą do nich czytelniczki.

KOLAGEN SIADA

„Marlin” zrobiła botoks u znanego lekarza. „Chciałam tylko odrobinę między oczami, a dostałam o wiele więcej. Jedyny raz wstydziałam się tego, jak wyglądam. Doktor L. zrobił mi na maksa poker face, nie tylko przestałam być do siebie podobna, w ogóle nie przypominałam żywego człowieka”.

„Heidi” podała się termoliftingowi – zabiegowi polegającemu na podgrzewaniu włókien kolagenowych promieniami pod-

czerwieni. Pod wpływem ciepła włókna robią się prawie tak elastyczne jak w młodości, skóra wydaje się lepiej napięta. Po kilku miesiącach jednak kolagen zaczyna sobie przypominać, że się zestarzał, i siada.

„Kristine”: „Po zabiegu na cellulit na bazie kofeiny kilka godzin przeleżałam na podłodze redakcji, bałam się ruszyć, serce pracowało mi jak silnik wartburga. A potem nagle przeszło, niestety nie zabierając ze sobą cellulitu”.

U „Helgi” odsysanie tłuszczu z brzucha w wypasionej klinice skończyło się poważną infekcją, z której wychodziła pół roku. Przy okazji dowiedziała się, niestety dużo później, że liposukcję wykonał... laryngolog.

Co robić? Czy polecać czytelniczkom zabiegi, nawet te, które okazały się mierne w skutkach, szkodliwe czy wręcz spowodowały uszczerbek na zdrowiu? „To nie moja decyzja – mówi Piotrowi Zacharze jedna z dziennikarek. – Coraz więcej tematów urody dyktuje dział reklamy wydawnictwa. O pewnych markach pisze się więcej, częściej i tylko dobrze, o pozostałych, jeśli wystarczy miejsca”.

Szefowa PR międzynarodowego koncernu farmaceutycznego produkującego drogie kosmetyki: „Kiedyś kontaktowałam się bezpośrednio z dziennikarzami. Dziś to strata czasu. Wszystko muszę negocjować z działem reklamy. Jak dam reklamę, napiszą, co sobie życzę, jak nie dam, zobaczą, co da się zrobić”.

Żeby sprawdzić, jak wygląda codzienność gabinetów, autor książki wcielił się w rolę biernego asystenta „jednego z bardziej znanych lekarzy medycyny estetycznej w Polsce”. Przekonał się, że pacjentami tych gabinetów są nie tylko bohaterowie portali plotkarskich. „Między dziewiątą a dwiętnastą przez gabinet przewijają się Polska w pigułce... Trzydziestu pacjentów w wieku od szesnastu do osiemdziesięciu paru lat, z różnych grup zawodowych z dużego miasta i okolicznych miasteczek”.

O CZYM MARZY MĘŻCZYZNA

„W rankingu popularności w 2015 roku ten zabieg plasował się dopiero na dwudziestym piątym miejscu” – pisze autor. Jednak jest rozwojowy; za parę lat przy rozsądnej promocji przebiję się do pierwszej dziesiątki. Chodzi o augmentację,

inaczej penoplastykę, inaczej upiększanie penisu.

Panom nieusatisfakcjonowanym wyglądem symbolu męskości z odsieczą przychodzi Desirial Homme, zabieg wypełniania kwasem hialuronowym. Penoplastyka działa wszędy, nie wszędy, wykonuje się ją preparatem firmy Vivacy, której współwłaścicielem jest Polak, Waldemar Kita.

W rozmowie z Piotrem Zacharą pan prezes Kita, chwalcąc się efektami swego patentu (w 2015 r. powiększono 11 703 penisy), pochwalił również Unię

Europejską za to, że awansowała wypełniacze z kwasem hialuronowym do trzeciej, najwyższej klasy produktów medycznych.

Jest też oferta dla pań, które w tzw. pewnym wieku widzą siebie nie tylko w roli babci, lecz także pretendują do aktywnego życia erotycznego. Waginoplastyka, labioplastyka, anti-aging stref intymnych to zabiegi, które mają poprawić poziom satysfakcji z seksu. Powiększenie kwasem hialuronowym punktu G trwa 20 minut i kosztuje od 1,5 tys. do 2,8 tys. zł. Cel: „spółtęgowanie satysfakcji ze stosunku”.

Płynące z książki wnioski, nawet najbardziej ponure, nie są w stanie zniechęcić do eksperymentowania z własnym wyglądem, nawet kosztem zdrowia. Przecież światem rządzą piękni i młodzi. Przecież nawet amerykański tygodnik „Time” napisał, że tak, jak chciała natura, wyglądają teraz i starzeją się tylko najbiedniejsi oraz najbardziej uparci. I nawet jeśli w wyniku zabiegów jakaś część twarzy trochę nam za bardzo spuchnie lub urośnie, to i tak lepiej, niż gdyby smętnie zwiślała lub nie wyróżniała się niczym szczególnym.

„W 2015 roku w sondażu TNS pół miliona Polaków przyznało się, że zamierza popracować nad sobą, zainwestować w to, co dla nich bezcenne – w swój wygląd – pisze Piotr Zachara. – W naprawianiu, udoskonalaniu lub utrzymywaniu urody rodakom miała pomóc medycyna estetyczna. I chyba nie przestaje pomagać. Ze statystyk przedstawionych wiosną 2017 r. przez firmę Vivacy, jednego z największych w Europie producentów preparatów medycznych na bazie kwasu hialuronowego, wynika, że polski rynek medycyny estetycznej z roku na rok rośnie o ok. 12–15 proc., średnia światowa to 8 proc.”.

W końcu lubimy być światowi. A jak na salonach pokazać się au naturel? Wstyd po prostu.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



FOT. ŚLĄSKI UNIWERSYTET MEDYCZNY



Katarzyna Pinkosz

Po wybuchu petardy czy oparzeniu oka wapnem można stracić wzrok w jednej chwili. Dzięki nowatorskim zabiegom przeszczepiania komórek macierzystych jest szansa na odzyskanie wzroku. To niemal cud

Drugim cudem jest to, że najwięcej tego typu nowatorskich operacji, opartych na technologii namnażania komórek macierzystych, czyli żywej tkanki, wykonali polscy okuliści. Katedra i Oddział Kliniczny Okulistyki Wydziału Lekarskiego z Oddziałem Lekarско-Dentystycznym w Zabrze Śląskiego Uniwersytetu Medycznego w Katowicach, kierowana przez prof. Edwarda Wylegąłę, była o krok od tego, by nowatorską technologię wdrożyć jako pierwszy ośrodek na świecie. Ubiegli ją o włos (a raczej o miliony dolarów, które trzeba wydać na badania kliniczne i rejestrację nowej terapii jako leku) naukowcy z Włoch. Polski zespół może się jednak pochwalić świetną współpracą z włoskim ośrodkiem oraz największą liczbą wykonanych operacji zarówno w Europie, jak i na świecie.

NIGDY NIE BĘDZIE WIDZIEĆ

W Polsce do tej pory wykonano sześć nowatorskich operacji przeszczepienia komórek macierzystych rąbka rogówki,

w tym jedną u dziecka, dziewięcioletniego Kuby.

– Niestety wydarzyło się cztery lata temu. Tynkowaliśmy garaż, już sprzątaaliśmy rusztowania, Kuba bawił się w piaskownicy przed domem. Chwila nieuwagi i synek włożył do wiaderka trochę zaprawy z wapnem. Wrócił do piaskownicy, zaczął rzucać kamyczkami. Wapno chlupnęło mu prosto do oka. Strasznie płakał, przemywaliśmy mu oko, ale nic nie pomogło. Pojechaliśmy do szpitala – opowiada Grzegorz Baleński, ojciec chłopca.

Mieszkają pod Wyszkowem, 70 km od Warszawy. Karetka przewiozła Kubę do Szpitala MSWiA w Warszawie, gdzie próbowano ratować mu oko, naszywając błonę owodniową. Potem przewieziono go do Centrum Zdrowia Dziecka, był też konsultowany we wszystkich warszawskich szpitalach. – Po trzech tygodniach pani doktor rozłożyła ręce, powiedziała, że synek na to oko nigdy nie będzie widział – mówi Grzegorz Baleński.

Rodzice nie mogli darować sobie, że nie przypilnowali chłopca. Jak pogodzić się z tym, że pięcioletnie dziecko nie będzie widzieć na jedno oko? Lekarka z Centrum Zdrowia Dziecka dała im jednak kontakt do doc. Dariusza Dobrowolskiego ze szpitala w Sosnowcu. – Pamiętam pierwszą wizytę u niego: nie obiecywał, że Kuba będzie widział, ale dał nadzieję, że może coś się uda – opowiada ojciec chłopca.

– Wapno jest silnie żrącą substancją. Jeśli do oka dostanie się nawet kropla, pH rośnie w ciągu trzech sekund z 7,2 do 11. Powoduje to błyskawiczne oparzenie i uszkodzenie tkanek oka. Trzeba jak najszybciej włożyć głowę pod kran, przemywać oko, jechać do szpitala. Działania ratunkowe to naszywanie owodni, podawanie leków zmniejszających skutki oparzenia. Czasem udaje się w ten sposób wyleczyć oko – tłumaczy doc. Dariusz Dobrowolski, kierownik Oddziału Okulistycznego Wojewódzkiego Szpitala Specjalistycznego im. św. Barbary w Sosnowcu. Nie jest to jednak możliwe, jeśli ulegną zniszczeniu komórki macierzyste rąbka rogówki, które powinny odbudowywać stale starzejący się nabłonek. Rogówka przestaje być przezierna, co powoduje utratę widzenia. Wtedy jedynym ratunkiem jest przeszczepienie komórek macierzystych rąbka rogówki.

PRACE POLAKÓW I WŁOCHÓW

Zespół prof. Edwarda Wylegąły, w którym jest również doc. Dariusz Dobrowol-

ski, pierwsze próby leczenia oparzeń oka przeszczepianiem komórek macierzystych rąbka rogówki zaczął przeprowadzać już ponad 20 lat temu. – Stosowaliśmy różne techniki, pobieraliśmy komórki ze zdrowego oka, od dawcy rodzinnego lub od dawcy zmarłego. Dzięki grantom z Komitetu Badań Naukowych hodowaliśmy komórki macierzyste i je przeszczepialiśmy – opowiada prof. Wylęgała.

Jednak stosowane metody nie zawsze przynosiły efekt. Trzeba było pobierać duże fragmenty tkanki ze zdrowego oka, co wiązało się z ryzykiem jego uszkodzenia. Jeśli nie udało się przeszczepić wystarczającej liczby komórek macierzystych, to po pewnym czasie dochodziło do pogorszenia widzenia. Z kolei przeszczep od dawcy zmarłego wiązał się z koniecznością stosowania do końca życia leków immunosupresyjnych.

Trudnością było wyhodowanie odpowiedniej liczby komórek macierzystych i ich przeszczepienie. Prace nad stworzeniem tej technologii toczyły się również w innych krajach. Nieco inną metodę niż Polacy zaproponowali włoscy naukowcy. Udało im się znaleźć firmę, która zainwestowała fundusze na badania kliniczne, i w 2015 r., po siedmiu latach starań, nowa terapia została zarejestrowana jako technologia lekowa przez Europejską Agencję Leków (EMA).

Dziewięcioletniemu Kubie dwa tygodnie temu przeszczepiono komórki macierzyste rąbka rogówki wyhodowane właśnie tą metodą.

KOSMICZNA TECHNOLOGIA

Profesor Wylęgała obrazowo tłumaczy, że nowa technologia w stosunku do wcześniejszych to tak, jakby porównać Ferrari z rowerem.

Warunkiem przeprowadzenia operacji jest to, że jedno oko musi być zdrowe (lub tylko w niewielkim stopniu poparzone). To z niego pobiera się metodą biopsji 2 mm kw. nabłonka rogówki (wcześniejszymi metodami trzeba było pobierać nawet 20 mm kw.). Następnie pobrany nabłonek jest umieszczany na specjalnym nośniku i transportowany do laboratorium w Modenie we Włoszech. Tam przez sześć miesięcy komórki macierzyste są „odżywiane” i namnażane. Musi wyhodować się ich odpowiednia liczba, żeby przeszczep przyniósł efekt. Następnie namnożone komórki są transportowane w specjalnym pojemniku do ośrodka, w którym odbędzie się przeszczepienie. Muszą być przewo-

żone drogą lądową, gdyż zmiany ciśnienia mogłyby zniszczyć część komórek.

– Również sama operacja jest skomplikowana, nie możemy dotykać tkanki nożem, musimy to robić za pomocą specjalnych szpatulek. Przeszczepu nie przyszywamy, chowamy go tylko pod spojówką – opowiada prof. Wylęgała.

W przypadku Kuby kilka dni przed pierwszym wyznaczonym terminem przeszczepienia okazało się, że komórek macierzystych namnożyło się za mało. Trzeba było zrobić dodatkową biopsję, jeszcze raz wysłać materiał do Włoch i czekać, aż komórki się namnożą. Za drugim razem wszystko się udało.

– Operowane oko na cztery dni się zakleja. Nie podajemy żadnych kropli. Enzymy zawarte w filmie łzowym mają rozpuścić fibrynę, czyli podłoże, na którym znajdują się komórki macierzyste. W oku pozostają już potem tylko one i już przez całe życie będą produkować komórki nabłonka rogówki. To jest całe leczenie: przywracamy fizjologiczne warunki na powierzchni oka – opowiada doc. Dobrowolski.

Dzięki temu, że pacjent dostaje własne komórki macierzyste, nie jest też konieczne stosowanie żadnych leków immunosupresyjnych. Komórki macierzyste same wszystko naprawiają.

TO CUD!

Przed operacją Kuba chorym okiem nie widział nic, nie miał nawet poczucia światła. Po czterech dniach opatrunków się zdejmują i... – Oko było jeszcze czerwone, sine, ale Kubuś już widział światło! Każdego dnia było coraz lepiej, zaczął widzieć kształty, kolory – cieszy się ojciec chłopca.

Już po kilku dniach mogli wyjść ze szpitala. Po domu chłopiec chodzi z zaklejonym zdrowym okiem, żeby operowane zaczęło lepiej „pracować”. Początkowo Kuba je czasem zamykał, gdyż przez cztery lata niewidzenia odzwyczaiło się ono od światła. – Półtora tygodnia po operacji byliśmy na pierwszej kontroli w szpitalu. Profesor z docentem usiedli przed Kubą, wyjęli tablicę do czytania. Łzy mi się zakręciły w oku, jak przeczytał na niej kolejne cyfry. To cud! Nie widział nic przez cztery lata, a półtora tygodnia po operacji czyta – w słowach ojca słychać wzruszenie.

Nie wie, jak dziękować za wzrok syna. – Trafiliśmy na wyjątkowych lekarzy, dla których to nie jest praca, tylko pasja. Na korytarzach obiegają ich pacjenci, a oni zawsze są mili, nigdy nie widziałem śladu zmęczenia na ich twarzach. Mieli-

śmy szczęście, że jest taka technika i że trafiliśmy na takich lekarzy! – cieszy się Grzegorz Baleński.

Skuteczność terapii eksperci oceniają ostrożnie na 60–70 proc. Jednak zdaniem polskich lekarzy jest ona znacznie wyższa, dzięki temu, że zapewniona jest odpowiednia koncentracja komórek macierzystych do przeszczepu.

Mateusz, pacjent operowany przez zespół prof. Wylęgały i doc. Dobrowolskiego w kwietniu ubiegłego roku, odzyskał już wzrok. – Miał wypadek, zachlapał się żrącym rozpuszczalnikiem. Przed operacją widział zarysy przedmiotów z odległości 2–3 m. Już miesiąc po operacji widział 80 proc., a dziś widzi 100 proc. Na ostatniej wizycie zapytał, czy naprawdę musi do nas przyjeżdżać tak często na kontrole. Wrócił do pracy, prowadzi samochód – opowiada doc. Dobrowolski.

Operacje przeszczepiania komórek macierzystych rąbka rogówki są obecnie przeprowadzane w 17 ośrodkach na świecie. Śląski Uniwersytet Medyczny może pochwalić się największą liczbą przeprowadzonych operacji i największym doświadczeniem zespołu. Czternaścioro pacjentów jest zakwalifikowanych do operacji. Na razie wszystkie odbywają się w ramach badań klinicznych, jednak lekarze mają nadzieję, że procedura stanie się w Polsce refundowana przez NFZ, podobnie jak inne metody leczenia stosowane w oparzeniach oka. Tak jest już we Włoszech, w Belgii i Anglii. – To pierwsza terapia komórkami macierzystymi zatwierdzona jako lek. Efekty są bardzo dobre – potwierdza prof. Augusto Pocobelli, kierujący Kliniką Okulistyki Szpitala S. Giovanni Addolorata w Rzymie, w której przeprowadzono pięć tego typu operacji.

– To lek na całe życie, ponieważ komórki macierzyste zagnieżdżają się głęboko i przez całe życie będą produkować nabłonek rogówki – zaznacza prof. Wylęgała.

Polski zespół nie poprzestaje na tym. Prowadzi również prace nad namnażaniem komórek macierzystych ze śluzówki nabłonka jamy ustnej. – Są podobne do komórek macierzystych rąbka rogówki i mogą tworzyć podobny nabłonek. To może być metoda alternatywna. Chcemy, by została zarejestrowana, gdyż pozwoliłoby to nam leczyć pacjentów, którzy mają oparzenia obydwu oczu lub urodzili się z uszkodzeniami wrodzonymi rąbka rogówki – dodaje prof. Wylęgała.

Gdyby to się udało, kolejne osoby miałyby szansę widzieć.



JACEK KOMUDA

RYCERZE I WARCHOŁY

Przygody pana Michała

Michał Sędziwój, najślawniejszy polski alchemik z przełomu XVI i XVII w., miał przygody jak bohater filmu. Urodzony 2 lutego 1566 r. pod Sączem, syn uboższego szlachcica Jakuba Sędzimira lub Sendomira, uczył się w szkole klasztornej w Krakowie i studiował na uniwersytecie. Tam właśnie poznał Mikołaja Wolskiego, późniejszego marszałka koronnego, miłośnika alchemii, który pomógł mu wyjechać za granicę i zwiedzić pół Europy. Sędziwój trafił na dwór cesarza Rudolfa II w Pradze, protektora i wielbiciela nauk hermetycznych. I nie tylko został przyjęty na służbę, lecz także mianowano go radcą. W tym czasie był już znany w Pradze jako uczony i medyk, leczący ludzi z ospy oraz przeprowadzający liczne doświadczenia.

W 1603 r. wziął udział w jednej z awanturniczych przygód, które niestety często przydarzały się w owych czasach uczonym. O ratunek poprosił jego dawny przyjaciel, szkocki alchemik Aleksander Seaton. Przebywał on w Saksonii, gdzie zaprezentował transmutację metalu w złoto. Miało to skutek zaiste złowrogi, gdyż miejscowy władca, książę elektor Christian II, kazał go schwycić, uwięzić i zmusić do wydania sekretu owej przemiany. Ponieważ Seaton wzdrygał się, rozkazał wziąć go na męki, w czasie których przypalanie ogniem i żelazem zdawało się tylko pieszczotą.

W tym czasie żona alchemika Teresa zawiadomiła Sędziwoja, ten zaś wyruszył do Drezna i przybył na dwór księcia w polskim stroju, przedstawiając się jako szlachcic z Rzeczypospolitej. Zaproponował Christianowi, że pomoże mu wyciągnąć sekret transmutacji od Seaton, jeśli tylko władca pozwoli mu z nim porozmawiać. W rozmowie w cztery oczy zapytał nieszczerze, co da mu za uwolnienie. Alchemik odpowiedział ponoć, że



FOT. PIOTR MEKLIK/FORUM

zdradzi mu swój sekret: „Da tyle bogactwa, że wystarczy Sędziwojowi na całe życie”.

Michał poprosił zatem Christiana o cierpliwość i wrócił do Polski, gdzie sprzedał dom w Krakowie, uzyskał też u Wolskiego pożyczkę i z brzęczącym trzosem pojechał do Drezna. Tutaj zaczął żyć ścią po sarmacku – wydając ucztę i rozdając podarki, których nie szczędził członkom dworu księcia. Wreszcie wyprawił ucztę dla strażników w domu nadzorcy więzienia, na której podał uczestnikom wino zaprawione jakimś alchemicznym środkiem wywołującym głęboki sen. Gdy wszyscy się pospali, otworzył celę Seaton i wyniósł na własnych barkach umęczonego nieśczęśnika do czekającej w ukryciu kolasy. Na prośbę alchemika wrócił jeszcze do jego mieszkania, skąd zabrał ukrytą puszkę z kamieniem filozoficznym. Następnie razem z żoną Teresą uciekli do Polski. Chociaż Christian wpadł w gniew i wysłał za nimi pogoń, to Sędziwojowi udało się szczęśliwie dotrzeć do Krakowa.

Na miejscu okazało się jednak, że umierający Seaton odmówił wyjawienia sekretu! Z wdzięczności dał jednak Sędziwojowi puszkę z uncją (ok. 31,1 g)

proszku, który zamieniał dowolny metal w złoto. Szkot zmarł w styczniu 1604 r., gdy w wyniku tortur w jego ciele rozwinęła się gangrena. Polak zaś został z... pojemnikiem pełnym tajemniczej alchemicznej tynktury i... żoną, a w zasadzie już wdową po koledze.

Rzekomy kamień filozoficzny, który otrzymał, stał się przekleństwem Sędziwoja. Odziedziczył papiery po Seatonie, ożenił się z Teresą i całe życie próbował rozszyfrować tajemnicę proszku. To właśnie wówczas przeprowadził udaną transmutację złota na oczach Zygmunta III Wazy, uwiecznioną na obrazie Jana Matejki, która przysporzyła mu sławy. Znów pojawił się na dworze Rudolfa II na Hradczanach, gdzie pod jego kierunkiem cesarz sam zmienił ołów w złoto, wykorzystując tynkturę Seaton. Władca był pod tak wielkim wrażeniem umiejętności Polaka, że kazał wmurować w komnacie, gdzie przeprowadzono eksperyment, tablicę z napisem: „Niech ktokolwiek inny uczyni to, co Polak Sędziwój”.

Niestety, wraz z upływem lat alchemik zużywał szczupły zapas proszku Seaton, a ciągle daleki był od odkrycia jego tajemnicy. Jak przypuszcza Roman Bugaj, tynktura była po prostu chlorkiem złota, który pozłacał z wierzchu metale. Omal nie stała się zgubą polskiego alchemika, gdyż po wyjeździe z Pragi został schwytany przez morawskiego hrabiego Kaspra Macaka, który zamierzał wydrzeć mu tajemnicę transmutacji. Na szczęście tynkturę uwiózł wierny sługa alchemika – Bodowski. Pomógł też panu w ucieczce, dostarczając pilnik, którym Sędziwój przepiłował kraty w celi. Kiedy wniósł skargę na Macaka, cesarz chciał skazać go na śmierć, ostatecznie rozkazał, aby hrabia w ramach zadośćuczynienia darował alchemikowi wieś Krawarze, gdzie Polak mieszkał aż do śmierci. ©

KURCZAK CZKMERULI OD ANDRZEJA SUPRONA

W sporcie trzeba ryzykować, trzeba szukać nowych rozwiązań. Tak samo robię w kuchni. Poszukuję nowych smaków i nie boję się łamać szablonów. Zaproponuję wam „Supron smak”! Spróbujcie. A nuż, widelec wam posmakuje.

Składniki:

- 1 kurczak
- 5 ząbków czosnku
- 2 łyżeczki soli swańskiej (lub soli ziołowej)
- po 3 łyżki posiekanej natki pietruszki, kolendry i szczypiorku
- 1 łyżeczka przyprawy adżiki lub szczypta ostrej papryki w proszku
- 4 łyżki oliwy
- 0,5 l młkiej śmietany (18-procentowej)
- sól i pieprz do smaku
- klarowane masło lub olej do smażenia

Przygotowanie:

Poprzedniego dnia umyć kurczaka, odciąć szyję i kuper. Rozciąć tuszkę wzdłuż kręgosłupa i rozplaszczyc, mocno dociskając. Można też rozkroić kurczaka na cztery ćwiartki. Mięso natrzeć mieszaną ziołowo-czosnkową: połowę posiekanych ziół wymieszać z czterema rozgniecionymi ząbkami czosnku, solą, adżiką (lub ostrą papryką) i oliwą. Kurczaka odstawić na noc do lodówki.

Następnego dnia rozgrzać na patelni klarowane masło lub olej. Smażyć kurczaka na niezbyt dużym ogniu (najpierw od strony skóry, a kiedy się mocno zarumieni, odwrócić). Podczas smażenia można dociskać mięso do patelni

(np. przy użyciu garnka z wodą). Żeby się upewnić, że kurczak jest usmażony, można naciąć mięso – jeśli sok nie wycieka, kurczak jest gotowy.

Przecisnąć przez prasę ostatni ząbek czosnku, dodać go do śmietany i wymieszać z nią pozostałe zioła, sól i pieprz do smaku. Wlać wszystko na patelnię i dusić pod przykryciem, ale nie dopuścić do wrzenia.

oprac. raw

Andrzej Supron – zapaśnik, mistrz świata i Europy, wicemistrz olimpijski, trener oraz sędzia.



FOT. GROMADZKO WIELKI FORUM



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Akademia sprzątania

Czy zastanawiali się państwo kiedykolwiek, jakie męki przeżywają skarpetki? Nie? Najwyższy czas to zrozumieć. „Codziennie są brutalnie obijane w drodze do pracy, uwięzione między stopą a butem. Stale znoszą nacisk i tarcie, służąc jako ochrona stóp [...]”. Czas spędzony w szufladzie to ich jedyna szansa na odpoczynek. Jeżeli są złożone, zrolowane albo związane, pozostają w stanie napięcia, a ściągacze są rozciągnięte. Zwinięte w kłębki wpadają na siebie za każdym razem, kiedy otwierasz i zamykasz szufladę”.

Co więc należy zrobić, aby ulżyć cierpieniu skarpetek? „Jeśli są zwinięte w kłębki, to je rozwiń. Ułóż jedną na drugiej [...]”. Złóż tak, aby miały odpowiednią wysokość w stosunku do szuflady. Uzyskaj kwadrat – to najważniejsza zasada składania [...]. Skarpetki odetchną z ulgą”.

Kiedy zapewniliśmy już szczęście skarpetkom, warto zastanowić się, czy nie skazaliśmy na męki innych części ubrania. Koniecznie z ekierką w dłoni. „Każda sztuka ubrania powinna być złożona w równy i gładki prostokąt. Zegnij ubranie na pół, tak żeby przód znalazł się w środku, i wsuń do środka rękawy, aby uzyskać kształt prostokąta. Nieważne, jak złożysz rękawy. Teraz chwyć koniec prostokąta i złóż go do przeciwnego brzegu. Następnie złóż go ponownie na pół lub na trzy. Ubranie należy złożyć tyle razy, żeby można je ustawić pionowo, dopasowując do wysokości szuflady”.



MARIE KONDŌ
„TOKIMEKI.
MAGIA
SPRZĄTANIA
W PRAKTYCE”
MUZA 2016

Porady Marie Kondō, autorki książki „Magia sprzątania”, jeszcze zanim zostały wydane w Polsce, przeleciały łamy czasopism poradniczych. Teraz otrzymujemy ich pełny zestaw. Pod miotłę idą szafa, kuchnia, biblioteka, łazienka, torebka damska. Jeśli zechcą się państwo do rad zastosować, to osiągną państwo stan trwałego ładu, sukcesy zawodowe, nabiorą państwo pewności siebie oraz zyskają motywację i zapał do życia. Mało tego: autorka, japońska ekspertka od sprzątania, także wytrawny psycholog, przekonuje, że idealnie posprzątany dom pozwoli zakończyć toksyczny związek, schudnąć, wypięknąć i uwolnić się od lęku przed nieznanym.

Śmichy-chichy, ale może rzeczywiście warto posłuchać rad japońskiej Małgorzaty Rozenek?

Idą święta, proszę więc rzucić czytanie gazety i przystąpić do domowego remanentu. Bo poza sprzątnięciem, szorowaniem i układaniem w prostokąt Marie Kondō zaleca wyrzucanie nieużywanych rzeczy. Z tym się zgadzam. Idąc za radą pani coach, w całkowitej tajemnicy przed mężem wyniosłam do śmieci siedem pudełek po butach, torbę przeterminowanych kosmetyków i rogi jelenia. Na początek. ☺☺

NASZ TEST: NISSAN X-TRAIL

Jeden z najlepiej sprzedających się SUV-ów w Europie to praktyczne auto, które w odświeżonej w zeszłym roku wersji coraz bardziej przypomina swego mniejszego brata: Qashqai'a. Dzięki temu duży samochód – o niemal 4,7 m długości i nieco ponad 1,8 m szerokości – jest chętnie wybierany przez kobiety.

W KABINIE

Na odświeżeniu modelu zyskały nie tylko wygląd zewnętrzny, lecz także wnętrze X-Traila. Lepiej wygląda deska rozdzielcza. Tworzywa są lepszej jakości, a najczęściej dotykane plastiki są wreszcie miłsze w dotyku. Fotele są wygodne.

W wersji pięciosobowej na brak miejsca nie powinni narzekać ani podróżujący z przodu, ani na tylnej kanapie – swobodnie zmieści się na niej troje dorosłych pasażerów. Fotele są wygodne. Nissan wprowadził też kilka udogodnień dla mieszkańców naszego klimatu: podgrzewane mogą być zarówno kierownica, przednie fotele, jak i tylna kanapa. Osoby szukające samochodu rodzinnego ucieszy informacja, że X-Trail jest dostępny również w wersji siedmiosobowej. Dużym rodzinom przyda się też spory kufer – bagażnik w tym modelu ma 565 l pojemności (445 l w wersji siedmiosobowej).

Minusem jest mocno przestarzały system multimedialny. Grafika niskiej rozdzielczości przypomina gry Atari. Próżno też tu szukać możliwości skorzystania z takich systemów jak Android Auto czy Apple CarPlay.



JAZDA

Pod maską testowanego X-Traila znalazł się dynamiczny, dwulitrowy silnik wysokoprężny o mocy 177 KM. I to jest wreszcie jednostka właściwa do rozpędzania ważącego ponad 1,6 t SUV-a. Od zera do pierwszej setki można przyspieszyć w 9,6 s.

Chociaż na ostrych zakrętach nadwozie wyraźnie wychyla się na boki, to japoński SUV prowadzi się o wiele łatwiej, niż można by się spodziewać po rozmiarach samochodu. Nie jest to jednak auto dla kierowców oczekujących znacznej frajdy z jazdy. Samochód jest jednak stabilny. Precyzyjny układ kierowniczy sprawia zaś, że auto posłusznie porusza się wyznaczonym przez kierowcę torem jazdy. A dobrze zestrojone zawieszenie sprawnie tłumi drogowe nierówności.

Turbodiesel jest stosunkowo niezłe wyciszony. X-Trail pozwala więc na komfortową jazdę nawet przy wysokich prędkościach autostradowych. Poza asfaltem dobrze sprawdza się napęd 4 x 4 z możliwością wyboru napędu 2WD, trybu automatycznego oraz trybu Lock, który umożliwia zablokowanie rozdziału momentu obrotowego

między osiami. Bezstopniowa skrzynia sprawnie zmienia biegi, choć czasami zbyt długo utrzymuje silnik na wysokich obrotach.

W cyklu mieszanym podczas testu X-Trail spalał średnio 8,6 l/100 km, podczas spokojnej jazdy w trasie można jednak zejść do średniego zużycia poniżej 7 l/100 km.

BEZPIECZEŃSTWO

W testach zderzeniowych niezależnej organizacji Euro NCAP Nissan X-Trail zdobył komplet pięciu gwiazdek. W bogatszej wersji auto jest również wyposażone w system alarmujący w przypadku wykrycia niezamierzonej zmiany pasa ruchu, czujniki ostrzegające przed pojazdami znajdującymi się w martwym polu luster, system rozpoznawania znaków drogowych, a także w asystenta ostrzegającego przed ruchem poprzecznym.

Tak jak w przypadku większości SUV-ów za kierownicą tego modelu siedzi się wysoko, co zwiększa pole widzenia kierowcy. Na parkingach przydaje się jednak kamera cofania – jej obraz mógłby być jednak lepszej rozdzielczości.

CENA

X-Trail z silnikiem benzynowym o pojemności 1,6 l, 163 KM mocy i napędem na jedną oś można kupić za ok. 100 tys. zł. Najtańszy model z silnikiem Diesla o mocy 130 KM kosztuje 110,6 tys. zł. Nissan X-Trail z dwulitrową jednostką wysokoprężną, napędem na cztery koła i automatyczną skrzynią biegów w najlepiej wyposażonej wersji to już koszt 155,5 tys. zł.

KONKURENCI

Kia Sorento, Mazda CX-5, Renault Koleos, Skoda Kodiaq ©

Jacek Przybylski



NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!



**TYLKO
U NAS!**
**SENSACYJNY
WYWIAD
Z ŻOŁNIERZEM
WYKŁĘTYM!**

Piotr Zychowicz – **Wykłęci, historia prawdziwa**
Leszek Żebrowski **kontra** Oleg Łatyszonek – **Spór o niezłomnych**
Sławomir Cenckiewicz – **Mazowiecki wierny Jaruzelskiemu**
Antony Polonsky – **Polska była rajem dla Żydów**
Patrik Pleskot – **Jak pijany milicjant zamordował dziecko**
Sławomir Koper – **Najpiękniejsze nogi II RP**
Mikołaj Iwanow – **Nowy trop w sprawie Katynia**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ
CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**



MATTHEW TYRMAND

ZŁY TYRMAND

Mentalność przywódcy

MARCIN MAKOWSKI: Jeszcze kilka miesięcy temu nikt nie uwierzyłby w ten scenariusz. Tymczasem Donald Trump planuje właśnie spotkanie z... Kim Dzong Unem. Korea Północna jest tak zdesperowana czy do gry wkroczyły wreszcie Chiny?

MATTHEW TYRMAND: Wydaje mi się, że oba te czynniki odegrały swoją rolę. Bez zaangażowania Xi Jinpinga sprawy nie posunęłyby się do przodu, ale nie jest przypadkiem, że do historycznych rozmów dojdzie za prezydentury Donalda Trumpa. Jego styl uprawiania polityki zagranicznej, momentami agresywny i nieobliczalny, potrafi przynosić rezultaty. Barack Obama, a nawet George W. Bush głównie rozwodzili się o konieczności dialogu z Koreą, podczas gry Trump – jak ma to w zwyczaju – na groźby wystrzelenia głowic jądrowych odpowiedział „ogniem i furią”. Al Capone powiedział kiedyś, że „w życiu zajdzie się dalej uśmiechem, miłym słowem i bronią w rękę niż tylko uśmiechem i miłym słowem”. Trump ma właśnie taką mentalność, co odróżnia go od większości głów państw w XXI w. Oni chcą po prostu utrzymywać się u władzy, dlatego nie podej-

mują agresywnych i ryzykownych działań, ale jeśli ktoś ma apetyt na bycie przywódcą, to w pewnych momentach musi przestać kalkulować i za wszelką cenę podtrzymywać status quo. Tak samo było z NATO, którego członkowie w większości nie chcieli płacić 2 proc. PKB na obronność. Trump powiedział ostro, że jeśli tak się sprawy mają, to Ameryka rozważy swoje zaangażowanie w sojusz. Globalistyczne elity zatrzęsły się z oburzenia. A jaki mamy efekt po niespełna roku? Wyraźne zwiększenie wydatków militarnych członków paktu północnoatlantyckiego. Wracając jeszcze do Korei. Co się dzieje chwilę po ogłoszeniu przygotowań do rozmów bilateralnych? CNN zajmuje się jakąś gwiazdą porno, oczerniającą prezydenta. To jest dla nich w pierwszym momencie ważniejsze, a przecież mówimy o przełomie na miarę Richarda Nixona lecącego do Chin w latach 70.

Żeby nie było za słodko, główny doradca ekonomiczny Trumpa – Gary Cohn – właśnie zrezygnował. Poróżniła ich wojna handlowa, którą prezydent zamierza rozpętać wokół importu stali i aluminium.

Cóż, nie mam zamiaru ukrywać, że uważam pomysł Trumpa za katastrofalny, a rezygnację Cohna za osłabienie Białego Domu. Tego typu wojna handlowa oparta na cłach na import metali spowoduje podniesienie kosztów pracy, a w konsekwencji – kosztów życia przeciętnego Amerykanina. Nikt nagle nie zacznie przez to budować fabryk w USA. Mam nadzieję, że to blef prezydenta, który chce w ten sposób wymusić lepsze umowy handlowe. Już zresztą obniżył cła na handel m.in. z Meksykiem czy Kanadą. Oby sprawy zmierzały w tym kierunku.

Przenieśmy się teraz do Europy, ale nadal jedną nogą pozostając w polityce amerykańskiej. Stephen Bannon odbył wyjazdowe tournée śladami populizmu. Czy następnym razem zawita również do Polski?

Być może Polska będzie celem jego wizyty w przyszłości, ale dopiero po wyborach w 2019 r., gdy nastroje eurosceptyczne, które on uważa za pozytywną tendencję suwerennościową, przybiorą na sile. Na razie przyjechał do Francji i Szwajcarii, gdzie populizm, o który walczy w USA, zyskuje na znaczeniu. Oczywiście znowu przyćmieję się mediów, ale inaczej się nie da. Co z jego spotkań przebiło się do mainstreamu? Wyrwane z kontekstu słowa o „traktowaniu oskarżeń o rasizm jako powodu do chwały”. Co w rzeczywistości powiedział Bannon? Stwierdził, że jeżeli przeciwnicy prawicowych populistów masowo oskarżają ich o ksenofobię i rasizm, to świadczy to o ich słabości i braku realnych argumentów w debacie. I że w takim przypadku powinni być dumni ze swojej pracy, ponieważ lewica sięga po brudne sztuczki wobec braku konkretów. Niech robią tak dalej. Podobne zakłamanie i odwracanie kota ogonem wyniosło Trumpa do władzy. ©©

ROZMAWIAŁ MARCIN MAKOWSKI

RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE



Poland Daily

10:00 PM, 12:00 AM, 2:00 AM, 4:00 AM
(Warsaw time)



From now on, watch everyday news from Poland in English - "Poland Daily" on Telewizja Republika.

Watch "Poland Daily" on our website at your convenience: www.telewizjarepublika.pl
Free and 24/7

Nowy, angielskojęzyczny program informacyjny "Poland Daily".
Od poniedziałku do niedzieli na antenie Telewizji Republika .
Po raz pierwszy w Polsce! Niezależne i rzetelne źródło informacji o Polsce dla widzów i dziennikarzy z zagranicy.



KATARYNA

OKIEM BLOGERKI

Oj tam, oj tam CBA

MICHAŁ DWORCZYK: *Mówimy o naruszeniu administracyjnym, a nie antykorupcyjnym. Sytuacja wyglądała tak, że odchodzili z urzędu, poinformowali wcześniej o swoich planach i czekali na odwołanie, które było czynnością formalną. Fakt, że odwołanie nastąpiło parę dni po zarejestrowaniu ich spółki, w żaden sposób nie wypełnia sytuacji, dla których została stworzona ustawa antykorupcyjna – tu nie było mowy o żadnym ukrywaniu swojej pracy podczas pracy w urzędzie.*

Opozycja nie nadąza już z konsumowaniem prezentów, którymi ją hojnie obsypuje PiS. Jeszcze się

Okazuje się, że tak jak wiele innych przepisów także te antykorupcyjne są tylko na papierze i odpowiedzialności można łatwo uniknąć

nie nacieszyła nagrodami, jakie sobie szerokim gestem wypłacał poprzedni rząd, a już trzeba myśleć, jak rozegrać świeżutką rządową nominację, czyli powrót cudownych dzieci od spółki Solvere, którzy pół roku temu wyskoczyli na chwilę z rządu,

żeby zgarnąć gigantyczne zlecenie z rządowej fundacji, a teraz spokojnie wracają do rządu, bo podobno są fachowcami nie do zastąpienia. Co prawda CBA ustaliło, że jeszcze będąc w rządzie, złamali ustawę antykorupcyjną i gdyby się wcześniej sami nie zwolnili, musieliby wylecieć jak dziesiątki innych osób, które w ostatnich latach dopuściły się podobnego „naruszenia administracyjnego”, ale przecież ustawa antykorupcyjna co prawda nakazuje zwalniać naruszających ją urzędników, ale nigdzie nie zakazuje zatrudniać ich ponownie. Okazuje się, że tak jak wiele innych przepisów także te antykorupcyjne są tylko na papierze i odpowiedzialności można łatwo uniknąć, zwalniając się z pracy i zatrudniając za chwilę na nowo. Wystarczy być po właściwej stronie.

W tej całej śmieszno-żałosnej historii ciekawi mnie, jak naprawdę było z tym (nie) odejściem. Czy Plakwicz i Matczuk naprawdę chcieli iść do biznesu, a ten w pół roku brutalnie zweryfikował ich rzekome umiejętności i dlatego pokornie wrócili na państwowe, by pracować za dużo mniejsze

pieniądze, czy chcieli łączyć pracę w kancelarii premiera z działalnością gospodarczą, ale ktoś ich uświadomił, że łamią tym prawo, i ich odejście z rządu było wyłącznie taktyczne oraz z założenia tymczasowe? Być może faktycznie są fachowcami, jakich na rynku próżno szukać, i robią nam przysługę, godząc się pracować dla rządu. Jednak czy pierwszą radą prawdziwego fachowca nie byłoby odwiedzenie premiera od pomysłu wciągania na pokład ludzi, za którymi jeszcze się ciągnie smród kompromitującej i niewartej swojej ceny kampanii billboardowej?

W związku z ich powrotem trzeba teraz posprzątać w papierach, w końcu sama kancelaria premiera nasłuchała na nich CBA, a CBA zainteresowało biznesem swoich pracowników prokuraturę, która cztery miesiące temu wszczęła postępowanie w tej sprawie. Jest oczywistością, że w obecnej sytuacji jest ono do pilnego umorzenia po tym, jak Michał Dworczyk tak jasno wyraził oficjalne stanowisko kancelarii premiera. ©©

PODSŁUCHANE

Niemiecki przypadek

– Maciek, jest taka sprawa, żebyście się tam w tej swojej reducie trochę wstrzymali z pozwami i donieseniami. Rozumiesz, mamy i tak trudno...

– Ale, Piotrze, jak to?! Ja, po pierwsze, nie mam już nic wspólnego z zarządzaniem redutą, a po drugie – nie możemy się wstrzymać. Absolutnie!

– Dlaczego? Rozumiesz, że to nie jest moja prywatna prośba, tylko... No, prawie z samej góry.

– Piotr, bardzo mnie zaskakujesz. Niekorzystnie. Jak tu szedłem, to się przyjrzałem uważnie, co stoi przed ministerstwem. To jest niemiecki samochód! Tam, widzę, pióro leży u ciebie na biurku. Pelikan. Też niemieckie. A teraz to, o co mnie prosisz... Przypadek? Nie sądzę.

– No nie, to akurat szwajcarskie pióro...

– To jeszcze gorzej! Niby byli neutralni, a tak naprawdę...

– O czym ty bredzisz?! Przekazałem sugestię, a właściwie polecenie. Więc...

– Właśnie. A pan premier, widziałem, też niemieckim autem zasuwa. zegarek ma niemiecki, przyglądałem się.

– Ale co to ma...

– Grunwald – mów ci to coś? Auf wiedersehen, Herr Minister. ©©

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Niemieckie reparacje polegały na oddaniu nam 100 tys. kilometrów kwadratowych ziemi i oddaniu nam takich miast, jak Gdańsk, Wrocław, Szczecin, Koszalin, Zielona Góra i innych”.

JAROSŁAW GUGAŁA dziennikarz Polsatu w Radiu dla Ciebie

fot. Jerzy Gumowski



Świadectwa

Historycy przyszłych pokoleń, gdy będą odgrzebywali dla jakichś monograficznych celów „wojnę izraelsko-polską” z końca zimy i z przedwiośnia 2018, zdziwią się, że gniew Żydów na nowelizację ustawy o IPN, choć duży, był wszelako mniejszy niż ich wściekłość zdetonowana słowami premiera Morawieckiego, że istnieli też żydowscy sprawcy Holocaustu. Tych kilka słów doprowadziło izraelskie i diasporowe społeczności żydowskie do tzw. „białej gorączki”, czyli do ekstremalnej furii, której strona polska nie próbowała nawet gasić perswazjami czy torpedować konkretami, tylko podkuiliła ze strachu ogon. Tymczasem należało odesłać ujadających „all over the world” Żydów do lektur, polecić im teksty (scjencyjne oraz eseistyczne) dotyczące zagadnienia, najlepiej te pisane przez żydowskich autorów. Jest ich sporo. Prace Gerarda Kesslera (1935), Hannah Arendt (1963), Dietricha Bondera (1964), Bernta Engelmanna (1970), Hennেকে Kardela (1974), Marii Sporer & Herberta Steinera (1992) dowodzą niezbicie, iż Żydami byli przywódcy III Rzeszy, czyli pierwszorzędni autorzy Zagłady: Himmler, Heydrich, Goebbels, Frank i Eichmann (główny operator Holocaustu). Gdyby adresaci wzmiankowanego spisu lektur nie lubili czytać tekstów zbyt obszernych, można polecić im lapidarne hasła kompendialne, np. w „The Oxford Minidictionary of Twentieth Century World History” (1989). A zupełnie niechętnie czytać — filmy. Australijska telewizja SBS nadała (1997) w serii „*Hitler's Henchmen*” film „*Goering, The Marshall*”, dowodzący, że szef Luftwaffe też miał żydowski rodowód.

Dotykając Goeringa — dotknęliśmy armii. Roku 1995 znany żydowski filozof André Glucksmann, udzielając wywiadu „*Corriere della Sera*” rozgadał się o „*fundamentalnym rasizmie żydowskim*” i o Żydach masowo popierających Hitlera, konkludując: „— *Jedyną rzeczą, jakiej Żydzi nie mogli zrobić, było wstąpienie do nazistowskiej SS. Lecz nie dlatego, iż nie chcieli, tylko dlatego, że SS nie chciała ich przyjąć*”. Natomiast przyjmowały Żydów Luftwaffe oraz Wehrmacht, bez których zdobyć „*Shoah*” byłaby nie do wykonania. W lotnictwie nie tylko wódz był Żydem, lecz także jego zastępca, faktyczny twórca potęgi Luftwaffe, marszałek Milch, plus sporo pilotów. Skąd czerpię tę wiedzę? M.in. z naukowej pracy żydowskiego uczonego Bryana Rigga (Cambridge University, 1996), który dowiódł, że nosząc hitlerowski mundur ofiarne pełnili służbę do końca (do 1945) tysiące żydow-

skich ochotników, w tym dwóch marszałków polnych i dziesięciu generałów. Wszystkie te przypadki były znane Hitlerowi, który osobiście (pisemnie) zezwalał żydowskim oficerom i żołnierzom wstępować do Wehrmachtu, awansować, otrzymywać medale za wierność czy bohaterstwo. Po książce Rigga prasa światowa jęczała z przerażenia (grudzień 1996, styczeń 1997), m.in. amerykański „*Los Angeles Times*” tudzież brytyjskie „*The Times*” i „*The Daily Telegraph*” pytający dramatycznym, wielkoceńkowym tytułem: „**CZEMU MEŻCZYŹNI MAJĄCY W ŻYLACH ŻYDOWSKĄ KREW PRZELEWALI JĄ ZA ADOLFA HITLERA?**!”.

Żydom piekącym się przeciw Morawieckiemu warto także polecić — obok książki prof. Rigga — rozprawę prof. Arendt o Konferencji w Wannsee i o Eichmannie, cytując fragment: „*Eichmann, rzecz prosta, nie spodziewał się, iż Żydzi wyrażą entuzjazm dla własnej zagłady, ale pragnął, by wykazali coś więcej niż uległość. Pragnął ich współpracy w ludobójstwie. I, co jest doprawdy osobliwe, Żydzi nie zawiedli go! Bez ich pomocy, zwłaszcza pomocy żydowskich przywódców, którzy ciesząc się wielkim autorytetem wśród pobratymców formowali współpracując z hitlerowcami Rady Żydowskie (Judenraty), i bez pomocy żydowskiej policji organizującej wywózki — nie miałby szans na gładką realizację «Shoah»*”.

Można też wskazać liczne zapiski z getta. Pamiątniki te mówią, że sadyzm żandarmarii żydowskiej Ordnungs-Hüter, która z niewiarygodną brutalnością, katując nastolatków osłaniających swe matki, dokonała selekcji i deportacji 310 tysięcy warszawskich Żydów — „*znacznie przekraczał okrucieństwo Niemców, Ukraińców i Łotyszów*” (cytat z „*Kroniki Getta*” Emanuela Ringelbluma); że żydowskie brygady Gestapo (według akt Delegatury Rządu Londyńskiego na Kraj — 1378 ludzi; łącznie Gestapo miało ponad 8 tysięcy żydowskich kolaborantów w samej Warszawie!) dokonywały rzeczy przerażających jako człon Sonderkommando AS Hauptsturmführera Spilkera; że osławiona żydowska „13” (zespół Ganzwajcha i Sztarfelda), łapiąca Żydów do wywózek, liczyła się w zbrodniach na własnym narodzie z inną policją żydowską (zespołem Szenkmana i Lejkina); że wśród Żydów pracujących dla Gestapo byli przedstawiciele wszystkich klas (od znanych literatów, jak Jehuda Warszawiak i Hilel Cejtlin, po zwykłych zbiorów, jak Mieczysław Smerling, którego Żydzi zwali „*oprawcą z biczem*”, zaś Niemcy „*żydowskim katem*”); że zorganizowane przez Gestapo zespoły żydowskich szmalcowników (grupa Lejba Skosowskiego i in.) masowo wyłapywały Żydów ukrywających się poza gettami; etc., etc., etc. Żydowski dziennikarz Kataw Zar tak wspominał warszawskie getto: „*Balangi żydow-*

skich gestapowców (Kohna, Hellera, Ganzwajcha) mają głupcy z Yad Vashem za wieczory kulturalne warszawskiego getta. Kataw Zar nie pamięta z getta niczego poza rozwydrzeniem żydowskich policjantów biegających po ulicach na modę niemiecką w butach do konnej jazdy i w impregnowanych płaszczach, krążących po podwórkach, wpadających do mieszkań i okładających braci Żydów i siostry Żydówki drewnianymi pałkami, a potem wlokących kogo się dało na Stawki, do wagonów towarowych podstawionych na Plac Przeladunkowy” (2005).

Wreszcie warto przypomnieć, że istnieje bogata literatura na temat współudziału Zachodu w Holocaustie, bo jak inaczej określić szlabany stawiane uciekającym z III Rzeszy Żydom? Niemcy, nim podjęli decyzję o „*Ostatecznym Rozwiązaniu*” (1942), kombinowali gigantyczną ekspulsję Żydów poza swe terytoria. Pierwszą taką próbą było wsadzenie 937 obdarowanych paszportami Żydów z obozów koncentracyjnych na statku „*St. Louis*” (1939), który błąkał się pomiędzy USA (Amerykanie nie zezwolili mu wejść do żadnego portu) a portami Wielkiej Brytanii i Beneluksu (dwie trzecie pasażerów zginęło później w niemieckich obozach zagłady — ostatnią zaś (1944) „*ciężarówkowy barter*” (Niemcy proponowali alianantom milion Żydów za ciężarówkę, lecz Anglia i USA odrzuciły tę propozycję). Żydowski komentator C. B. Glick słusznie pisał w „*The Jerusalem Post*”: „*Można było uniknąć Holocaustu, gdyby tylko Ameryka i Anglia zezwoliły Żydom opuścić Europę*” (2011). Przeciwna temu była również światowa oligarchia żydowska, gdyż „*bogaty Żyd z Manhattanu miał gdzieś żydowski moloch ze sztetla*” (1995), komentarz w australijskim „*Tygodniku Polskim*”). Ta straszna obojętność, ten mur zaporowy, ma mocną literaturę scjencyjną, vide esej Margaret Sampson w zbiorówce „*Why Germany?*” (1993) czy dokumentalna praca Davida S. Wymana „*Pozostawieni własnemu losowi*” (1994). Zostawiono ich na pastwę niemieckich ludobójców wprost urzędowo: tajna brytyjsko-amerykańska konferencja (Bermudy 1943) wykluczyła zbrojną reakcję aliantów przeciw zbrodniom Holocaustu (bombardowanie szlaków transportowych oraz infrastruktury Zagłady). Ten brak reakcji militarnej wobec logistyki „*Shoah*” jest wielce kompromitujący dla Zachodu.

Jeszcze dwa cytaty à propos. Były dyrektor Yad Vashem, szef zespołu redakcyjnego „*Encyclopaedia of Holocaust*” (1990), prof. Israel Gutman: „*Naród polski nie jest odpowiedzialny za to, że na jego ziemi zbudowano obozy koncentracyjne. Narodu polskiego nikt o zdanie nie pytał*”. Karl Lehmann (przewodniczący Konferencji Episkopatu Niemiec): „*By ukryć gdzieś daleko obozy zagłady wybrano Polskę, ale Polacy nie mieli z tym nic wspólnego. Polskiego sumienia nie bruka żaden cień, bo Polska nie mogła wstrzymać diabelskiej maszyny śmierci na jej terytorium*”. ©©

Waldemar Łysiak



100 %

**polski
produkt**

JUŻ NIEBAWEM RUSZA

III EDYCJA KONKURSU

KTÓRY WYWOŁAŁ OGÓLNOPOLSKĄ, POWSZECHNĄ MODĘ
NA WSZYSTKO CO JEST W 100% POLSKIE!

**NAGRADZAMY PRZEDSIĘBIORSTWA,
KTÓRE WYTWARZAJĄ POLSKIE PRODUKTY**

PARTNERZY

